

Prokuratorzy kochają areszty ■ Kto po Jędraszewskim ■ Nieobliczalne Stany
My, zakrzyczana większość ■ Norweskie noce

Kraków 24 – 30 lipca 2024 nr 30 (3916)

cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

TygodnikPowszechny.pl

**KS. ADAM BONIECKI
I HANNA KRALL**

Przyjaźń na całe życie

**EKSTRA
STRONY
NA URODZINY**

**90.
BONIECKI**



27 festiwal muzyczny

Silesia sonans

23.08-07.09.2024 Jelenia Góra

Fabio Biondi, Capella Cracoviensis,
Polish Violin Duo, Alafia Ensemble,
Overtone oraz warsztaty
orkiestrowe i chóralne.

Tworzymy wspólnotę artystów i słuchaczy!

Wstęp wolny na wszystkie koncerty, szczegóły: www.silesiasonans.pl



Second Attempt e.V.



RABRYKA



STEIN
HAUS
BADEN
BADEN



Parafia
Podwyższenia
Krzyża Świętego

Interreg



Współfinansowany przez
UNIE EUROPEJSKĄ
Kofinansiert von
der EUROPÄISCHEN UNION

Projekt „Przyszłość kultury: europejska, kolorowa i dla wszystkich!” jest współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Współpracy INTERREG Polska – Saksonia 2021 - 2027. Das Projekt „Zukunft Kultur: europäisch, bunt und für alle!” wird durch die Europäische Union aus den Mitteln des Europäischen Fonds für Regionale Entwicklung im Rahmen des Kooperationsprogramms INTERREG Polen-Sachsen 2021-2027 mitfinanziert.

Polska – Sachsen

KS. ADAM

Boniecki: *Tak żyje milcząca większość*

WYWIAD Z WAWRZYŃCEM SMOCZYŃSKIM pt. „My, tkanka”, który publikujemy w dziale „Z oddechem”, w pierwszej chwili mnie zachwycił. Chodzi przecież o sprawy dla nas zasadnicze, o wojnę lub pokój wewnątrz naszego społeczeństwa. Jeśli nie o wojnę, w której giną ludzie, to w każdym razie wojnę dzielącą nas na dwa plemiona, które się ze sobą nie komunikują, zacięte, zamknięte itd. Eksperyment, o którym mówi Smoczyński, polegał – mówiąc w uproszczeniu – na tym, że do rozmowy o Polsce zapraszano ludzi wszelkich orientacji ideowych. W sumie kilkadziesiąt osób w niewielkich (można się domyślać) grupach. Sporo czasu poświęcano na rozbrojenie uprzedzeń. Wyprowadzenie rozmowy na szlak merytorycznego, a nie emocjonalnego toru, ostatecznie prowadziło nie tyle do rezygnowania z własnych racji, ile raczej przeciwnie – do sięgania po rację w miejsce emocji i uprzedzeń. Ostatecznie debata pozwalała na sensowne konkluzje. Racja okazywała się często dość złożona, ale uwolniwszy się z uproszczeń konstatowano, że jest ona do zaakceptowania dla obu stron. Innymi słowy, ludzie po emocjonalnym szoku stwierdzali, że i zalety, i mankamenty są po obu stronach barykady. Konkluzja jest prosta: nasze kategoryczne sądy są nie tyle przemyślane, ile wyrażają stany emocjonalne.

Ludzie dochodzili do konkluzji, że zamiast się nienawidzić i odcinać od siebie, można dyskutować, szukać rozwiązań albo wspólnie ubolewać nad tym, że prostych rozwiązań w pewnych kwestiach nie ma. Ten budujący obraz jest piękny, ale natychmiast pytamy, ile takich grup trzeba, ilu ludzi do kierowania nimi, by zamiast wrogich plemion budować życzliwe sobie wzajemnie – oczywiście różnorodne – środowisko. Ile takich grup, ilu prowadzących takie zajęcia. Ale odpowiedź pesymistom nie jest czczą ułudą. Być może podjęcie tej niewdzięcznej pracy, która w istocie jest pracą nad przebudowywaniem kapitału zaufania społecznego, nie jest ani fikcją, ani głosem na



puszczy. Bo coś innego my tu, w „Tygodniku”, robimy...

Mówi Smoczyński: „czyli tak naprawdę spolaryzowane są marginesy (...) Ludzie mają swoje życie i dużo pracy wkładają w to, żeby było w miarę szczęśliwe. Mają mało czasu na politykę i na oglądanie telewizji, a na pewno nie chcą uczestniczyć w tego typu rozmowach, jakie słyszą z telewizora. Co więcej: ci ludzie mają przemieszane poglądy. Oni są trochę liberalni, trochę konserwatywni, mieszają się ze sobą...”. Taka jest nasza rzeczywistość. Spieramy się i dzielimy, zrywamy więzy z racji politycznych, często nie do końca przemyślanych. Zajmując się polityką i nie zawsze ją rozumiejąc, podejmujemy decyzje zerwania czy rozluźnienia więzów kiedyś bardzo ważnych. Bronimy swoich racji, a czasem z braku argumentów się obrażamy lub w inny sposób rozluźniamy więzi jeszcze nie tak dawno dla nas ważne. Życzliwość dla jednej opcji politycznej utożsamiamy z nienawiścią do innej, w gruncie rzeczy nie znając (tak, tak) argumentów jednej ani drugiej strony, lub znając je bardzo pobieżnie. Inicjatywy zmierzające do ich klarowania są bezcenne.

Oczywiście, są oczekiwania jednych, które godzą w przekonania innych. Są ustawy, których jedni się domagają, a inni są przerażeni tym, dokąd by nas mogły zaprowadzić. Pośpiech nie zawsze jest dobrym doradcą. Jedni się niecierpliwią, inni nalegają na spokój. Wolność nie jest łatwa. Debaty tworzące emocjonalny dystans, o jakich opowiada Smoczyński, wymagają mocnych charakterów i mądrości. Ale pomysł wydaje się bezcenny. Zabierze on nieco czasu, ale boję się, że innego nie ma. Oby się powiodł, tego sobie życzę na 90. urodziny. ©P

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem-seniorem „Tygodnika Powszechnego”

MILENIALSI, ZETKI, IKSY I BOOMERZY

W tym (rozmowa z **Wawrzyńcem Smoczyńskim** w dziale **Z Oddechem** na stronie 32) i w kolejnych numerach „Tygodnika” podejmujemy jeden z najważniejszych dziś tematów – konflikt pokoleń.

➤ Najnowsze badania pokazują, że różnice międzypokoleniowe i związana z nimi nieufność stały się większe niż kiedykolwiek w historii. Milenialsi szydzą z »przedpotopowych boomerów«, pracodawcy z pokolenia iksów z przerażeniem patrzą na »przewrażliwione i roszczeniowe« zetki – za tydzień w Temacie Tygodnika **Marcin Napiórkowski** wyjaśni, dlaczego tak jest.

W tym tygodniu chciałabym zaprosić Państwa do **ROZMOWY**. Ale zanim przejdziemy do praktyki, zafundujmy sobie trochę ćwiczeń i zastanówmy się, jak rozmawiać, żeby się porozumieć i nawzajem zrozumieć. O tym w dziale **Z ODDECHEM** mówią **MICHAŁ OKOŃSKI** i **WAWRZYNIEC SMO CZYŃSKI**, prezes Fundacji Nowej Wspólnoty: „Rozmowa jest ryzykiem: często odczuwamy dyskomfort w momencie, kiedy odnajdujemy w sobie kawałek poglądu drugiej strony. Na treningach dobrej rozmowy, które prowadzi nasza fundacja, mamy ćwiczenie, które się nazywa »advokat diabła«. Kiedy ludzie już trochę się poznali i zaczęli słuchać się nawzajem, pytamy, czy coś z tego, co mówi druga strona, ich przekonuje. A oni prawie zawsze znajdują taki kawałek” – opowiada Smoczyński.

Jeśli jesteśmy przy teorii, to teraz czas na fakty do analizy. W „Tygodniku” wierzymy w rozmowy ze specjalistami w swojej dziedzinie. W tym wydaniu polecam tę z **IGĄ KAZIMIERCZYK**, ekspertką edukacyjną, która opowiada o zawodzie nauczycielki przedszkolnej: „Moje studentki mówią, że studia pedagogiczne są wspaniałe: można poznać kluczowe zagadnienia psychologii rozwojowej, socjologii, prawa, filozofii, a ukończenie kierunku daje szerokie perspektywy zawodowe. Co z tego, skoro większość nie widzi się w przedszkolu. Wszystko przez warunki pracy i płacy” – rozmowa **PRZEMYSŁAWA WILCZYŃSKIEGO** w dziale **KRAJ**.

I na koniec kolejna z rozmów, które chcę dziś polecić: pełna esencji życia rozmowa **HANNY KRALL** i księdza **ADAMA BONIECKIEGO**, którą poprowadziła **ANNA GOC**. W piątkowe popołudnie w redakcji długo zastanawialiśmy się, jak ją zapowiedzieć, jakim cytatem ją streścić. Bo to rozmowa, w której każde słowo i każde zdanie wynikają z siebie i się łączą. Sztuka rozmawiania w czystej postaci – tak o niej myślę. Dlatego nie zostawię tu krótkiego fragmentu, bo, mówiąc szczerze, nie umiem wybrać jednego. Odsyłam Państwa do całej rozmowy, a znajdziecie ją w dziale **TEMAT TYGODNIKA**.

Na koniec zdradzę jeszcze Państwu coś z redakcyjnych kulis: kilkoro koleżanek i kolegów zazdrościło mi, że moja kolej prowadzenia numeru wypada, gdy świętujemy 90. urodziny naszego redaktora seniora. I nie będę ukrywać: sama sobie tego trochę zazdroszczę. Dlatego nie odmówię sobie na koniec tego jednego zdania: Adamie, wszystkiego najlepszego!

I dla Państwa także **NAJLEPSZE ŻYCZENIA** – na kolejny tydzień z „Tygodnikiem”. ☺☺

EWELINA BURDA

REDAKTORKA PROWADZĄCA

Zastępczyni redaktora naczelnego i szefowa serwisu TygodnikPowszechny.pl. Jako dziennikarka zajmuje się tematyką społeczną. Laureatka Nagrody im. prof. Romana Czerneckiego za artykuł o nauczycielach odchodzących z zawodu.



**TEMAT
TYGODNIKA**

12 Boniecki i Krall: Wielka sztuka

O przyjaźni na całe życie, Solidarności, Rzymie, Panu Bogu, zaświatach i faszzerowanym karpniu
– ROZMAWIAJĄ KS. ADAM BONIECKI I HANNA KRALL



28 Najcięższy zawód świata

Placówki przedszkolne to przykład polskiego oświatowego sukcesu, z którego możemy być dumni. Szkoda, że polskie państwo dyskryminuje współautorów tego sukcesu: nauczycieli
– MÓWI IGA KAZIMIERCZYK, EKSPERTKA EDUKACYJNA



32 My, tkanka

Nie ma dwóch obozów – jest kilkanaście różnych grup, których poglądy są przemieszane, a czasami wspólne. Między wąskimi i głośnymi grupami na skrajach żyje zakrzyczana większość
– WYJAŚNIA WAWRZYNIEC SMO CZYŃSKI, PREZES FUNDACJI NOWEJ WSPÓLNOTY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Gest rozsądku
MARTA ZDZIEBORSKA

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA/WIDZENIA

20-21 MAŁGORZATA KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA,
PIOTR SIKORA,
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

22 Wszystko trzeszczy
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Koalicja
przechodzi ciężkie dni. Czy obóz
rządzący przetrwa?*

25 Areszt nietyczasowy
STEFAN SĘKOWSKI: *Sądy
i prokuratury od lat kochają wsadzać
podejrzanym za kratki*

28 Najcięższy zawód świata
ROZMOWA Z IGĄ KAZIMIERCZYK

■ ■ Z ODDECHEM

32 My, tkanka
ROZMOWA Z WAWRZYNCEM
SMOCZYŃSKIM

■ ■ WIARA

36 Biskup z innej bajki
RENATA RADŁOWSKA *portretuje
biskupa Damiana Muskusa*

**40 O odchodzący są nam
potrzebni**
O. WACŁAW OSZAJCA SJ:
*Różnorodność wyznań staje się
szansą na odrodzenie*

**43 Dlaczego zostajemy
w Kościele**
ZUZANNA RADZIK: *Jak znaleźć siłę
do pozostania w Kościele*

■ ■ ŚWIAT

46 Czas Trumpa, czas Europy
OLAF OSICA: *Stany są skazane na
dryf i nieprzewidywalność. Co to
znaczy dla nas?*

50 Nowy, lepszy Trump
JAN SMOLEŃSKI: *Kim jest James
David Vance, który ma zostać
wiceprezydentem USA?*

Z MYSŁY

ILONA WIŚNIEWSKA



94 Ø znaczy wyspa

ILONA WIŚNIEWSKA

Wiele lat temu sercem Tromsø była budka
telefoniczna. Telefon dzwonił i odbierał
ten, kto stał najbliżej. W ten sposób ludzie
się znajdowali i zapraszali na domówki.

■ ■ 90. BONIECKI ■ ■

**78 Czytelnicy pytają,
ks. Adam odpowiada**

80 Życzenia dla ks. Adama Bonieckiego

■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI

45 WOJCIECH BONOWICZ

92 OLGA DRENDA **93** PAWEŁ BRAVO

98 STANISŁAW MANCEWICZ

98 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:

KS. ADAM BONIECKI I HANNA KRALL, MAJ 2024 R.

FOT.: GRAŻYNA MAKARA

**53 Czym nas zadziwią
igrzyska**

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
*Olimpiada ma być oddechem
od politycznej walki w błocie*

**56 Caracas wstrzymuje
oddech**

DOMA MATEJKO: *Wenezuela
czeka na wybory prezydenckie*

■ ■ HISTORIA

58 Maratończyk z Carpi

EDWARD AUGUSTYN: *Olimpijski
bieg z 24 lipca 1908 roku i jego
tajemnice*

■ ■ NAUKA

62 Komputery nie są zielone

JAREK GRYZ: *Jak rozwój
technologii wpływa na środowisko*

■ ■ KULTURA

66 Bomba wróciła

MARCIN NAPIÓRKOWSKI:
*Nadciąga fala filmów, gier,
powieści zbudowanych wokół
nuklearnych lęków*

**70 Sukcesja,
czyli samo życie**

JAKUB MAJMUREK: *W serialu
„Festiwal Renesansu” dramat
władzy i polityki pomniejszono
do skali krainy Liliputów*

73 Co jest pod peruką

OLGA ŻYMINKOWSKA:
*Bohater wydobywa się na świat
i tak kończy się książka. Ale to nie
jest spoiler!*

76 Listy do Edith

ANITA PIOTROWSKA *o filmie
„Wredne liściki” w reżyserii
Thei Sharrock*

77 Europa, której nie ma

LEKTOR *o książce Patrycka Leigh
Fermora „Między lasem a wodą”*

■ ■ ZMYSŁY

94 Ø znaczy wyspa

ILONA WIŚNIEWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę...
... na stronie **61**



Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER



Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ x /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

GEST ROZSĄDKU

Na niecałe cztery miesiące przed wyborami Joe Biden zakończył swoją kampanię prezydencką. Czy Stany są gotowe na czarną Kamalę Harris, faworytkę do wskoczenia na jego miejsce?

MARTA ZDZIEBORSKA

POWYŻEJ:

Joe Biden i Kamala Harris w Białym Domu podczas Dnia Niepodległości. Waszyngton, 4 lipca 2024 r.

PO KILKU TYGODNIACH NACISKÓW ZE STRONY polityków Partii Demokratycznej i coraz gorszych notowań, Biden wreszcie się poddał. W niedzielę przed godziną 14 czasu waszyngtońskiego opublikował na platformie X oświadczenie, że kończy kampanię. Pół godziny później w kolejnym wpisie – opatrzonym wspólnym zdjęciem z wiceprezydentką Kamalą Harris – udzielił jej poparcia jako kandydatce na jego miejsce. Kandydatce, bo nominację Demokratów w walce o Białą Dom przyjmie dopiero osoba wyłoniona przez delegatów podczas ich sierpniowej konwencji.

KONIEC I POCZĄTEK | Rezygnacja Bidena kończy obawy związane z jego szansami na pokonanie Trumpa, ale rodzi też nowe. Aby proces wyłonienia następcy przebiegł gładko, potrzebna jest jedność w Partii Demokratycznej. Pozwoli to uniknąć sytuacji, w której kilkoro kandydatów zabiega o głosy delegatów, a żaden z nich nie zdobywa większości niezbędnej do zabezpieczenia nominacji.

W stronę Harris płyną na razie pozytywne sygnały: poparcia udzielili jej natychmiast dwaj

politycy postrzegani jako jej potencjalni rywale w walce o nominację: gubernator Kalifornii Gavin Newsom i gubernator Pensylwanii Josh Shapiro. Kamalę Harris, która ubieganie się o nominację partyjną jako kandydatka na prezydenta ogłosiła oficjalnie dwie godziny po rezygnacji Bidena, szybko wsparli też inni prominentni politycy Demokratów: kongresmeni, senatorowie, wpływowi darczyńcy, a także były prezydent Bill Clinton i jego żona Hillary. Po stronie Demokratów zapanowała wręcz euforia: w ciągu kilku godzin po rezygnacji Bidena na platformie fundraisingowej ActBlue Demokraci zebrali rekordowe ponad 50 mln dolarów.

KALKULACJA | Choć Kamala Harris nie wybiła się podczas swej wiceprezydentury, a przed katastrofalną debatą Bidena z Trumpem miała gorsze notowania od swojego szefa, jest dziś naturalną faworytką. Lepiej od innych pretendentów wypadła w hipotetycznych sondażowych pojedynkach z Trumpem, a ponadto ostatnie cztery lata spędziła w Białym Domu. Polityczka może też przejąć środki na kampanię Bidena – pieniądze zbierane były

bowiem na tandem Biden–Harris.

Według ekspertów 59-letnia wiceprezydentka może być skuteczna w mobilizacji kobiet, Afroamerykanów, a także zwolenników liberalnych przepisów aborcyjnych. Właśnie na tej kwestii Harris skupiała się w ostatnich miesiącach na kampanijnym szlaku – w myśl kalkulacji, że to jeden ze słabych punktów Trumpa po tym, jak sędziowie Sądu Najwyższego – w tym trzej nominowani za jego prezydentury – zniesli federalne prawo do aborcji na życzenie.

WĄTPLIWOŚCI | Jednak nie wszyscy Demokraci stoją murem za Harris, która ma już na koncie nieudaną kampanię prezydencką (wycofała się w grudniu 2019 r., przed ówczesnymi prawyborami). Sceptyczna wobec niej jest progresywna kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez. „Jeśli myślicie, że wszyscy nawołujący Bidena do rezygnacji poprą Harris, to się mylicie. Tu nie ma bezpiecznej alternatywy” – pisała na Instagramie, twierdząc, że słyszy głosy krytyczne wśród darczyńców i partyjnych elit. Uwadze mediów nie umknęły też ostrożne oświadczenia byłego prezydenta Baracka Obamy – choć to być może przejaw chęci zachowania neutralności do czasu sierpniowej konwencji.

Są też inne wątpliwości: czy Amerykanie są gotowi na czarnoskórą kobietę jako kandydatkę na najwyższy urząd w państwie. Albo czy będą postrzegać ją jako silną liderkę, zdolną, by stawić czoło wyzwaniom, takim jak konflikty w świecie czy sytuacja na granicy USA–Meksyk. Na tej drugiej kwestii Harris sparzyła się w początkach wiceprezydentury, gdy dostała zadanie współpracy z krajami Ameryki Środkowej, by ograniczyć rekordowy napływ imigrantów z tej części świata. Niewiele z tego wyszło.

O KROK DALEJ | W słabe punkty Kamali Harris uderza już Trump: niedługo po udzieleniu jej poparcia przez Bidena obwinił ją za „największą inwazję niele-

galnych imigrantów w historii USA”. Sojusznicy Trumpa uruchomili zaś kampanię reklamową w kluczowych dla wyścigu stanach – Pensylwanii, Georgii i Arizonie. W spotach mają atakować Harris za to, że rzekomo tuszowała pogarszający się stan zdrowotny Bidena.

Zapewne, aby pogłębić chaos w obozie Demokratów, niektórzy Republikanie – w tym spiker Izby Reprezentantów Mike Johnson – nawołują teraz Bidena do ustąpienia także z urzędu. Przekonują, że skoro nie nadaje się do walki o Biały Dom, to także do dalszego sprawowania prezydentury.

„USTĄPIĘ MŁODSZYM” | Joe Biden musi przełknąć gorzką porażkę, największą w swej karierze politycznej. Choć do końca wzbierał się przed rezygnacją – jeszcze w piątek, niedoleczony po covidzie, zarzekał się, że wróci na kampanijny szlak – został pierwszym prezydentem USA od ponad pół wieku, który zrezygnował z wyścigu. I to na tak późnym etapie kampanii. Znacznie wcześniej, bo pod koniec marca, zrobił to w roku 1968 prezydent Lyndon Johnson. Podjął tę decyzję, gdy po prawyborczym starciu w New Hampshire zrozumiał, że traci poparcie za sprawą wojny w Wietnamie.

Biden zwlekał niemal do końca – łamiąc zresztą obietnicę z 2020 r., gdy zarzekał się, że nie będzie ubiegać się o reelekcję, bo chce ustąpić miejsca młodszemu. Po tym, jak w kwietniu 2023 r. ogłosił swoją kampanię o reelekcję, wielokrotnie twierdził później, iż jest najlepszym kandydatem do pokonania Trumpa.

Dziś prawdopodobnie to Kamali Harris przyjdzie się z tym zmierzyć. Tylko czy Ameryka, która w 2016 r. nie dała prezydentury Hillary Clinton (choć w skali całego kraju dała jej więcej głosów niż Trumpowi), jest na to gotowa? ©

Autorka jest dziennikarką „Press”.

O sytuacji w USA i jej skutkach dla Europy piszemy także w dziale Świat.



Kraków czeka

ARTUR SPORNIK

LIST ROZPOCZYNAJĄ SŁOWA „KOCHANI ARCHIDIECEZJANIE...”. Metropolita krakowski abp Marek Jędraszewski informuje w nim, że złożył na ręce papieża rezygnację z urzędu w związku z osiągnięciem emerytalnego wieku 75 lat, co nastąpi 24 lipca. Najważniejsze zdanie brzmi: „Niniejszym pragnę Was, moi Drodzy, powiadomić, że Ojciec Święty przyjął tę rezygnację, prosząc jednocześnie, abym nadal pełnił dotychczasowy urząd biskupa diecezjalnego aż do chwili, gdy mianuje mego następcę”.

List ma datę 17 lipca. Był odczytywany w kościołach archidiecezji w niedzielę 21 lipca. Ale do mediów trafił już 18 lipca na zasadzie przecieku (dzięki portalowi lovekrakow.pl) – najprawdopodobniej po to, by zniechęcić do udziału w zapowiadanych w mediach społecznościowych happeningu „Kraków żegna abp. Jędraszewskiego odchodzącego na emeryturę!” w dniu urodzin metropolity pod Oknem Papieskim przy Franciszkańskiej 3. Kuria liczy za pewne, że skoro na razie arcybiskup jeszcze nie odchodzi, organizowanie happeningów z tego powodu straci sens.

Skąd zwłoka papieża? Najprawdopodobniej spowodowana jest tym, że kurii rzymskiej nie udało się doprowadzić do końca procedury wyłaniania następcy dla Krakowa.

Albo wyłoniony kandydat odmówił, co w dobie kryzysu kościelnej instytucji zdarza się coraz częściej, albo np. wciąż szczegółowo badane są życiorysy potencjalnych kandydatów.

Co jednak oznacza, że abp Marek Jędraszewski nadal będzie pełnić urząd biskupa krakowskiego, mimo przyjęcia przez papieża jego dymisji? To rzeczywiście dziwna formuła urzędowania. Na pewno oznacza, że przez ten czas nie będzie on mógł podejmować ważnych dla diecezji decyzji – takich, które by wprowadzały trwałe zmiany. Ma po prostu zapewnić zwyczajne jej funkcjonowanie.

Dlaczego papież zdecydował się na włączenie w Krakowie takiego jałowego biegu? Gdyby był zadowolony z dotychczasowych rządów metropolity, po prostu nie przyjąłby dymisji, informując o tym zainteresowanego. To się dość często zdarza. Na przykład metropolita Bostonu Seán O'Malley niedawno skończył 80 lat i nadal pełni swój urząd. Gdyby z kolei papież miał poważne zastrzeżenia, abp Jędraszewski przeszedłby 24 lipca na emeryturę, a Kraków otrzymałby administratora – tak było w przypadku abp. Sławoja Leszka Głódzia i archidiecezji gdańskiej. Najwyraźniej jednak Watykan chciał uniknąć sugerowania takich porównań. Stąd mamy zdymisjonowanego i jednocześnie urzędującego rządcę. ©



DR HAB. PAWEŁ KUBICKI,
EKSPERT DS. POLITYKI SPOŁECZNEJ:

Musimy się wreszcie zdecydować, po co w ogóle jest polski system pomocy społecznej.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Rząd przyjął rozporządzenie o wzroście progów dochodowych podczas ustalania, komu przysuguje wsparcie z systemu pomocy społecznej. Dla osoby samotnej próg wzrośnie od początku przyszłego roku o 30 proc., do 1010 zł, a dla osoby w rodzinie o 37 proc., do 823 zł. Z kolei do 1229 zł wzrośnie w styczniu 2025 r. maksymalna kwota zasiłku stałego, czyli podstawowego świadczenia pomocy społecznej.

PAWEŁ KUBICKI: Progi kryteriów dochodowych muszą być zmieniane co trzy lata. Ostatnia podwyżka była w 2021 r., a od tamtej pory mieliśmy przecież bardzo wysoką inflację. Obecna podwyżka to zaledwie nadgonienie tego, co ludzie stracili w związku z inflacją.

Samotny, niezdolny do pracy człowiek, mający 1200 zł dochodu, zasiłku nadal nie otrzyma, choć za te pieniądze przy obecnych cenach nie jest w stanie się utrzymać.

Ta podwyżka nie jest ani specjalnie wysoka, ani nie stanowi wyrazu hojności rządu. Ale gdyby nie nastąpiła, za chwilę prawie nikt w Polsce nie byłby uprawniony do otrzymania wsparcia z systemu pomocy społecznej. Oznaczałoby to, że skazujemy tysiące ludzi na skrajną biedę. I że tę biedę autoryzuje polskie państwo.

Rząd, poza tymi podwyżkami, powołał zespół ds. reformy systemu pomocy społecznej.

Deklarowanym celem zespołu jest całościowa reforma, ale na razie nie wiemy, w jakim kierunku ona pójdzie. Z rzeczy bardziej doraźnych, na pewno powinniśmy zrobić przegląd i uspołnić istniejące już zasiłki,

by na siebie wzajemnie nie nachodziły, a także wprowadzić zasadę, że progi dochodowe rewaloryzujemy raz do roku, a nie co trzy lata. Ale głęboka reforma to coś więcej.

Na przykład?

Musimy się wreszcie zdecydować, po co w ogóle jest polski system pomocy społecznej. Czy ma istnieć tylko po to, by nie dać ludziom umrzeć z głodu, czy może ma również oferować narzędzia do czegoś, co nazywamy reintegracją społeczną, a więc wychodzeniem ze stanu ubóstwa i wykluczenia.

Który wariant obowiązuje teraz?

Deklaratywnie oczywiście ten drugi, ale w praktyce bliżsi jesteśmy pierwszemu. Czy 18-latek wychodzący z systemu pieczy zastępczej, czyli np. z domu dziecka, dostaje od państwa wsparcie dające mu szansę na samodzielność, czy to państwo tylko wsparcie udaje? Czy na serio sprawia, że niewydolna wychowawczo i ekonomicznie rodzina wychodzi na prostą, czy może urzędnicy tylko pokazują, że nie zostawili tej rodziny samej sobie?

Dziś gospodarujemy skromnymi środkami, by móc doraźnie ulżyć najbardziej potrzebującym i najbardziej wykluczonym. Gdybyśmy chcieli stworzyć system dający nie tylko niskie zasiłki, ale i skutecznie reintegrujący, musielibyśmy poświęcić na to dużo więcej energii i środków. Choćby po to, by mieć dużo lepiej opłacaną, mniej wypaloną i bardziej przekonaną o swojej sprawczości kadrę. Na razie jesteśmy od tego dalecy. ©

DR HAB. PAWEŁ KUBICKI kieruje Katedrą Polityki Społecznej Instytutu Gospodarstwa Społecznego na SGH. Bada m.in. politykę publiczną wobec osób z niepełnosprawnościami i seniorów.



Płace nierealne

MAREK RABI

Z GOSPODARKI – JAK MAWIAJĄ NIEKTÓRZY PUBLICYŚCI EKONOMICZNI – PŁYNĄ KOLEJNE KRZĘPIĄCE INFORMACJE.

Główny Urząd Statystyczny właśnie podał, że średnia płaca w sektorze przedsiębiorstw wyniosła w czerwcu 8144,83 zł brutto. W porównaniu z czerwcem 2023 r. przeciętne wynagrodzenie wzrosło o równo 11 proc. Wprawdzie nadal mamy do czynienia z inflacją, ale realne podwyżki wynagrodzeń – czyli pomniejszone o następujący równoległy wzrost cen – w czerwcu wyniosły aż 8,4 proc. w ujęciu rocznym.

W tym miejscu moglibyśmy sięgnąć po kolejne popularne wyrażenie ze skarbczyka publicystycznych myśli i spytać, czy czas otwierać szampana. Lepiej jednak od razu ostudzić emocje. Przeciętne wynagrodzenie, jak każda średnia statystyczna, ma się bowiem nijak do rzeczywistości. Wspomniany w komunikacie „sektor przedsiębiorstw” oznacza, że uwzględnione w zestawieniu dane pochodzą z instytucji zatrudniających dziewięć i więcej osób.

Wyliczona przez GUS średnia jest zatem miarodajna jedynie dla zarobków 6 487 700 osób – bo tyle w maju pracowało w organizacjach zatrudniających więcej niż dziewięcioro pracowników.

Tymczasem czynnych zawodowo jest dziś rekordowo wielu mieszkańców Polski, bo ponad 17,87 mln. GUS-owskie szkiełko i oko omija więc nie tylko szarą strefę, ale nie ma też wglądu w płace w sektorze mikroprzedsiębiorstw oraz budżetówki. Zdaje sobie z tego sprawę także sam Urząd, który już po tych wakacjach zacznie publikować comiesięczne dane o medianie polskich zarobków, czyli punkcie na wykresie ich wysokości, który dzieli go na dwie równe części (połowa zarabia mniej, połowa więcej).

Szacowana w ten sposób polska „średnia” będzie zapewne dużo niższa. Powód? W sektorze przedsiębiorstw działają związki zawodowe, które bardzo skutecznie, niekiedy wręcz bezlitośnie pilnują realnej siły nabywczej zarobków swoich członków. Dobrze ilustruje to zjawisko polskie górnictwo, trwale nierentowny sektor gospodarki, który zdołał sobie jednak wywalczyć warunki stałej waloryzacji wynagrodzeń. Do sektora przedsiębiorstw zalicza się także wysoko opłacana branża IT, choć z drugiej strony część informatyków woli i tak samozatrudnienie. ©

NA PUNKTY

W KOŁCHOZIE

Europoseł Braun zatrzasnął się w windzie Parlamentu Europejskiego. „Eurokołchoz w pigułce. Z zewnątrz lśniące fasady, a w środku niejedno się już sypie” – skomentował, choć nadzieja na długotrwałe męczeństwo w Strasburgu prysła, gdy został po kilkudziesięciu sekundach uwolniony.

W PEESELU

Zatrząśnięty w koalicji rządowej Władysław Kosiniak-Kamysz zapowiedział prace nad „projektem ustawy o statusie osoby najbliższej”. W zgłoszeniu własnej, ponoć bardziej strawnej dla prezydenta Dudy wersji prawa o związkach partnerskich, nie przeszkodził PSL-owi nawet fakt, że niedawno koalicja ogłosiła porozumienie w tej sprawie.

U WOJEWÓDZKIEGO

Bramkarz reprezentacji Polski Wojciech Szczęsny dał się zamknąć w niewielkim pomieszczeniu z reprezentującymi Onet Kubą Wojewódzkim i Piotrem Kędzieriskim. Ten pierwszy wymuszał na rozmówcy deklaracje polityczne. „Nie chciałbym, by ktokolwiek oddał głos na daną partię, bo tak Szczęsny napisał” – odparował bramkarz, zachowując czyste polityczne konto. ©



Abbé Pierre oskarżony

WOJCIECH BONOWICZ

POTWIERDZIŁY SIĘ WCZEŚNIEJSZE INFORMACJE, że dwaj nieżyjący już liderzy katolickich ruchów odnowy – ks. Henri Grouès, znany jako abbé Pierre (na zdj.), założyciel ruchu Emaus, oraz o. Pierre-Marie Delfieux, twórca Wspólnot Jerozolimskich – dopuścili się molestowania seksualnego w stosunku do współpracujących z nimi kobiet. Przygotowany na zlecenie ruchu Emaus raport oraz oświadczenie przeora Wspólnot nie pozostawiają wątpliwości, że oskarżenia wobec duchownych nie były bezpodstawne. Popularny we Francji i poza nią abbé Pierre, opiekun bezdomnych, dopuścił się co najmniej niewłaściwych, a w kilku przypadkach wprost przestępczych zachowań wobec siedmiu kobiet ze swojego otoczenia. Oświadczenie na temat o. Delfieux dotyczy jednej ofiary, ale już wcześniej Wspólnoty Jerozolimskie informowały, że badają sprawę jego niedozwolonych relacji z kandydatkami do stworzonego przezeń zakonu oraz świeckimi członkiniami Wspólnot.



Opublikowane materiały nie mają charakteru tak kompletnego jak raport na temat działalności Jeana Vaniera, przygotowany kilka lat temu przez Wspólnoty Arki (L'Arche). Wciąż wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. Oba ruchy, które zainicjowały proces oczyszczenia zaraz po tym, jak pojawiły się pierwsze niepokojące informacje, zapowiadają, że będą nadal zbierać świadectwa dotyczące nadużyć i przestępstw seksualnych popełnionych przez założycieli. I to chyba jedyny budzący aspekt tej sprawy. Zarówno w wypowiedziach członków obu ruchów, jak i w komentarzach ze strony francuskiego episkopatu padają przede wszystkim słowa współczucia i solidarności z ofiarami. Kościół katolicki we Francji mierzy się z potężnym kryzysem, ale jego siłą jest jednoznaczna postawa i wola wyjaśnienia wszystkich spraw do końca. Zamiast kluczenia, przeczekiwania i szukania winnych wszędzie, tylko nie we własnych szeregach. ©

GILLES LEIMDORFER / AFP / EAST NEWS



Takich domów może być więcej

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PROKURATURA REJONOWA W ŁĘBORKU postawiła zarzuty bicia i znęcania Oldze K., szefowej ukraińskiego domu dziecka ewakuowanego do Polski po lutym 2022 r. Losy ponad 50 dzieci z Zaporoskiego Regionalnego Centrum Rehabilitacji Społecznej i Psychologicznej opisaliśmy w „Tygodniku” ponad trzy miesiące temu. Dzieci trafiły 2,5 roku temu do Runowa na Pomorzu, gdzie działa ośrodek wypoczynkowy oraz Fundacja „Bocianie Gniazdo” – instytucje prowadzone przez Martę Rutkiewicz, lokalną aktywistkę na rzecz m.in.

praw dzieci. To ona zawiadomiła „Tygodnik”, że w placówce źle się dzieje: opiekunki miały bić i wyzywać dzieci, a polskie instytucje nie reagowały na to adekwatnie. O dramacie opowiedziała nam też była wychowanka domu, Tatiana („Dyrektorka jak się zdenerwowała, wywracała na dziecko stół. Szturchała, biła po głowie”), a także ukraińska opiekunka zatrudniona w Runowie przez „Bocianie Gniazdo”.

Prokuratorskie dochodzenie rozpoczęło się jeszcze pod koniec ub. roku – po tym, jak kilka dziewcząt zgłosiło przemoc

i związane z nią myśli samobójcze. Niestety pomimo tego Olga K. pozostała dyrektorką domu i wychowawczynią. Nawet gdy przestała być opiekunką tymczasową dzieci (to polska formuła prawna stworzona po lutym 2022 r. z myślą o nowej sytuacji), mieszkała wraz z nimi w tym samym budynku. O izolację domniemanej sprawczyni od dzieci apelowała do polskich instytucji i Rutkiewicz, i organizacje pomocowe. Bez skutku: Olga K. do dziś pozostaje formalnie dyrektorką placówki.

Eksperti od pieczy zastępczej są zgodni, że historia z Po-

morza to nie tylko przykład jednostkowej patologii, ale też pokłosie głębokiej systemowej wady: polska strona zgodziła się po lutym 2022 r., by ewakuowane do Polski dzieci z ukraińskich sierocińców pozostały pod kuratelą ukraińskiego, a nie polskiego systemu (do naszej rodziny zastępczej albo placówki mogą trafić tylko w wyjątkowej sytuacji). A mało liczna i często wypalona kadra ukraińskich placówek, w których na terenie Polski mieszka teraz ok. 1200 dzieci, nie radzi sobie często z problemami.

To systemowe rozwiązanie, być może wygodne i dla ukraińskich, i polskich władz, nie jest dobre dla dzieci. Domów takich jak ten z Zaporozża może być więcej. ©

PORTRET

MATERIAŁY PRASOWE ARCHIDIECEZJI MALTY



Zwyczajni święci

Henry był introwertykiem, Inez osobą towarzyską. Przeżyli razem 48 lat, a metropolita Malty abp Charles Scicluna, ogłaszając zakończenie diecezjalnej fazy ich procesu beatyfikacyjnego, powiedział: „dają przykład wierności, pokory i świętości bez rozgłosu”. Henry Casolani urodził się w 1917 r. Był uzdolniony artystycznie i miał propozycję studiów we Włoszech, ale z nich zrezygnował, nie chcąc rozstawać się z narzeczoną, młodszą o dwa lata Inez. Z powodu wojny ślub wzięli dopiero w 1944 r. Henry został kreślarzem w Wydziale Robót Publicznych, a Inez zrezygnowała z pracy nauczycielki, by zająć się prowadzeniem domu i wychowaniem córki (prowadziła też lekcje dla ubogich dzieci i odwiedzała chorych w szpitalach). Oboje słynęli z życzliwości: Charles dbał o zdrową atmosferę w biurze, opiekując się młodymi pracownikami i wygaszając konflikty; Inez uwielbiała rozmawiać, radzić i wspierać, pisała też do biuletynu parafialnego i wygłaszała radiowe pogadanki kulinarne.

Zapamiętano ich religijność: starali się codziennie uczestniczyć w mszy, odmawiali różaniec, adorowali Najświętszy Sakrament, czytali Biblię. Henry chorował na cukrzycę z powikłaniami (miał doznać uzdrowienia ze zwyrodnienia płamki żółtej), ale współczującym mu powtarzał: „Wyobraźcie sobie cierpienie, przez które przeszedł Chrystus”. Bardzo się kochali. Po śmierci Inez w 1992 r. Henry co roku publikował wiersz ku jej pamięci. Sam zmarł w 1999 r.

O życiu Casolanich trudno opowiedzieć coś ciekawego: i to dobrze, że Kościół coraz częściej dostrzega świętość w powszedniości, niekoniecznie heroicznej. Pytanie, na ile będą to potrafili docenić duszpasterze: bo polscy potrafią np. równie zwyczajne życie Carla Acutisa przekształcić w opowieść niczym wyjętą z pism księdza Skargi. Podobnych narracji nie brakuje na temat maltańskich małżonków. A przecież opowieść o Bogu błogosławiącym zwykłe życie – wystarcza i karmi. © MACIEJ MÜLLER

Gdy świat zobaczył niebieski ekran

CYBERBEZPIECZEŃSTWO ■ Do globalnej awarii na 8,5 mln komputerów doszło w ubiegły piątek. Padły systemy szpitali, banków, linii lotniczych i tysięcy firm. Doprowadził do tego błąd aktualizacji oprogramowania antywirusowego działającego w systemie Microsoft Windows.

Przestały działać urzędy, sklepy, pojawiły się problemy z usługami bankowymi. Część szpitali m.in. w Niemczech, Izraelu czy Wielkiej Brytanii odwołała planowane operacje. Kłopoty miały londyńska giełda papierów wartościowych, UPS, a nawet McDonald's. Kolej i metro w kilku krajach zaliczyły kolosalne opóźnienia. Problemy z emisją programu miały m.in. stacje Sky News, NBC News czy MSNBC. Chyba najgorzej było jednak na lotniskach. Według danych portalu FlightAware odwołano ponad 3,8 tys. lotów, a kolejnych ponad 30 tys. nie wystartowało planowo. Na warszawskim lotnisku Chopina wystąpiła awaria systemu odpraw linii WizzAir. O problemach informował też port lotniczy w Poznaniu.

Premier Donald Tusk informował na X, że jest na bieżąco informowany przez służby o wszystkich zdarzeniach wynikających z awarii, ale że „nie zagrażają one bezpieczeństwu państwa”. Również minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski uspokajał, że „systemy infrastruktury krytycznej działają płynnie”.

Dotąd tylko kilka razy kod komputerowy powodował globalne awarie. Tak było w przypadku wirusów NotPetya, WannaCry czy Slammer, które w ciągu kilku godzin spowodo-

wały na świecie straty liczone w miliardach dolarów. Tym razem jednak winne było nie złośliwe oprogramowanie, lecz aktualizacja programu, który wirusy miał powstrzymać.

CrowdStrike, jedna z najbardziej cenionych na świecie firm zajmujących się cyberbezpieczeństwem, w piątkowy poranek opublikowała aktualizację dla systemu Windows jednego ze swoich produktów, EDR Falcon Sensor. Wkrótce potem na ekranach komputerów wykorzystujących ten program zaczął się wyświetlać komunikat zwany niebieskim ekranem śmierci. Wprawdzie już kilka godzin po awarii znany był sposób jej usunięcia – prosty pod warunkiem, że organizacja, którą dotknęła awaria, ma własny dział IT, a nie korzysta z usług firmy zewnętrznej i na usunięcie problemu musiała czekać.

„To bardzo, bardzo niewygodna ilustracja kruchości podstawowej infrastruktury internetowej na świecie” – powiedział „New York Timesowi” Ciaran Martin, były szef brytyjskiego Narodowego Centrum Bezpieczeństwa Cybernetycznego. Globalna awaria jaskrawo ilustruje, w jakim stopniu nasze życie zależy od garstki technologicznych koncernów. Decyzja podjęta w Teksasie, gdzie siedzibę ma CrowdStrike, czy w Dolinie Krzemowej może w jednej chwili podminować stabilność na świecie. Kiedyś mawiano, że każda cywilizacja jest o trzy posiłki od rewolucji. Dziś może do tego wystarczyć jedna niedana aktualizacja oprogramowania.

© AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI



Kolejki na lotnisku Stansed spowodowane awarią systemu komputerowego. Wielka Brytania, 20 lipca 2024 r.

MARCIN NOWAK / REPORTER

Jeszcze jeden dzień z życia Indii

INDIE ■ Serwisy plotkarskie nareszcie nie cierpiały na wakacyjną posuchę nośnych tematów. Wszystkie wolne miejsca wypełniły opisy hucznego finału trwającej od marca uroczystości zaślubin Ananta Ambaniego, najmłodszego syna najbogatszego człowieka Indii, oraz Radhiki Merczant, dziedziczki skromniejszego, acz szacowanego na 2 mld dolarów księstwka farmaceutycznego.

Młodzi, wraz z zaproszonymi gośćmi, najpierw polecili do Cannes. Potem w rodzinnej posiadłości Ambanich w Gudźaracie bawili się przy koncercie Rihanny, której za ten jeden wieczór zapłacono honorarium w wysokości 6 mln dolarów. W samej ceremonii ślubnej, zorganizowanej – jak podkreślał z dumą ojciec pana młodego, Mukeś Ambani – ściśle według hinduistycznej tradycji, uczestniczył m.in. premier Indii Narendra Modi, była pierwsza dama USA Hillary Clinton, sekretarz stanu w gabinecie Baracka Obamy John Kerry, były brytyjski premier Tony Blair oraz śmietanka Bollywoodu, na czele z gwiazdami indyjskiego kina, Amitabhem Baććanem oraz Shahrukhem Khanem. Na parkiecie królowała też inna znana aktorka Priyanka Čopra, były siostry Kardashian, gwiazdor wrestlingu i kina John Cena. Na koniec wystąpił Justin Bieber, który za-



Anant Ambani i jego narzeczona Radhika Merczant podczas ceremonii przedślubnych. Mumbai, 5 lipca 2024 r.

inkasował za to 10 mln dolarów. Zabawę zaproszonych gości, w liczbie 14 tysięcy, uwieczniała profesjonalna ekipa 180 filmowców i dźwiękowców wyposażona w 5,5 tysiąca dronów.

Ten przydługi spis można by w zasadzie zastąpić jedną liczbą. 600 mln dolarów – tyle rodzice państwa młodych mieli wydać na samą uroczystość. Wraz z kosztami towarzyszącymi, takimi jak luksusowy rajd do Europy, gdzie gościom do kotleta śpiewał Andrea Bocelli, suma urosła w pobliże miliarda dolarów. Co w niewielkim tylko stopniu uszczupliło majątek Mukeśa Ambaniego, szacowany w tym roku przez magazyn Forbes na 120,3 mld dolarów. W relacjach ze ślubu roilo się też od wyliczeń

cen zegarków, które mieli na sobie panowie, i porównań liczby karatów brylantów migoczących na zaproszonych paniach. Zabrakło za to wzmianki, że wszystko to dzieje się w kraju, w którym – jak szacuje Bank Światowy – aż 21 proc. z liczącej 1,4 mld osób populacji nadal vegetuje za mniej niż 2 dolary dziennie.

Na konto Ambanich, którzy za blisko 2 mld dolarów zbudowali sobie wcześniej w Mumbaju słynącą z przepychu willę-wieżowiec Antilia, można więc zapisać jeszcze jeden rekord. Oto w jeden niezapomniany wieczór udało im się wydać dokładnie tyle samo, ile przez cały dzień zdołało przeznaczyć na przeżycie 295 mln ich rodaków.

© P MAREK RABIJ

Imiona mamy wypisane na twarzach

PSYCHOLOGIA ■ Kiedy ludzie otrzymają zadanie przypisania nieznanemu osobom jednego z kilku sugerowanych imion, to osiągają wyższą poprawność od całkowicie losowej – jakby na twarzach niektórych osób kryły się pewne wskazówki co do ich imienia. Według jednej z hipotez może to wynikać ze skłonności rodziców do nadawania określonych imion dzieciom o pewnej fizjonomii. Według innej – ludzie z czasem zaczynają przejawiać zacho-

wania czy cechy osobowości stereotypowo przypisywane danemu imieniu, a to znajduje odzwierciedlenie w ich twarzach.

Doniesienia opublikowane w „PNAS” przez Yonat Zwebner i współpracowników przemawiają na korzyść tej drugiej koncepcji – wyniki badań, w których wzięli udział ludzie i algorytmy, sugerują, że twarze dopiero w kontekście społecznym nabywają cechy charakterystyczne dla konkretnego imienia.

W badaniu zarówno dzieci, jak i dorośli, przypasowując imiona do twarzy dorosłych osób, osiągnęli lepsze wyniki od losowych. Nie byli jednak równie skuteczni w przypisywaniu imion dzieciom – albo więc na

dziecięcych obliczach nie zarysowywały się te charakterystyczne cechy, albo badani nie potrafili ich dostrzec. Aby to rozstrzygnąć, badacze posłużyli się algorytmami, które miały analizować wyłącznie obiektywne cechy twarzy. Wyniki potwierdziły, że twarze osób o tych samych imionach mają więcej cech wspólnych niż twarze osób o różnych imionach – ale tylko w przypadku dorosłych: algorytm nie wyróżniał szczególnych podobieństw w twarzach dzieci noszących to samo imię.

Z czego wynikają te różnice? Badacze komputerowo zasymulowali starzenie się dziecięcych twarzy, by sprawdzić, czy dzięki temu pojawiają się na

nich jakieś wskazówki. Takie sztucznie wygenerowane wizerunki nie ułatwiły przypisania imienia przez ludzi, ani nie pozwoliły algorytmom na znalezienie szczególnych podobieństw między fikcyjnymi imiennikami – zupełnie tak, jakby same fizyczne zmiany spowodowane procesem dośrobiania, wyrwane ze społecznego kontekstu i pozbawione wpływu oczekiwań, nie przynosiły żadnych informacji o imieniu. Dlatego autorzy twierdzą, że związek imienia z twarzą jest jak samospełniająca się przepowiednia – twarz z czasem zaczyna przejawiać cechy, które kojarzą nam się z konkretnymi imionami.

© KATARZYNA DZIADOWICZ



BONIECKI I KRALL: WIELKA SZTUKA

Adam, Ty piszesz o Panu Bogu.
O Bogu trudno jest pisać skrótowo.

ZDJĘCIA: GRAŻYNA MAKARA

KS. ADAM BONIECKI: Skąd jest ta ryba?

HANNA KRALL: Ze słoika. Izraelskiego. Niezła, jak na nie moją, prawda?

ADAM: Świetna... Zawsze była Twoja ryba po żydowsku.

HANNA: Świeżych karpie nie ma, ani mąki macowej. To i *gefilte fisz*, ryby farszerowanej, nie ma i już nie będzie.

ADAM: Mamy wspomnienie karpia.

ANNA GOC: Jak Pani robiła *gefilte fisz*?

HANNA: Jest kilka sposobów i kilka szkół. Jest szkoła lubelska, jest warszawska. Zdaje się, że i wileńska jest. Należę do lubelskiej, bo moja mama jest z Lublina. Ale teraz: wypijmy za tych, co kończą go lat.

ADAM: I za tych, co skończą niebawem.

HANNA: Adam, to niesamowite, że znowu cię widzę przy tym stole. Chyba się popłaczę ze wzruszenia i będzie cyrk.

ADAM: Będzie.

HANNA: Jak to robiłam...? Kroi się rybę tak, żeby nie rozlała się żółć, co jest wielką sztuką.

ADAM: Wielką sztuką...

HANNA: Potem wydrąża się każde dzwonko, tak żeby nie pękła skórka. Potem się mieli z twardymi i surowymi jajkami, macową mąką, sokiem z surowej cebuli, cukrem i solą. Potem umiejętnie nadziewa się farszem obraną skórę, uważając...

ADAM: Umiejętnie...

HANNA: ...znowu uważając, żeby skórka nie pękła. Gotuje się. Czeką się, aż wystygnie, i zaprasza księdza Bonieckiego na Wigilię.

ADAM: Tak.

HANNA: Robiłam rybę po żydowsku raz w roku, tylko na Wigilię. Mam nadzieję, że pamiętasz, że Wigilię rozpoczynałeś przy tym stole?

ADAM: Jestem po wylewie, co prawda, ale to pamiętam doskonale.

HANNA: Według mnie zaczynałeś Wigilię u nas, zwykle o trzeciej albo czwartej, od *gefilte fisz* i śledzia z grzybami. Potem jechałeś do mamy, a na deser do mariażów. Adam przychodził, bo była ta moja ryba. Tylko po to przychodził.

ADAM: To prawda.

HANNA: I przynosił prezenty.

ADAM: I dostawał prezent.

HANNA: Dostawał jakiś skromny prezencik, przynosił wspinał.

ADAM: A wiesz, że mam do tej pory prezent od ciebie? Oprawę, w którą można włożyć bieżący kalendarz. Była już chyba używana, gdy mi ją dałaś, co prawda.

HANNA: Możesz mi mówić, co chcesz, żadnej oprawy nie pamiętam, ale nie sądzę, bym ci dawała używane prezenty.

Około szóstej, w czasie tych Wigilii, dzwoniła siostra Adama i nieco oschłym głosem pytała: „Czy mój brat ma zamiar przyjść do swojej matki na Wigilię?”.

„Tak, tak, on już się ubiera. Adasiu, poczekaj, twoja siostra dzwoni”. Tak było?

ADAM: Oczywiście.

„(...) Sobie życzę, byś mimo wszystko znajdował czas dla przyjaciół i ich ryb po żydowsku” – napisała Pani w liście do Adama, 10 lutego 1999 roku, gdy został naczelnym „Tygodnika”. Dużo było tych wspólnych Wigilii?

ADAM: Dużo? Spotykaliśmy się co roku przez długie lata. To była tradycja.

HANNA: Nie było Wigilii bez Adama. Przyjeżdżał do nas z różnych miejsc na święta. Gdy wracał z Rzymu, w latach 80., to to, co nam przywoził, było olśniewające. Nasze prezenty owinięte szarym papierem, bo innego nie było, od kwiaterek udawało mi się co najwyżej wyżebrać kawałek kolorowej wstążeczki. A on... prezenty w błyszczącym papierze, wstążki, girlandy. Mówiłam mu: „Adam, no bądźże człowiekiem, daj kawałek tej girlandy”.

Dawał?

HANNA: A skąd! Idź sobie, mówił, masz te swoje peerele.

Była też wspólna Wigilia u Bonieckich.

HANNA: Osiemdziesiąty dziewiąty rok, pierwsza po zmianie ustroju. Mój mąż →



→ był w Kanadzie, u naszej córki. Zostałam sama, więc Adam zaprosił mnie na Wigilię do swojej matki. Nagotowałam *gefilte fisz* i z wielkim półmiskiem wsiałam do autobusu. Cały autobus brzęczał garnkami i pachniał rybą, wszyscy coś dokądś wieźli. Przyjechałam za wcześnie. Nie chciałam wchodzić, nie wypadało, zwłaszcza do Bonieckich! Więc stałam z rybą po żydowsku pod bramą.

ADAM: Tyś stała pod bramą?!

HANNA: W tej samej kamienicy mieszkał Stanisław Różewicz, mój dawny szef z TOR-u, zespołu filmowego. Zadzwoniłam do Pawła, jego syna, żeby zszedł na dół i stał ze mną. „Pani Hanno, może do

nas pani przyjdzie na Wigilię?” – powiedział, gdy zobaczył, z czym stoję.

ADAM: Czy tu można palić?

HANNA: Oczywiście, wyjmuj fajkę. Czy pani widzi, czym Adam czyści fajkę?

„Elegancki wyciorek” – tak go Pani nazwała w tekście „Sceny z udziałem A.B.”.

HANNA: Adam europeizował się nam w szybkim tempie. Przez lata wynosiłam dla niego druciane spinacze z „Polityki”. W sklepach nie było tak dużych, więc zabierałam redakcyjne. Czyścił fajkę, sypał tytoń, ubijał – wszystko spinaczem z „Polityki”. I któregoś roku – przyjechał już wtedy do nas z Rzymu – bierze fajkę,

HANNA KRALL:

Jem bardzo subtelnie
– i do sali wchodzi jakiś
przystojniak. Świetnie ubrany,
we wranglerach!
Nie w podróbkach z bazaru,
tylko w oryginalnych,
zmierza wprost do mnie.

podaje mu spinacz, a Adam: „Zabierz to”. I wyjmuję coś precyzyjnego... O właśnie, coś takiego. Czy to jest srebrne, Adam?

ADAM: Oczywiście, że srebrne.

HANNA: I on z czymś takim śmiał się u nas pokazać. Koniec spinaczy był początkiem nowego Adama.

ADAM: Gadanie... Jaki Europejczyk się niby narodził?

HANNA: Nie byłeś Europejczykiem?

ADAM: Nie.

HANNA: Nawet brewiarz mówiłeś po włosku, przynaj się!

ADAM: No mówiłem, ale...

HANNA: Ja wiem, że Pan Bóg zna włoski, tego nie musisz mi tłumaczyć.

Jakie kłęby dymu wypuszczasz! Co ty robisz z tym talerzykiem? Ach... on kryształ na ciasto uznał za popielniczkę. Kryształową popielniczkę.

ADAM: (*wytrząsa tytoń z fajki na kryształowy talerzyk*): Co?

HANNA: W pałacu mieliście kryształowe popielniczki, przyzwyczajony jesteś.

ADAM: Nie zdążyłem się przyzwyczać, przecież wiesz.

Duże spinacze widziałam ostatnio w krakowskim mieszkaniu.

HANNA: Używa ich jeszcze? Może to był mój spinacz z „Polityki”? Więc z tą europeizacją chyba nie do końca... „Nowe nie całkiem jeszcze w nim zwyciężyło” – jak mawiał mój bohater, sekretarz partii.

ADAM: Wiesz, jednak wróciłem do Polski.

Numer z 22 stycznia 1978 roku. „Notes” – stała rubryka ks. Adama Bonieckiego. Od tego tekstu się zaczęło, prawda?

KS. ADAM BONIECKI:

Przychodzę do knajpy...
W recepcji mówią mi,
że Krall jest w jadalni.
Wyobrażasz
sobie osobę...
Uduchowioną...
A ona je kurczaka.

HANNA: Daniel Passent przyniósł mi wycięty „Notes” o „Zdążyć przed Panem Bogiem”. Nie czytałam wtedy „Tygodnika Powszechnego”, Passent go dostawał.

ADAM: Pamiętasz, co mi wtedy powiedział?

HANNA: Co?

ADAM: Że to była najlepsza recenzja twojej książki.

HANNA: Najciekawsza i najważniejsza. Właściwie to nie była recenzja. Adam zastanawiał się, czy moja książka jest bluźniercza. Stwierdził, że nie jest.

Że ktoś taki jak Marek Edelman ma prawo do porachunków z Bogiem. Chciałam poznać tego Bonieckiego, co tak inteligentnie napisał.

Umówił się chętnie?

ADAM: Oczywiście! W końcu Hanna Krall. Przychodzę do knajpy...

HANNA: Nie do knajpy, tylko do wytwornej restauracji w Hotelu Francuskim w Krakowie.

ADAM: W recepcji mówią mi, że Krall jest w jadalni. Wchodzę, a tam siedzi... umazana tłuszczem.

HANNA: Mów dalej, mów. Siedzi baba i spływa jej tłuszcz po rękach. Na pewno spływa aż po łokcie.

ADAM: Tego nie wiem, ale Hanna Krall... Wyobrażasz sobie osobę... Uduchowioną... A ona je kurczaka.

HANNA: Jem bardzo subtelnie – i do sali wchodzi jakiś przystojniak. Świetnie ubrany, we wranglerach! Nie w podróbkach z bazaru, tylko w oryginalnych, zmierza wprost do mnie i mówi: „Nazywam się Adam Boniecki. Powiedziano mi w redakcji, że pani Krall czeka na mnie dzisiaj wieczorem w Hotelu Francuskim. Oto jestem”. „Niech ksiądz usiądzie,



proszę bardzo”. I spokojnie dogryzłam udko. Kurczaka.

ADAM: Zaczęliśmy rozmawiać i ta rozmowa trwa do dziś.

O czym?

HANNA: O czym? O wszystkim.

W tej kuchni ze Zbigniewem Bujakiem, przywódcą podziemnej Solidarności.

HANNA: To było w stanie wojennym. Bujak był ścigany listem gończym, ukrywał się. Umierałam ze strachu, że uciec, chodząc za Adamem, natrafi na Bujaka.

ADAM: Szedłem tak, żeby nie trafili.

HANNA: Szedłeś chytrze?

ADAM: Oczywiście, że chytrze.

HANNA: Bujak przychodził z Wiktorem Kulerskim, swoim zastępcą. Ich zdjęcia wisiły we wszystkich komisariatach i nagle obaj siedzą w naszej kuchni, z księdzem Bonieckim. Strasznie się denerwowałam.

ADAM: Nie było widać po tobie.

HANNA: Starałam się zapanować nad sobą, zawsze się staram.

ADAM: Zupełnie nie było widać.

HANNA: Ludzie różnie pamiętają różne rzeczy.

I spotkania z Bujakiem inaczej zapamiętaliśmy. Ja – że przyszedł do nas w Nowy Rok, we fraku i w cylindrze...

ADAM: Nieeee...

→ **HANNA:** Poczekaj, spotkałeś się ze Zbyszkiem w naszej kuchni dwa razy. Za pierwszym razem był w cylindrze, ale tego możesz nie pamiętać, bo cylindra nie widziałeś. W kuchni była wtedy ścianka, a ty siedziałeś za nią. Otworzyłam drzwi, zobaczyłam Bujaka w tym sylwestrowym przebraniu. Oślupiałam lekko, a Zbyszek od razu: „Tylko mi nie mów, że to wszystko nie ma sensu. Tylko mi tego dzisiaj nie mów...”. „Zbyszku – szeptem – nie powiem ci, że to nie ma sensu, tylko, że jest u nas ksiądz Boniecki, który przyjechał z Rzymu. Gdybyś chciał przekazać coś Ojcu Świętemu, masz teraz okazję”. Spoważniał, zjął cylinder i frak, wszedł do kuchni w białej koszuli. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” – powiedział grzecznie, Adam: „Na wieki wieków” i zaczęli rozmawiać.

Za drugim razem Bujak był w szarym swetrze, który pamiętasz.

ADAM: I to spotkanie pamiętam.

HANNA: Nie ma to większego znaczenia. Ważne jest, że rozmawiali i że Adam mógł dowiedzieć się od ukrywającego się przywódcy podziemnej Solidarności, co dzieje się w Polsce, by później przekazać to papieżowi.

Bo to było ważne, żeby przekazać wszystko papieżowi?

ADAM: Gdy przyjeżdżałem z Polski, papież zapraszał mnie na śniadanie. Chciał wiedzieć, co się dzieje, słuchał, dopytywał.

HANNA: Mówisz, że ciągle ktoś opowiadał papieżowi o wydarzeniach z Polski. Myślę, że to ty zdawałeś mu relację, nie było tak?

ADAM: Zbierałem wiadomości, które trzeba było przekazać, ale nie byłem doradcą papieża w sprawach polskich, jak sądzili niektórzy. Wiem, że w pewnych sprawach to, czego dowiedziałem się w Polsce, także tu, w tej kuchni, wpłynęło na decyzje papieża. Na przykład na jego stosunek do Popiełuszki. Papieża szpikowali różnymi wiadomościami o Popiełuszce.

Kto szpikował?

ADAM: Byli ludzie, którzy znali papieża jeszcze z czasów duszpasterstwa akademickiego.

HANNA: I odgradzali go od Popiełuszki?

ADAM: Znałem Popiełuszkę dobrze, opowiadałem papieżowi o nim obszernie. To papież wpłynął na stosunek polskiego Kościoła do Popiełuszki.

HANNA: Może opowiedziałeś papieżowi i o pomyśle strajku włoskiego? Bujak ci o tym mówił – że Solidarność chce ogłosić taki strajk. Jurek, mój mąż, strasznie się na to oburzył. Strajk włoski to byle jaka praca. Polacy uważali taką pracę za cnotę patriotyczną. I w czasie zaborów, i podczas okupacji, i za komuny, i teraz Solidarność miałaby do bylejakości namawiać?! Pół roku później, podczas drugiej pielgrzymki, papież mówił o ewangelii pracy... Miło by myśleć, że wrócił do rozmyślań o godności pracy zainspirowany

relacją Adama. Relacją o sporach toczonych w naszej kuchni.

Papież zrobił na Pani wrażenie?

HANNA: Zwłaszcza za pierwszym razem, w Bazylice. Była to bardzo krótka rozmowa, ale jedna z ważniejszych w moim życiu. Potem Adam zaprosił mnie na mszę w Ogrodach Watykańskich.

ADAM: Papież był wyraźnie poruszony, wiedział, kto jest kto.

HANNA: Było tak: papież stał przede mną, ty za moimi plecami. „Ojcze Święty, to jest Hanna Krall” – przedstawiłeś mnie. Papież: „Acha”. Dodałeś: „Autorka »Zdażyć przed Panem Bogiem«”. Papież: „Acha”. Wtedy powiedziałam – to ja napisałam dla „Tygodnika” o „Kalendarium życia Karola Wojtyły”. Papież: „Achaaa...!! Dobrze napisała. Zwłaszcza o Bonieckim dobrze”. Na co ja: „O papieżu też nie najgorzej”. Papież: „Eee, o Bonieckim lepiej napisała”. I dodał: „Ksiądz Boniecki więcej o mnie wie niż ja sam wiem o sobie”. Tak było, prawda?

ADAM: Tak powiedział.

HANNA: Na pani miejscu zapytałabym Adama, co takiego wie o Karolu Wojtyle.

?

ADAM: Nie mam pojęcia.

HANNA: Adam skończył „Kalendarium życia Karola Wojtyły”...

Czyli szczegółowy zapis życia, dzień po dniu, aż do wyboru na papieża.



KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT”

Czytany przez Autora audiobook oraz bogato ilustrowana książka dostępna od 17 lipca 2024 r. w sklepie Wydawnictwa Poznańskiego na: www.wydawnictwopoznanskie.pl/sklep



HANNA: ...i przez wiele miesięcy nikt o tej książce nie pisał. Wszyscy chyba uważali, że to jest grube i nudne, bo co niby może być ciekawego w relacjonowaniu czyjegoś życia dzień po dniu.

ADAM: Niby.

HANNA: Adam był już wtedy w Rzymie, zadzwonił do mnie, nieco zbolały, że „Kalendarium...” przepadło. Z przyjaźni dla Adama pomyślałam – trudno, wezmę tę chałę i zobaczę, co tam jest. Zaczęłam czytać i okazało się, że to jest fascynujące. Zadzwoniłam do Jerzego Szackiego, że też musi „Kalendarium...” przeczytać, a on, żebym dała spokój. Nalegałam. Przeczytał. Oddzwonił: to jest świetne.

Napisałam tekst o „Kalendarium” i zrobiłam dwie krótkie rozmowy – z Michałem Głowińskim o języku Karola Wojtyły i z Jerzym Szackim o świecie, który wyłania się z „Kalendarium”. „Inny świat” – tak zatytułowałam. Tekst wysłałam do redakcji „Tygodnika”. Turowicz nie odzywał się przez miesiąc. Pomyślałam – na pewno razi go, że żadne z nas nie należy do Kościoła – Głowiński i ja nigdy nie należeliśmy, Szacki już nie należał. I pewnie będzie lekko strapiiony. Ale będzie się też zastanawiał, co na to papież. Bo przecież przeczyta. Oddzwonił w końcu, tekst pójdzie.

Najciekawsze w tych rozmowach było to, że Szacki mówił o „ich świecie”, „ich modlitwach”, „ich kalendarzu”. „Oni” – podkreślał. O Kościele nikt tak nie pisał,

każdy chciał do tego „ich” świata przynależeć.

„Świat Kościoła jest samowystarczającym światem” – mówił Szacki. Pani dopytywała, co go zaskoczyło w „Kalendarium”. Szacki: „Ta całkowita odrębność kalendarza właśnie. Szukałam nawet pewnych dat, ale ich nie znalazłam, wszystkich tych naszych październików, marców, grudnia... Tak naprawdę ważne jest co innego. Ważne jest, że ludzie się rodzą, cierpią, przyjmują ostatnie namaszczenie... to jest ten wymiar”.

HANNA: Ja też szukałam tych dat. W świecie Wojtyły one nie istniały.

ADAM: Nie było ich w „Kalendarium”, bo Wojtyła żył w innym rytmie.

HANNA: Z tego innego rytmu wyłaniał się jednak jakiś świat. Świat, który był też światem „Tygodnika Powszechnego”, prawda?

ADAM: Dla redakcji „Tygodnika” te wszystkie październiki, marce i grudnia nie istniały i były ważne. Wojtyła zapraszał Turowicza regularnie na spotkania. Turowicz wykladał mu, co się dzieje w Polsce.

W „Kalendarium” szukała Pani też nazwisk. Pisała Pani tak: „Gdyby Samuel Taub był stalinowskim śledczym albo sędzią skazującym na śmierć polskich patriotów, wiedzieli by o nim wszyscy”.

HANNA: Szukałam nazwiska Samuela Tauba, żydowskiego lekarza, który prowadził zagrożoną ciążę Emilii Wojtyłowej.

ADAM: Nie ma go w „Kalendarium”.

HANNA: Dzięki żydowskiemu lekarzowi macie polskiego papieża, ale o tym się nie pisze. I nie pamięta.

Szacki mówił też, że gdyby Wojtyła był z Warszawy, nie zostałby papieżem.

HANNA: „Kraków ma trwanie” – mówił Szacki.

Mam pewną anegdotę związaną z papieżem i Adamem, tylko błagam cię, Adam, nie zepsuj jej. Karol Wojtyła, jako metropolita krakowski, zapraszał cię, gdy byłeś duszpasterzem akademickim, prawda?

ADAM: Tak.

HANNA: Opowiadałeś mu, co słysząc w środowisku studenckim. Mówiłeś, a Wojtyła uważnie słuchał, prawda?

ADAM: Tak.

HANNA: Po czym Wojtyła mówił: „Ach tak”. Byłeś u niego raz w miesiącu, czyli dwanaście razy w roku i tak przez pięć lat. Czyli sześćdziesiąt razy powiedział: „Ach tak”. Potem został Janem Pawłem II i zaprosił cię do Rzymu, żebyś redagował polskie wydanie „L'Osservatore Romano”. Ale nie miałeś paszportu. Pojechałeś do Częstochowy, żeby papież cię zobaczył.

O dziwo, Adam na razie nie protestuje, proszę zauważyć. →



„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy.
Warto sobie uświadomić, że jest za co”
– tymi słowami

ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami:

„Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!”



HANNA KRALL jest reporterką. Ostatnio wydała książkę „Szczegóły znaczące”, której podstawą są teksty pisane dla „Tygodnika Powszechnego”, oraz wznowioną powieść „Sublokatorka”. Jesienią ukaże się w wydawnictwie a5 książka „Jedenaście”.

KS. ADAM BONIECKI jest dziennikarzem i duszpasterzem. Był redaktorem naczelnym polskiego wydania „L'Osservatore Romano”. Redaktor-senior „Tygodnika Powszechnego”.

Wszystkie zdjęcia:
Warszawa, maj 2024 r.

→ I papież cię zobaczył, zapytał: „Co ksiądz Adam tutaj robi, my czekamy na księdza w Rzymie”. Zawołałeś: „Ojciec Święty, ja nie mam paszportu!”. Wtedy papież strasznie się zdziwił, bo zapomniał, że można mieć takie kłopoty i powiedział: „Ach taaak”. I to było sześćdziesiąte pierwsze „ach tak” i tak Adam znalazł się w Rzymie.

W którym momencie mówię nieprawdę?

ADAM: Wszystko to święta prawda.

HANNA: A potem przynieśli ci paszport do domu. Miałeś u papieża jakieś chody, prawda?

ADAM: Nie miałem. Sprawa z paszportem to nie był wpływ papieża.

Wiesz czyj?

ADAM: Człowieka, który wytłumaczył ubekom, że głupio robią, że mi tego paszportu nie dają. Gdy go dostałem, ten człowiek powiedział: „Wyjedź w przeciągu dwóch tygodni, bo nie wiadomo, co może się stać”.

A pamiętasz, jak przyjechałaś do Rzymu i całą drogę z lotniska opowiadałaś, jak trudno było ci zdobyć paszport? Jedyne obok Koloseum, mówię: „Hanka,

patrz, Koloseum”, a ona nakręcona na to, co w Polsce.

W książce „Różowe strusie piórka” cytuję Pani list Adama, w którym Adam pisze, że „Tygodnik” „ma taki ton jak rozmowy przy tóžku ciężko chorego, a ja wpadam jak po powrocie z wycieczki, jak ktoś, kto nie wiedział o chorobie w domu. Nowy język powstaje beze mnie”. Mieszkając w Rzymie, traciło się polską perspektywę?

HANNA: Przed wyjazdem do Adama spotkałam się ze Zbyszkim Bujakiem, spytałam, czy chce coś przekazać za pośrednictwem księdza Bonieckiego papieżowi. Powiedział: „Proszę powiedzieć, że trwamy i będziemy trwali”. Adam przyjechał po mnie na lotnisko.

ADAM: Wybrałem specjalnie dłuższą powrotną trasę, żeby ci pokazać Rzym.

HANNA: Przejeżdżaliśmy obok Koloseum, wtedy powiedziałam: „Słuchaj, Zbyszek prosił, żeby ci powiedzieć, że oni trwają...”. Było to i podniosłe, i jakoś anachroniczne: „Trwamy i będziemy trwali”... Zdanie, które w Rzymie brzmiało jak z innej epoki. Adam powie-

dział: „Spójrz na Koloseum, ja nigdy nie widziałem tak oświetlonego Koloseum”. Pomyślałam – no tak, to jest to trwanie prawdziwe.

Spinacz z „Polityki” w „Tygodniku Powszechnym” – te dwa środowiska miały ze sobą kontakt w latach 80. i 90.?

ADAM: Nie.

HANNA: To były dwa osobne światy. Nie było między nimi kontaktu – ani politycznego, ani towarzyskiego. Dopiero myśmy je przełamali. Nawet nie przełamaliśmy, tylko uznaliśmy, że trzeba się spotkać – i tyle. Nie wiem, czy poza nami ktoś z „Polityki” spotykał się z kimś z „Tygodnika”.

ADAM: Rakowski raz się ze mną spotkał.

HANNA: Ze mną Turowicz – też raz. Byłam chyba małą atrakcją na Wiśnej, skoro i naczelny przyszedł mnie oglądać. Gdy potem przyjeżdżałam z „Polityki” na reportaż do Krakowa, szłam prosto z dworca do redakcyjnego pokoju Mieczysława Pszona. Po drodze kupowałam coś dobrego, Pszon już miał przygotowaną kawę i jedliśmy śniadanie. Bardzo się lubiliśmy. Przy wejściu do redakcji

„Tygodnika” skręcało się w lewo i pierwszy pokój po prawej, tuż przed gabinetem Turowicza.

Ludzie z „Polityki” nie bywali u ludzi z „Tygodnika” i odwrotnie. Ale nie było to nieprzyjemne, tak się po prostu ułożyło. Wiesz co, Adam? Dzisiaj „Polityka” i „Tygodnik Powszechny” są sobie bliżsi niż byli w PRL-u.

ADAM: Dlaczego ty piszesz takie skrócone teksty? Złożone z samych takich... bardzo trafnych, głębokich, ale trudnych do rozszyfrowania zdań.

HANNA: Uważasz, że powinnam pisać inaczej? Nie mówisz tego z przyganą, prawda?

ADAM: Wprost przeciwnie.

HANNA: Czyli z uznaniem mówisz?

ADAM: Z uznaniem. Próbowalem, czy potrafię tak pisać.

HANNA: I co, nie wyszło ci?

ADAM: No cóż.

HANNA: Bo ty piszesz o Panu Bogu. O Bogu trudno jest pisać skróciowo.

ADAM: Ja ci powiem, ty nie czytasz tego, co ja piszę.

HANNA: Zawsze czytam, nie opowiadam mi!

ADAM: Ja o Panu Bogu zawsze piszę? Dobrze, ale dlaczego piszesz tak skróciowo?

HANNA: Wszystko jedno o czym piszesz, twoje myślenie o Bogu i tak się nad tym unosi. A dlaczego tak skróciowo? Bo mój organizm niczego innego nie wytwarza. Jak piszę długie teksty, sama zaczynam

się nudzić. Znasz to uczucie, kiedy nudzisz się swoim pisanem?

ADAM: Oczywiście, każdy chyba zna. Ale kiedyś pisałaś długie, normalne teksty.

Czyli jakie?

ADAM: Na przykład artykuły z Rosji dla „Polityki”.

HANNA: Te artykuły to były reportaże. Napisałam też „Sublokatorkę” – prawdziwą, długą książkę. Że już nie wspomnę o „Zdążyć przed Panem Bogiem”.

ADAM: A teraz trafiam na teksty, rzadko!, których nie mogę zrozumieć. Czytam po dwa, trzy razy.

HANNA: Bo zaczęłam pisać o pamięci. Wiemy oboje, jak to jest. Ludzie się starzeją, tracą pamięć. Zaczynają mi coś opowiadać bez początku, bez końca. Nie mogę uzupełniać ich historii swoją wyobraźnią. Podajam za moimi bohaterami, za ich pamięcią i niepamiętaniem.

Rozmawialiście o Bogu?

HANNA: Adam był przy nas w najważniejszych momentach naszego życia. Był z naszymi dziećmi, kiedy wyjechały z Polski. Dzień przed pogrzebem Jurka był ze mną w tej kuchni.

ADAM: Tak było.

HANNA: Po pogrzebie na cmentarzu zapytałam Adama, czy spotkam się kiedyś z Jurkiem. Widziałam, że Adam nie jest tego pewny. Chciałam to na nim wymóc, chciałam, żeby mi obiecał. I w końcu po-

wiedział: „Tak, tak!”, ale powiedział, żeby mnie pocieszyć.

Spotkam się z nim, Adam?

ADAM: Zobaczymy.

HANNA: Zobaczymy?

ADAM: To jest też dziwne, wiesz, przyście tego mózgowego zatoru, taki moment, gdzie zupełnie nic... Myślałem, że umrę. I że nic więcej nie ma. Potem wiara... Czytałem książkę ojca Badeniego o wierze, świetną.

Co jest w niej świetnego?

ADAM: Przeszedł wszystkie tragedie, śmierć bliskich, utratę wiary. Złoty młodzienc, który nagle, w dziwny sposób, wstępuje do zakonu i staje się mistykiem. Jego pewność jest niesłychana.

HANNA: Pewność, że jest Bóg?

ADAM: Tak.

HANNA: Pewnie jest, ale inny niż Kościół to sobie wyobraził. Niż my wszyscy sobie wyobrażamy.

ADAM: Z Kościołem stało się coś takiego, że przez wieki obrósł także w rzeczy, które nie mają wiele wspólnego z Panem Jezusem.

HANNA: Już niedługo wszystko się okaże.

ADAM: Tak – wszystko się okaże.

HANNA: Już niedługo.

© Rozmawiała ANNA GOC

Rozmowa wejdzie w skład książki, która ukaże się w przyszłym roku w Znak.

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
 Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
 Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
 Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński,
 Marek Rąbaj, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz,
 Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
 Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
 Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
 Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska,
 Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska,
 Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn,
 Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał,
 Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński,
 Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran,
 Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frotow,
 Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron,
 Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Mateusz Gawron, Lech Krupa,
 Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo,
 Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz,
 Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik,
 Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
 Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska,
 Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
 Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz,
 Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Dragula,
 Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
 ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
 Eliza Kącka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz,
 Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
 Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka,
 Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
 Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
 Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak,
 Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
 o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
 Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
 Adam Róbiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
 kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek,
 Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
 Marcelina Zsumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
 Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
 reklama@TygodnikPowszechny.pl
 promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
 GRUPA TOYA
 S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Wojna na słowa



PYTANIE ZA STO PUNKTÓW: KTÓRĄ MODLITWĘ, odmawianą po dziś dzień powszechnie w synagogach, ułożył nie-Żyd? Domyślam się niedowierzania w Państwa oczach. Tymczasem proszę spojrzeć: „Jak dobre są twoje namioty, Jakubie, twoje siedziby,

Izraelu. Ja zaś, dzięki wielkiej łasce Twojej, przychodzę do Twojego Domu, z bojaźnią składam pokłon przed Twoją Świątynią. Panie, darzę miłością Dom, który zamieszkujesz, i Miejsce, gdzie przebywa Twoja chwała...” (tłum. własne, „Modlitewnik dla dzieci”). Oto słowa wypowiedziane po wejściu do synagogi, zwykle otwierające nabożeństwo. Tak, od drugiej frazy do końca modlitwy są to wyimki z psalmów. Ale pierwsze zdanie pada z ust Balaama syna Beora (Lb 24, 5).

Przypomnijmy: zbliża się kres czterdziestoletniej tułaczki po pustyni. Izraelici właśnie odnieśli dwa spektakularne zwycięstwa: nad Kananejczykami na Negewie i Amorytami w Transjordanii. Pozostaje przejście przez terytorium Moabitów, które od Ziemi Obiecanej oddziela jedynie rzeka Jordan. Pismo odnotowuje: „I uląkł się Moab tego ludu bardzo, gdyż licznym był, i zatrwożył się Moab przed synami Izraela. I rzekł Moab do starszych Midjanu: »Teraz pożre ten tłum wszystko wokoło nas, jak pożera wół trawę polną!«” (Lb 22, 3-4; Cyilkow). Mimo że – wedle Księgi Sędziów – Izraelici ostatecznie omijają Moab, ich władca zawczasu ubezpiecza się na okoliczność konfrontacji zbrojnej. Król Balak wynajmuje mezopotamskiego proroka Balaama (jego istnienie potwierdza inskrypcja z Dajr Alla), by przeklął Izraelitów, co ma zaowocować porażką militarną dotychczasowych zwycięzców.

Skąd taki pomysł i co to ma wspólnego z midianicką starszą (zob. cytaty powyżej)? Midrasz łączy wszystko w zgrabną całość. Wprawdzie Midianici i Moabici mieli ze sobą na pieńku, ale potencjalne zagrożenie ze strony Izraela powoduje, że zakopują topór wojenny. Moabici wiedzą, że Mojżesz spędził istotną część swego życia w Midianie – między ucieczką z Egiptu po zabiciu Egipcjanina a powrotem tamże, by stanąć na czele Exodusu. Pytają więc Midianitów, gdzie tkwi jego siła, i otrzymują odpowiedź, że w ustach. Postanawiają więc wystawić przeciwko niemu człowieka „mocnego w gębie”. Czy jednak jest to kwestia – jak śpiewała Dalida – „*paroles, paroles, paroles*” (słów, słów, słów)? A może jednak moc Mojżeszowej modlitwy? ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca: Prawdziwi obrońcy życia



JEZUS, WIDZĄC, ŻE TOWARZYSZĄCY MU „wielki tłum” jest zmęczony i głodny, pyta uczniów, gdzie można by kupić „chleba, aby oni się najedli”. Filip odpowiada, że jest to niemożliwe, aż tyle kasy nie mają.

Piotr mówi, że co prawda jest tu jeden chłopiec, który ma pięć chlebów i dwie ryby, lecz „cóż to jest dla tak wielu?”. Czyli pat. Tymczasem Jezus po odmówieniu być może takiej jak ta modlitwy: „Błogosławiony jesteś, Boże nasz, Królu świata, który wydobywasz chleb z ziemi”, zaczyna rozdawać ten skromny zapas i – o dziwo – wszystkich nakarmi do syta. W ten sposób Duch mówi Kościołowi, że czasami wystarczy jeden człowiek, żeby niemożliwe stało się możliwe, czyli wydarzył się cud. Apostołowie nieraz dziwili się Jezusowi, że nie wykorzystuje okazji i nie sięga po władzę. Z jeszcze większą trudnością przyjmowali do wiadomości, że powinni być jak Jezus „chlebem Bożym (...) który z nieba zstępuje i życie daje światu”.

Rok temu odbyła się beatyfikacja rodziny Ulmów. Zostali rozstrzelani za ratowanie ludzi wyjętych spod prawa, w tym przypadku Żydów. Zapłacili za to życiem, czyli własną krwią i ciałem. Na obrazach przedstawiających Ulmów atrybutami ich świętości są palmowa gałąź, lilie i krzyżyk, wszystko w landrynkowych kolorach. Tymczasem odpowiednimi symbolami świętości ich życia powinny być pług, świnię i owce, generator elektryczności, aparat fotograficzny, garnki, pieluchy i inne przedmioty codziennego użytku. Nie chce się też pamiętać, że ich proboszcz miał za złe Józefowi przynależność do Stronnictwa Ludowego, a Wiktorina „spadła z ambony”, tzn. została publicznie upomniana za uczęszczanie na kursy Uniwersytetu Ludowego i występowanie w amatorskim teatrze. Co Ulmów wcale nie zniechęcało do udziału w życiu parafii.

Byli rodziną wielodzietną, mieli dla kogo żyć, ale najczęściej wspomina się o tym w odniesieniu do aborcji, pomijając aspekt cielesności, seksualności i miłości. A przecież wiadomo, że dzieci nie biorą się z powietrza. Ale gdy trzeba było decydować, ocalić cudze życie za cenę swojego, czyli „głodnych nakarmić, spragnionych napoić, nagich przyodziać, przybyszów w dom przyjąć”, podjęli to śmiertelne ryzyko. Przysłowie mówi, że jakie życie, taka śmierć. Śmierć przyjęli ze spokojem. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Jarzmo lekkie?

Obudzić się
– to zaakceptować kruchość
i śmierć przez wzgląd
na niezniszczalne wewnątrz,
którego nie można rozpoznać
– którym można jedynie być.

THOMAS MERTON



Uczeń zapytał:
„Gdzie jest mój skarb,
co nim jest?”
Mistrz odpowiedział:
„To, co właśnie w tej chwili
zadaje pytanie,
jest twoim skarbem
– doskonale całkowitym,
któremu niczego nie brak.
Możesz w każdej chwili
go użyć, czego jeszcze
szukasz?”

Z DIALOGÓW MISTRZA CHAN
MAZU DAOYIEGO



Wybrał PIOTR SIKORA



„PRZYJDZIE DO MNIE
wszyscy, którzy utru-
dzeni i obciążeni jeste-
ście, a Ja was pokrzepię.
Weźcie na siebie moje
jarzmo i ucicie się ode

Mnie, bo jestem cichy i pokornego serca,
a znajdziecie ukojenie dla dusz waszych.
Albowiem słodkie jest moje jarzmo, a moje
brzemie lekkie” (Mt 11, 28-30) – piękna Ewan-
gelia ogłoszona nam niedawno w Liturgii.

Dlaczego jarzmo Jezusowe jest „słodkie”,
a Jego brzemie „lekkie”? Czy „lekkim” jest
przykazanie wybaczenia siedemdziesiąt sie-
dem razy? Czy słodkim jest polecenie mi-
łości do nieprzyjaciół? Czy tak prosto jest
„dać każdemu, kto cię prosi”? Albo zachować
w mowie dyscypliny: „Tak – tak; nie – nie”?
Wszystko to z pewnością nie jest ani słod-
kie, ani lekkie.

Ale może takim się stać. Podpowiedź kryje
się w pierwszym zdaniu: „Przyjdźcie do
Mnie (...), a Ja was pokrzepię”. „Pokrzepić”
kogoś to znaczy tyle, co dać mu „krzepę” –
wzmocnić go (w Wulgacie św. Hieronim
używa tu słowa *reficio*, co można dosłown-
ie przetłumaczyć: „uczynić na nowo”). Je-
zus nie zaczyna spotkania z nami od nałó-
żenia „jarzma”, tylko od obdarowania łaską
– mocą, siłą. Łaska idzie przed przykazaniem.
Fantastycznie to zrozumiał św. Augustyn
w zdaniu skierowanym do Jezusa w „Wy-
znaniach”: „Daj, co nakazujesz, i nakazuj, co
chcesz!”.

Czy takie właśnie doświadczenie mają lu-
dzie, którzy chcą spotkać Jezusa żyjącego
w Kościele? Czy rzeczywiście najpierw
otrzymują doświadczenie miłości, akcep-
tacji, przyjęcia i pokrzepienia, a potem do-
piero zestaw wymagań?

Jezusowe wezwanie do chodzenia w Jego
jarzmie dobrze jest jeszcze przeczytać
w kontekście wezwania św. Pawła w Liście
do Galatów (5, 1): „Ku wolności wyswobo-
dził nas Chrystus. A zatem trwajcie w niej
i nie poddawajcie się na nowo pod jarzmo
niewoli!”. Więc jak w końcu: mamy brać
jarzmo? Czy mamy mu się nie poddawać?

Odpowiedź jest jasna. Mamy chodzić
w jarzmie, ale nigdy w postawie niewol-
nika. „Jarzmo niewoli” zawsze jest ciężkie;
zawsze będziemy się mobilizować do tego,
by je zrzucić.

Wszystkim życzę radosnego „chodzenia
w jarzmie”. Dla mnie i moich współbraci
„jarzmem” jest kapłaństwo (dlatego dawniej
księża zakładali stuły, krzyżując je na pier-
siach); dla większości z nas jest nim małżeń-
stwo, które Liturgia nazywa „słodkim jarz-
mem” – to znaczy z doświadczeniem uprze-
dzającej łaski i wolności. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem
Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą.
Wydał wiele książek o historii, teologii
i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (28 VII – 4 VIII)

17. niedziela zwykła: 2 Krl 4, 42-44;

Ps 145; Ef 4, 1-6; J 6, 1-15;

Poniedziałek: 1 J 4, 7-16; Ps 34;

J 11, 19-27 lub Łk 10, 38-42;

Wtorek: Jr 14, 17-22; Ps 79; Mt 13, 36-43;

Środa: Jr 15, 10. 16-21; Ps 59; Mt 13, 44-46;

Czwartek: Jr 18, 1-6; Ps 146;

Mt 13, 47-53;

Piątek: Jr 26, 1-9; Ps 69; Mt 13, 54-58;

Sobota: Jr 26, 11-16. 24; Ps 69; Mt 14, 1-12;

18. niedziela zwykła: Wj 16, 2-4. 12-15;

Ps 78; Ef 4, 17. 20-24; J 6, 24-35.

WSZYSTKO TRZESZCZY

Koalicja 15 Października przechodzi ciężkie dni. Porażka w głosowaniu nad depenalizacją aborcji, kłótnie o związki partnerskie i o niedzielny handel. Czy grozi to dekompozycją obozu rządowego?

PIOTR ŚMIŁOWICZ



WPIĄTEK W SEJMIE ZROBIŁO SIĘ bardzo nerwowo. Wszystko przez wynik głosowania nad ustawą dekryminalizującą aborcję. Do jej uchwalenia zabrakło czterech głosów, i to pomimo nieobecności aż 14 polityków PiS (w części nieprzypadkowej) oraz mobilizacji proaborcyjnych klubów KO, Lewicy i Polski 2050.

O porażce koalicji rządzącej zdecydowała nieobecność wiceministra rozwoju i technologii Waldemara Śługockiego, będąca dla kierownictwa klubu KO zaskoczeniem. Zabrakło też minister ds. społeczeństwa obywatelskiego Agnieszki Buczyńskiej oraz wiceministra obrony Pawła Zalewskiego, czyli konserwatysty z Polski 2050, co zwłaszcza dla polityków lewicy nie było przypadkiem. – Joanna Mucha przyszła, choć jest po operacji, a Buczyńska nie mogła? Kosiniak-Kamysz zdążył ze szczytu NATO, a Paweł Zalewski nie? – zastanawia się jedna z posłanek klubu.

Co do Romana Giertycha, na którego spadła największa krytyka, trudno było się dziwić, że nie wziął udziału w głosowaniu. Wiele razy deklarował, że poglądów na aborcję nie zmienił, choć posłowie lewicy zaczęli od razu podnosić, że tym razem po prostu zakpił sobie z Donalda Tuska, któremu przecież miał obiecywać, że będzie posłuszny dyscyplinie klubowej.

Jednak największym negatywnym bohaterem głosowania był klub PSL, w którym aż 24 posłów zagłosowało za odrzuceniem projektu; poparły go tylko cztery posłanki. Jak można było potem usłyszeć, kilku parlamentarzystów PSL było skłonnych wstrzymać się od głosu, ale zostali nakłonieni przez kierownictwo, żeby jednak zagłosować przeciw i zademonstrować samodzielne, wyraziste stanowisko polityczne.

Kto zniknie ze sceny

Udało się – znów wszyscy mówią o PSL. Taka gra ma jednak swoje konsekwencje i swoją logikę. Powoduje, że inni koalicjanci mają silną pokusę odegrania się na ludowcach. W efekcie politycy całej Trzeciej Drogi mogą już chyba zapomnieć o rychłej realizacji ich postulatów programowych, np. liberalizacji zasad handlu w niedzielę. Sam Ryszard Petru

*Zaprzysiężenie rządu Donalda Tuska w Pałacu Prezydenckim.
Warszawa, 13 grudnia 2023 r.*

z Polski 2050, promotor tej sprawy, przyznaje, że na razie nie ma szans na przeformowanie projektu, wcześniej muszą opaść polityczne emocje.

Nie będzie też zapewne szans na obniżenie składki zdrowotnej dla przedsiębiorców, co jest innym postulatem Trzeciej Drogi, mocno kontrowanym przez lewicę i przez większość gabinetu Donalda Tuska (z uwagi na sytuację finansów państwa).

Prezes PSL Władysław Kosiniak-Kamysz zdaje sobie sprawę, że w koalicji zaznaczyły się duże różnice. Ostatnio piętnował lewicę również za głosowanie przeciw ustawie o ochronie granicy. „Jeżeli za sprawą bezpieczeństwa granicy nie głosuje się i ma się tutaj inne zdanie, że obrona granicy nie jest priorytetem, to jest to powód do rozmowy” – utyskiwał w TVN24.

Jednak za kryzys w koalicji prezes PSL nie powinien winać samej lewicy, ale uderzyć się w piersi. Ludowcy realizują ostatnio własną linię, odmienną od koalicyjnej, a nawet od partnerów z Polski 2050. Po bardzo słabym wyniku w wyborach do Parlamentu Europejskiego kierownictwo PSL przyjęło strategię, by wyrwać się z dławiącego scenę polityczną duopolu KO–PiS.

W Koalicji Obywatelskiej powitano ze zdumieniem słowa Kosiniaka-Kamysza, który ostro skrytykował przywrócenie w Muzeum II Wojny Światowej ekspozycji sprzed 2016 roku, ograniczającej rolę Witolda Pileckiego i św. Maksymiliana Kolbe. W tej sprawie nawet Szymon Hołownia wypowiadał się inaczej, przekonując, że politycy nie powinni mieszać się do decyzji podejmowanych przez historyków. Tymczasem prezes ludowców współbrzmiał w tej sprawie z PiS. Skutkiem jego słów był brak posłów PSL na posiedzeniu sejmowej komisji kultury zajmującej się tą sprawą.

Zdaniem jednego z polityków PiS taka postawa walczącego o życie PSL nie może dziwić. Oczekuje on więc kolejnych „tożsamościowych” gestów PSL, przy jednoczesnym zanikaniu wyrazistości politycznej Polski 2050. Z lewicą będzie inaczej, przekonuje, ona nie odpuści walki, podnosząc na sztandary sprawę aborcji czy związków partnerskich.

– Niewiele to jej pomoże. Tusk dąży do zjedzenia przystawek, zwłaszcza Polski 2050 oraz lewicy, i stawiam, że mu się to uda. Niedługo część posłów obu ugrupo-

wań przejdzie do KO, czyli stanie się to, co kiedyś z Nowoczesną. Hołownia będzie trzymany na stanowisku marszałka Sejmu do końca kadencji, bo przecież wyborów prezydenckich nie wygra. Poza układem będzie też partia Razem. Faktycznie będzie to model bardzo podobny do tego, jaki był w latach 2007–15. Silna PO i słaby, lecz niezależny PSL – prorokuje parlamentarzysta PiS.

Węzeł gordyjskiego uporu

Na razie czeka nas kolejny akt aborcyjnego dramatu, który może jeszcze pogłębić podziały. Lewica nie odpuszcza, zapowiadając kolejny pomysł depenalizacji. Politycy PSL upierają się zaś przy swoim. Kosiniak-Kamysz przekonuje w mediach, że jeśli lewica ponownie złoży swój projekt, ludowcy znowu zagłosują przeciw. „To nie jest objęte umową koalicyjną. PSL jest osobną partią, nie jest niczym wasalem. Mamy swoją politykę i mamy jedną zasadę od lat, którą znają nasi partnerzy koalicyjni, nigdy nie było to problemem w koalicji z Platformą” – zaznaczył w TVN24.

Jednocześnie przedstawiciele obu ugrupowań Trzeciej Drogi coraz mocniej domagają się, by sejmowa komisja nadzwyczajna zajęła się teraz ich projektem, dotyczącym przywrócenia tzw. kompromisu aborcyjnego sprzed werdyktu Trybunału Konstytucyjnego. – Nasza ustawa nie tylko wraca do stanu sprzed 2020 r., ale rozszerza ówczesne możliwości, gwarantując większe bezpieczeństwo kobiet. Przede wszystkim ten projekt ma szansę przejść, więc powinien trafić pod obrady – przekonuje szef klubu Polski 2050, Mirosław Suchoń. Wcześniej wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski wręcz oświadczył w Tok FM, że PSL żąda od komisji, by przyjęła ich projekt dotyczący aborcji.

Z kolei liderzy Polski 2050 wracają do swojego postulatu referendum, podkreślając, że zdominowany przez mężczyzn parlament nie powinien decydować w takiej sprawie. Szymon Hołownia przekonywał niedawno, że skoro nie ma większości w Sejmie, referendum może być jedyną drogą do zmiany prawa aborcyjnego. Tyle że lewica nie chce o nim słyszeć; nie ustąpi też w kwestii ustawy o depenalizacji.

Sytuacja jest jak węzeł gordyjski, bo PSL na ten dyktat lewicy, współorganizującej już protesty kobiet przeciw postawie ludowców, odpowiada utwardzeniem ➔

→ stanowiska w drugiej światopoglądowej sprawie – ustawy o związkach partnerskich.

Czy jest jakaś szansa na odwrócenie tej eskalacji tożsamościowych zachowań? Posłanka Anita Kucharska-Dziedzic z lewicy przyznaje, że projekt dekryminalizacyjny na pewno znowu pojawi się w Sejmie; kwestią do dyskusji jest tylko to, czy będzie tożsamy z tym złożonym przez lewicę na początku kadencji. Ona sama jest zwolenniczką modyfikacji projektu, bo to może zwiększyć szanse na uchwalenie. Przypomina zarazem, że komisja nadzwyczajna uwzględniła część uwag zgłoszonych przez PSL do tej ustawy, lecz niewiele to pomogło. Z kolei w klubie KO niektórzy nieoficjalnie przyznają rację Romanowi Giertychowi, który po zawieszeniu w prawach członka klubu ostro skrytykował projekt depenalizacyjny, nazywając go „bublem prawnym”. – Rozwiązaniem może być ograniczenie pomysłu odstąpienia od karania za pomoc w dokonaniu aborcji tylko do kręgu najbliższej rodziny – mówi jeden z posłów KO.

Próby poszukiwania porozumienia w ramach koalicji rządowej nie mogą dziwić, bo krótko po niefortunnym piątkowym głosowaniu wicemarszałek Sejmu i lider Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty zasugerował, że zbyt duże różnice między koalicjantami mogą wręcz zagrozić trwałości koalicji. – Granie na rozpad koalicji równa się dążeniu do szybkiego powrotu PiS do władzy – komentuje Mirosław Suchoń z Polski 2050. W podobnym duchu wypowiadał się niedawno Szymon Hołownia.

Deklaracje przedstawicieli lewicy brzmią podobnie. – Jeśli będziemy wyborcom pokazywać, że się wzajemnie blokujemy, następnym razem na nas nie zagłosują – przyznaje Anita Kucharska-Dziedzic.

Z kolei szef klubu KO Zbigniew Konwiński uspokaja, że za jakiś czas wydarzenia związane z prawem do aborcji będą tylko epizodem. – Przed nami długa kadencja. Jestem przekonany, że koalicja po pierwsze przetrwa, po drugie: wygra następne wybory – mówi Konwiński, zapowiadając jednocześnie rozmowy z PSL na temat ich ostatnich postulatów.

Paradoksalnie sytuację w koalicji poprawiło ubiegłotygodniowe zamieszanie wokół immunitetu byłego wicemi-

Tarcia będą silne,
ale do wyborów
prezydenckich koalicja
rządząca powinna przetrwać.

**Co się wydarzy potem,
nikt nie potrafi przewidzieć.**

nistra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego. Wpadka prokuratury, związana z nieuwzględnieniem immunitetu Romanowskiego jako delegata do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, na nowo zbudowała zasadniczą oś konfliktu politycznego między Koalicją 15 Października a PiS.

Prawica razem z PSL?

Partia Jarosława Kaczyńskiego po serii wewnętrznych konfliktów odzyskała wigor właśnie dzięki obronie Romanowskiego – po raz pierwszy od dawna na wspólnej konferencji z podejrzanym politykiem wystąpił szef klubu PiS Mariusz Błaszczak. Po drugiej stronie sporu historia z Romanowskim nie tylko scaliła bardziej koalicję, ale też nieco odbudowała pozycję Giertycha, który wreszcie współbrzmiał z większością polityków KO.

Z naszych rozmów wynika, że wszystko w koalicji da się „ogarnąć”. Poważnym problemem jest jednak wspomniana już walka o własną tożsamość PSL. Jak daleko ludowcy mogą się posunąć? I czy możliwa jest sytuacja, że różnice będą tak duże, iż będą woleli związać się z PiS, jeśli w partii tej dojdzie do frondy i stworzenia nowego ugrupowania. Mówi się w tym kontekście o Mateuszu Morawieckim, Andrzeju Dudzie, a także o Beacie Szydło.

Niektórzy politycy PSL przyznają, że opcja sojuszu z PiS wchodzi w grę tylko w przypadku rozłamu na prawicy. Uchodzący w PSL za największego zwolennika porozumienia z PiS Marek Sawicki także przekonuje, że dziś taka koalicja nie miałaby sensu. – Jeśli PiS się rozliczy z tego, co nakradł, odsunie winnych, to będziemy mogli rozmawiać – mówi.

Sam PiS też jest sceptyczny. Jeden z polityków przekonuje, że dopóki na czele ludowców stoi Kosiniak-Kamysz, poro-

zumienie nie jest możliwe. Przypomina, że obecny wicepremier i szef MON był kuszony stanowiskiem premiera w rządzie PiS-PSL. Nawet Kaczyński potajemnie spotykał się w tej sprawie z ojcem prezesa PSL, dawnym ministrem zdrowia w rządzie Tadeusza Mazowieckiego Andrzejem Kosiniakiem-Kamyszem, ale nic nie wskórał.

Politolog dr hab. Olgierd Annusewicz z Uniwersytetu Warszawskiego przyznaje, że w polityce nie ma rzeczy niemożliwych, ale prawdopodobieństwo zawarcia koalicji PSL z PiS nie jest wysokie. – PSL tylko by na tym stracił. Przecież w ciągu ostatnich lat największą część swojego elektoratu utracił właśnie na rzecz PiS. Jeśli doszłoby do bliskiej współpracy obu ugrupowań, to wiejski wyborca mógłby powiedzieć: skoro oni i tak działają razem, to lepiej poprzyjmy tego większego – mówi politolog.

Koalicyjne rozmowy między PSL a PiS nie byłyby pierwszą. Toczyły się już za poprzednich rządów partii Kaczyńskiego, w 2006 roku. Ludowcy wtedy się z nich wycofali w ostatniej chwili i chyba zrobili dobrze. Dalszy los tych, którzy koalicję zawarli – Samoobrony i LPR – był fatalny.

Niemniej jednak Annusewicz spodziewa się dalszych, autonomicznych głosowań PSL, nawet wbrew koalicji. Poza tym Władysław Kosiniak-Kamysz musi cały czas walczyć o swoją pozycję, bo PSL jest starą partią, z tradycjami obalania prezesów i jest tam wielu takich, którzy sądzą, że noszą buławę prezesa w plecaku. W tej ostatniej kwestii jest zresztą istotna różnica między PSL a Polską 2050, w której Szymonowi Hołowni nikt nie zagraża. Stąd wraz z upływem czasu należy się rzeczywiście spodziewać coraz większych rozdźwięków w ramach sojuszu Trzeciej Drogi.

– Tarcia wewnętrzne będą silne, ale moim zdaniem do wyborów prezydenckich jedności całej koalicji nic nie zagraża. Co się wydarzy potem, nikt nie potrafi powiedzieć – ocenia politolog.

Jedno zaś nie zmieni się prawdopodobnie nawet po wyborach prezydenckich, co szczerze przyznaje jeden z polityków KO – w tej kadencji Sejmu nie uda się uchwalić zmiany prawa aborcyjnego w żadnej postaci. Nawet po zmianie prezydenta. I na tym właśnie, jak mówi, polega nieodwracalność aborcyjnego pęknięcia.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS

Przed posiedzeniem aresztowym posła Suwerennej Polski Marcina Romanowskiego.
Warszawa, 16 lipca 2024 r.

Areszt nietymczasowy

STEFAN SĘKOWSKI

Polskie sądy i prokuratury od lat kochają wsadzać podejrzanych za kratki. Obecna koalicja rządząca miała wprowadzić w tej kwestii nowe standardy respektujące prawa obywatelskie, ale idzie to opornie.

PROKURATURA KRAJOWA SKOMPROMIOWAŁA SIĘ PRZED SĄDEM, WNIOSKUJĄC O areszt dla byłego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego. Nie chodzi o sprawy merytoryczne; co do wagi zarzutów kierowanych w stronę polityka Suwerennej Polski nie ma wielkich wątpliwości po ujawnieniu nagrań potwierdzających jego udział w największej aferze epoki PiS. Polegała ona na wysysaniu budżetu państwa dla celów partyjnych poprzez Fundusz Sprawiedliwości, mający w założeniu służyć ofiarom przestępstw. Kompromitacja prokuratury wiąże się ze szkolnym błędem, czyli upartym twierdzeniem, że Romanowski nie obejmuje immunitetu, choć jest on polskim delegatem do Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. W sprawie interweniował już przewodniczący ZPRE, pisząc list do marszałka Sejmu Szymona Hołowni, a międzynarodowy skandal zażegnała decyzja są-

dziego (i nie był to wcale neosędzia), który odrzucił wniosek o areszt.

Dla ludzi nieznających szczegółów afery będzie to przesłanka, że być może cała sprawa jest „deta”. Nie o Fundusz Sprawiedliwości chodzi jednak w tym artykule, lecz o łatwość, z jaką polscy śledczy ślą wnioski o areszty, oraz uległość, z jaką sądy na nie reagują. W tym kontekście, paradoksalnie, decyzja wymiaru sprawiedliwości na warszawskim Mokotowie poszła w poprzek praktyce, która w Polsce jest daleka od standardów europejskich.

Siedem lat bez wyroku

Pod koniec czerwca 2024 r. w polskich aresztach śledczych przebywało 8255 osób. Ponad 600 z nich spędziło tam więcej niż 2 lata. Jedną z nich jest Robert J., który już siedem lat czeka za kratami na prawomocny wyrok. Jest oskarżony o to, że ćwierć wieku temu zamordował Katarzynę J. Krakowską studentkę religio-

znawstwa wcześniej miał torturować, zaś jej zwłoki poćwiartować i zedrzeć skórę, by zrobić sobie z niej płaszcz. Pod koniec czerwca tego roku sąd apelacyjny planował wydać ostateczną decyzję, jednak zdecydował o powtórnym rozpatrzeniu sprawy. Przychylił się do argumentów obrońcy „Skóry” (taki pseudonim nadano oskarżonemu), któremu nie dano prawa do konfrontacji ze świadkami, którzy złożyli anonimowo zeznania obciążające człowieka skazanego w pierwszej instancji na dożywocie. Poważne wątpliwości są też w sprawie badań morfologicznych włosów znalezionych w jego mieszkaniu. Tego rodzaju analiza nie jest badaniem pozwalającym na 100-procentową pewność, czy włosy należały, czy też tylko mogły należeć do ofiary zbrodni.

Mimo tych wątpliwości sąd przedłużył Robertowi J. areszt do końca października, choć jego obrońcy wnioskowali, by brał udział w sprawie z wolnej stopy – wniosek poparła Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Jeśli oskarżony ostatecznie zostanie uniewinniony, Skarb Państwa będzie musiał mu zapewne wypłacić ogromne odszkodowanie.

Kara orzekana awansem

Areszt w teorii służy temu, żeby podejrzany lub oskarżony nie mógł utrudniać śledztwa. Można go stosować, gdy grozi mu wysoka kara, jest bardzo prawdopodobne, że popełnił przestępstwo, istnieje groźba niszczenia dowodów lub wpływania na świadków albo ryzyko popełnienia przez podejrzanego kolejnego przestępstwa, czy też możliwość jego ucieczki za granicę. O areszt wnioskuje prokurator, zgodę wydaje sędzia.

Pozostawienie domniemanego sprawcy za kratami jest dopuszczalnym, a czasem wręcz koniecznym środkiem zabezpieczającym. Niestety, w Polsce mocno nadużywany. Zasadniczo w areszcie powinno się przebywać maksymalnie rok do czasu postawienia aktu oskarżenia, a potem rok do zakończenia sprawy. W praktyce może to trwać znacznie dłużej. W ostatniej dekadzie średnia długość aresztu orzeczonego w postępowaniach przed sądami okręgowymi oscylowała w granicach 6-7,4 miesiąca, zaś przed rejonowymi 12,9-15,3 miesiąca.

Problem pokazuje lepiej inna statystyka. W 2015 r. pięć osób siedziało w areszcie w trakcie postępowania ➔

→ przygotowawczego dłużej niż dwa lata. W 2022 r. było to już 51 osób. Jest to efekt tego, że postępowania przygotowawcze ciągną się coraz dłużej. W 2015 r. trwających ponad dwa lata było 1346, w 2022 r. – aż 3182.

Z patologiami związanymi z aresztem tymczasowym borykamy się od lat. Już w 2009 r. Europejski Trybunał Praw Człowieka wydał wyrok w sprawie: Adam Kauczor przeciw Polsce, w którego uzasadnieniu stwierdził, że Polska ma strukturalny problem z nadmiernym stosowaniem aresztów. ETPC uznał za bulwersujące, iż niesłusznie oskarżony o zabójstwo Kauczor przesiedział w areszcie niemal osiem lat.

Z kolei w październiku 2023 r. Trybunał nakazał wypłacić byłej żonie twórcy Amber Gold, Katarzynie P., 6,5 tys. euro zadośćuczynienia za bezzasadnie długi areszt bez wyroku. Kobieta spędziła za kratkami ponad sześć lat. I choć okres ten wlicza się do kary, którą obecnie odsiadyuje (12,5 roku) za stworzenie piramidy finansowej, to jednak zadośćuczynienie (w sumie niewielkie) trzeba będzie jej wypłacić za przewlekłość postępowania.

Areszt nie może być traktowany jako „przedkara”, jednak w Polsce często tak jest. Efekt? W latach 2015-2020 Polska wypłaciła osobom niesłusznie bądź zbyt długo aresztowanym prawie 80 mln zł.

Śledczy lubią pisać wnioski

Podejrzanemu można nałożyć dozór policyjny, nakazać wpłatę kaucji lub zakazać wyjazdu z kraju. Nasi prokuratorzy bardzo jednak polubili areszty. W nich dużo łatwiej jest kontrolować podejrzanych. Niestety, nie zawsze są one właściwie uzasadniane i nie zawsze trafiają do sędziów, którzy potrafią sprawnie ocenić, czy liczyć się powinien bardziej interes prokuratury, czy podejrzanego – w świetle prawa wciąż niewinnego. Często też sędzia dostaje wniosek o areszt na kilka godzin przed upływem ustawowych 48 godzin od zatrzymania. Czasem towarzyszy mu kilka tomów akt, z którymi nie ma kiedy się zapoznać. Sędziowie przyznają, że praktycznie o wiele łatwiej jest wydać zgodę: wystarczy skopiować uzasadnienie z pisma prokuratora, nad odmową trzeba się głowiąć wiele godzin dłużej. W efekcie w latach 2013-2021 aż 89-92 proc. wniosków roz-

*Doprowadzenie
do prokuratury
Roberta J.
oskarżonego
o brutalne
zamordowa-
nie studentki.
Kraków,
5 października
2017 r.*



patrywanych było pozytywnie (w 2022 r. odsetek ten spadł jednak do 86 proc.).

Liczba osób przebywających w areszcie tymczasowym zależy więc w ostatecznym rozrachunku od liczby wniosków. Ta zaś rosła lawinowo za rządów Prawa i Sprawiedliwości oraz pełnienia przez Zbigniewa Ziobrę funkcji ministra sprawiedliwości.

W 2015 r. śledczy złożyli takich wniosków 13,7 tys., a w 2023 – już 22,9 tys. (dla porównania, w pierwszym półroczu obecnego roku podobnych prośb było 10,6 tys., co oznacza minimalną tendencję spadkową). W epoce PiS wzrosła także liczba wniosków o przedłużenie okresu tymczasowego aresztowania. Według dostępnych danych: z 6,5 tys. w 2015 r. do 14,2 tys. w 2019 r. (tu odsetek sądowych zgód wynosi nawet 95 proc.). Jednym z powodów tego progresu jest fakt, że za rządów PiS zmieniono prawo tak, by sędziom trudniej było odmówić aresztu. I tak Sejm wprowadził do Kodeksu karnego przepis mówiący, że jeśli czyn jest zagrożony karą co najmniej 8 lat więzienia, powstaje domniemanie możliwości mataczenia. Ponadto dał prokuratorowi możliwość zablokowania zamiany aresztu na poręczenie majątkowe i odmowy przyjęcia takiego poręczenia, jeśli środki na nie pochodziły z „niewłaściwego źródła” (nieważne jest, czy chodzi tu o kradzież czy legalną pożyczkę).

Potworna nuda

Warunki w areszcie nie różnią się zasadniczo od tych w więzieniu. Zgodnie z pra-

wem aresztantowi przysługują w celi co najmniej trzy metry kwadratowe na głowę. W praktyce oznacza to, że przebywa on w niewielkim pomieszczeniu z kilkoma innymi aresztantami. W pokoiku znajdują się zazwyczaj łóżka piętrowe, jakiś stolik, krzesła. Obowiązuje bezwzględny internetowy detoks, łatwiej jest o zgodę na dostęp do telewizora, ale trzeba go sobie załatwić samemu. O pozwolenie na lekturę prasy trzeba prosić dyrektora. W aresztach są zarazem łatwiej dostępne biblioteki, w których można wypożyczyć książki. W ciągu dnia jest również czas na godzinną przechadzkę na spacerunku.

Zasady przebywania w aresztach są czasem bardziej rygorystyczne niż w przypadku więźniów. Tragedią jest przede wszystkim ograniczony kontakt z bliskimi. Przykładowo oskarżony o korupcję i przyjęcie 6 mln zł łapówki Sławomir Nowak (były minister w rządzie PO-PSL), przez siedem miesięcy pobytu w areszcie nie mógł kontaktować się z rodziną. To jest zresztą zwyczajowa forma nacisku na niektórych podejrzanych. Chodzi o to, by ich w ten sposób złamać i skłonić do współpracy ze śledczymi.

Najczęściej jednak prokuratura zgadza się na widzenia. Jak wynika z raportu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka „O standardzie, który się nie przyjął (w Polsce). Praktyka stosowania tymczasowego aresztowania w świetle przepisów Europejskiej Konwencji Praw Człowieka” z 2023 r. – odsetek odmów oscyluje w granicach 5-8 proc. Gorzej jest



ANNA KACZMARZ / POLSKA PRESS / EAST NEWS

ze zgodami na rozmowy telefoniczne z bliskimi: tu odsetek odmów wynosi ok. 50 proc.

HFPC opisuje w swym raporcie sytuację aresztowanego XK, który nie miał żadnego kontaktu z rodziną przez rok i dziewięć miesięcy; odmawiano mu widzeń ze względu na pandemię COVID-19, a jednocześnie zakazywano też rozmów telefonicznych. Z kolei aresztantowi XS odmówiono rozmów z konkubiną i córką, mieszkającymi w Norwegii. Prokuratura uniemożliwiła mu także wysłanie do nich listu w języku norweskim, ponieważ nie potrafiła go przetłumaczyć i ocenzurować. Korespondencję miał prowadzić w języku polskim, choć nasze prawo nie zna takiego obowiązku.

W polskich aresztach wykluczone są również widzenia bez dozoru. To odróżnia areszty od więzień, w których, jeśli skazani sprawują się przykładowo, mogą liczyć nawet na intymne spotkania z małżonkami czy partnerami/partnerkami.

– W areszcie jest przede wszystkim potwornie nudno. Osadzony siedzi tam w czterech ścianach ze swoją sprawą, nie mając na nic wpływu. To ma bardzo deprymujący wpływ na jego samopoczucie – mówi „Tygodnikowi” dr Piotr Kładoczny, wiceprezes zarządu Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Jest to tym bardziej dramatyczne, gdy areszt jest przedłużany.

Czas na zmiany

– Mamy bardzo restrykcyjne społeczeństwo, ono nie lubi czekać na wyrok. Gdy

pojawia się podejrzenie, natychmiast podnoszą się głosy, że danego człowieka należy posadzić w areszcie – mówi „Tygodnikowi” sędzia Sądu Najwyższego i przewodniczący Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Karnego, prof. Włodzimierz Wróbel. Zauważa on, że prokuratorzy są w Polsce przeciążeni pracą, bo oprócz dużych spraw muszą prowadzić także wiele mniejszych. – Wiele z nich mogłoby zostać rozwiązanych przez tryb konsensualny, zanim dojdą do sądu. To takie kwestie jak drobne kradzieże, niepłacenie alimentów czy oszustwa. To są sytuacje, w których możliwa byłaby ugoda pomiędzy przestępcą a ofiarą. Dzięki temu prokuratorzy mogliby szybciej pracować nad sprawami, które wymagają aresztów – dodaje prof. Wróbel.

Rządząca obecnie większość obiecywała w kampanii, że postawi tamę patologiom. Nowy minister sprawiedliwości Adam Bodnar, jeszcze jako Rzecznik Praw Obywatelskich, często przecież interweniował w tego typu przypadkach. – Kilka tygodni temu Komisja Kodyfikacyjna Prawa Karnego przekazała do ministerstwa projekt tzw. ustawy naprawczej, która usuwa najbardziej rażące zmiany wprowadzone w ostatnich latach. Chodzi o przepisy, które nakazywałyby stosowanie bardziej precyzyjnych kryteriów przedłużenia aresztu tymczasowego – mówi „Tygodnikowi” prof. Wróbel. – Jednak są to, póki co, tylko plasterki racjonalizujące istniejące rozwiązania. Do końca roku przedstawimy projekt pełnej reformy środków zapobiegawczych – dodaje.

Co się w niej znajdzie? – Ważne są dwie kwestie: jak skrócić czas przebywania w areszcie i jak, w uzasadnionych przypadkach, stosować inne środki zapobiegawcze. Myślimy nad wprowadzeniem nowego środka, który byłby czymś pomiędzy poręczeniem majątkowym a tymczasowym aresztowaniem. Nie jest wykluczone, że będzie to dozór elektroniczny, w praktyce areszt domowy – mówi przewodniczący KKKP. Nowa ustawa może także zmuszać prokuratorów do bardziej wydajnej pracy. – Decyzja o tym, czy można przedłużyć areszt, powinna zależeć od oceny stopnia realizacji czynności procesowych przez śledczego. Prokurator będzie musiał we wniosku opisać, co chce w czasie kolejnego przedłużenia aresztu zrobić. I jeśli swych zobowiązań bez wy-

starczającego powodu nie wypełni, będzie to dla sędziego sygnał, że okres, w którym podejrzany siedział w celi, został przez prokuratora zmarnowany – dodaje prof. Wróbel.

W Ministerstwie Sprawiedliwości dowiedzieliśmy się z kolei, że pracuje ono nad zawężeniem przesłanek do stosowania aresztu. Chce skończyć z automatyzmem zamykania osób oskarżonych o czyn, za który grozi wysoka kara, poprzez podniesienie granicy jej wysokości z 8 do 10 lat. Przesłanką do aresztu przestanie też być brak stałego miejsca pobytu w Polsce, jeśli podejrzany mieszka w innym kraju UE. Ponadto resort chce również ułatwić aresztantom możliwość prowadzenia rozmów telefonicznych z bliskimi, wprowadzić obowiązkową obecność adwokata przy przesłuchaniu niepełnoletniego aresztowanego oraz przyjąć, że „podstawę orzeczenia o zastosowaniu lub przedłużeniu tymczasowego aresztowania mogą stanowić ustalenia poczynione na podstawie dowodów jawnych dla oskarżonego i jego obrońcy”.

Bolesne rany

Jak już wyżej informowaliśmy, w ostatnich miesiącach prokuratorzy rządziej wnioskuje o areszty tymczasowe. – Z jednej strony to dobrze, ale z drugiej: jeśli śledczy rządziej wnioskuje o areszt, bo zmienił się minister, to wygląda na ręczne sterowanie prokuraturą. A to właśnie jest jedna z przyczyn, dla której mamy do czynienia z patologiami – mówi wiceprezes zarządu HFPC, dr Piotr Kładoczny. Problem mógłby zyskać szansę na systemowe rozwiązanie, gdyby rozdzielono funkcje prokuratora generalnego od ministra sprawiedliwości, połączone za rządów Zjednoczonej Prawicy. Główną zaś zasadą powinno być traktowanie aresztu tymczasowego jako środka raczej wyjątkowego niż powszechnego, z zastosowaniem rozwiązań najmniej bolesnych dla osadzonego, który – przypomnijmy – w świetle prawa do wydania ostatecznego wyroku pozostaje osobą niewinną. Inaczej czekają nas kolejne miliony wypłacane ludziom niesłusznie osadzonym, którym jednak nie da się zwrócić straconego czasu ani usunąć ran powstałych w psychice, poniesionych w starciu z pozbawionym empatii państwem. © STEFAN SĘKOWSKI

Najcięższy zawód świata

IGA KAZIMIERCZYK,
EKSPERTKA EDUKACYJNA:

Placówki przedszkolne to przykład polskiego oświatowego sukcesu, z którego możemy być dumni. Szkoda, że polskie państwo dyskryminuje współautorów tego sukcesu: nauczycieli.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Przedszkolanka? Opiekunka? Nauczycielka?

IGA KAZIMIERCZYK: Od razu wchodzimy na grząski grunt (*śmiech*).

Najczęściej mówimy „przedszkolanka”, choć dotyczy to przecież najlepiej wykształconej części edukacyjnej kadry w Polsce. Przedszkolne nauczycielki – taką proponuję nazwę – mają ukończone magisterskie pedagogiczne studia, podczas gdy nauczyciele z podstawówek czy liceów, a więc tzw. przedmiotowcy, takiego jednolitego wykształcenia pedagogicznego nie mają.

Skądinąd symptomatyczne, że akurat ten zawód – niskopłatny i niespecjalnie ceniony – przyjął feminatyw jako jedyną formę, choć mężczyźni w tej profesji też się zdarzają.

W dodatku jest to feminatyw dość lekceważący: mówimy „przedszkolanka”, może mając na myśli lekką i przyjemną pracę – takie „picie kawki w towarzystwie bawiących się dzieci”.

Są tacy, którzy uważają, że to najtrudniejszy zawód świata.

I mnie jest bliżej do tej opinii. Po pierwsze, nauczycielki przedszkolne – bo to w większości jednak kobiety – pracują z najmłodszymi dziećmi. A one najbardziej gwałtownie przechodzą kryzysy rozwojowe. Werbalnie nie potrafią jesz-

cze zbyt sprawnie komunikować swoich potrzeb i frustracji, więc zdarza się, że sięgają po inne narzędzia: krzyk, płacz, bicie. To są zachowania wynikające z faktu, że dziecko czuje silne emocje – jest rozżalone, wściekłe albo uradowane – i musi te emocje uzewnętrzniać.

Osoba, która z tymi dziećmi pracuje, musi umieć te stany rozpoznawać. I musi to robić szybko oraz trafnie, bo w grupie ma tych dzieci dwadzieścioro pięcioro. Nauczycielka powinna też reagować racjonalnie i empatycznie, wchodząc w świat doświadczeń dziecka. Np. gdy lalce właśnie odpadła ręka, to musi umieć zareagować inaczej niż zwrotem „nic się nie stało”. W oczach dziecka właśnie wydarzyła się tragedia i aby dziecku pomóc, trzeba jego emocje uznać i odpowiednio na nie zareagować.

Proszę odmalować klimat pracy w przedszkolu.

Jest poranek. Dwójka dzieci właśnie weszła do sali i chce się natychmiast przytułić do pani. Inna dwójka wprost przeciwnie: stoi i przechodzi lekki kryzys w okolicach drzwi. Kolejna trójka biega po sali i krzyczy. Dwóch chłopców walczy o plastikowy samochód i już widać, że za moment ktoś coś komuś wyrwie albo kogoś uderzy. Kilko dzieci siedzi i coś sobie czyta, inni czegoś natychmiast potrzebują od nauczycielki, ktoś ciągle powtarza: „Psze pani, psze pani!”. A pani międ-

dzy ugaszeniem pożaru numer jedenaście i dwanaście musi mieć oczy dookoła głowy, mieć pomysł na zajęcia i gotowość do pomocy dzieciom w nauce nowych rzeczy. A w międzyczasie musi wypełnić sporą dokumentację.

W pandemii dochodziła do tego jeszcze konieczność zmierzania każdemu temperatury.

Za to odpadał kontakt z rodzicami.

Powiem pewnie coś ryzykownego, ale też prawdziwego. Gdy przedszkola, których nie zamknięto, wprowadziły obustronnie ostrzeżenia, nie wpuszczając do środka rodziców, wiele opiekunek i nauczycielek przedszkolnych odetchnęło z ulgą...

Rodzice bywają roszczeniowi?

Posiadają coraz większe kompetencje wychowawcze i wiedzę. Znają teorię kryzysów rozwojowych, wiedzą, jak stymulować rozwój dziecka. Wiedzą, że telefon w rękę syna lub córki to zły pomysł, i że pracę z maluchami można i trzeba indywidualizować. Ale to wszystko ma również swoją upiorną stronę, bo oczekiwania wobec nauczycielek bywają nierealistyczne. Bywają też one niestety obwiniane za wszystko, co dzieje się z dzieckiem: za siniaka na nodze, brudne ubranie, przykre doświadczenia dzieci, agresję innych dzieci.

To jest opowieść o braku zrozumienia, czym jest przedszkole.



Zajęcia plenerowe w przedszkolu w Sosnowcu. 11 czerwca 2024 r.

Czym jest?

Łatwiej zacząć od tego, czym nie jest. Nie jest wyłącznie przechowalnią dziecka na czas pracy rodziców – rodzajem „parkingu”, na który odstawia się potomka, by móc spokojnie zarabiać pieniądze. Przedszkole jest miejscem rozwoju i nauki – poprzez zabawę. Również nauki życia: współpracy, przeżywania sukcesów i porażek, sznurowania butów, samodzielnego jedzenia, stawiania granic, rozwiązywania konfliktów. A tego wszystkiego nie da się nauczyć bez potknięć, małych porażek i dziecięcych frustracji.

Tymczasem wielu rodziców usuwa dzieciom przeszkody spod nóg.

Przedszkole tego robić nie może – nie jest przedłużeniem domu. Choćby dlatego, że domy są różne, a więc podejścia wychowawcze też.

Często się mówi, że „przedszkolanka” musi mieć anielską cierpliwość. Rządziej, że powinna posiadać ogromne kompetencje.

Trzeba rozbrajać konflikty i wybuchy emocji, asystować w trudnościach, współprzeżywać radość. Potrzebne są tu ogromne zasoby kompetencji miękkich. Nie wolno nam działać nadmiarowo. Musimy skupiać się na tym, by zaprojektować dla dzieci sytuację, które uczą. Nauka przez ekspresję artystyczną, doświadczenia, gry, zabawy matematyczne, ćwiczenia z książkami, zabawy muzyczne i plastyczne. Uczymy jednocześnie czegoś, co dziecko ma wiedzieć – np. kolory i nazwy przedmiotów – oraz rozwijamy jego samodzielność.

Pensum godzinowe przy tablicy w szkole wynosi 18 godzin.

A tutaj – nie wiedzieć czemu – 25. Może ustawodawca założył, że tu zajęcia są mniej męczące i nie trzeba się do nich aż tak wiele przygotowywać.

Mniej niż np. szkolny wuefista?

To dobry przykład, bo matematyków czy polonistów – a więc nauczycieli pracujących – zostawmy w spokoju. Każda dyskusja o zróżnicowaniu pensum jest trudna i zawsze ktoś jest w niej pokrzywdzony. Ale dysproporcja pomiędzy np. nauczycielem WF, muzyki czy plastyki i nauczycielką przedszkolną jest zastanawiająca.

Temu 25-godzinnemu pensum sprzyja też fakt, że przedszkolna podstawa programowa jest zgodnie z prawem realizowana przez pięć godzin dziennie.

W przedszkolach publicznych nie ma też letnich wakacji.

Nauczycielka ma prawo do 35 dni urlopu, ale przedszkola mają dyżury wakacyjne. Najłatwiej skoordynować to w dużych miastach – w danym momencie działają wyznaczone placówki, by inne mogły mieć przerwę.

Zarobki?

Podobne do szkolnych. A w placówkach niepublicznych – zwłaszcza w dużych miastach – często lepsze. W Warszawie nauczycielki przedszkolne zaczynają rozmowę o pracę od czterech i pół tysiąca netto.

To nie jest wysoka pensja, zwłaszcza w stolicy.

Ale w porównaniu z kimś wchodzącym do zawodu, kto nawet po podwyżkach dostanie niespełna 3700 pensji zasadniczej na rękę – 5-6 tysięcy netto to pensja przyzwoita.

Mimo tego nauczycieli przedszkolnych brakuje.

Moje studentki mówią, że studia pedagogiczne są wspaniałe: można poznać kluczowe zagadnienia psychologii rozwojowej, socjologii, prawa, filozofii, a ukończenie kierunku daje szerokie perspektywy zawodowe. Co z tego, skoro większość nie widzi się w przedszkolu. Wszystko przez warunki pracy i płacy.

Gdzie są największe braki?

W aglomeracjach. Co ciekawe, w centrach miast, które były odbudowywane po wojnie, teraz placówki często stoją puste. A na obrzeżach, gdzie jak wiadomo mieszka najwięcej młodych rodzin, ta sieć jest niewystarczająca.

Jednak sytuacja będzie się zmieniać – za sprawą demografii. Już za chwilę do przedszkoli zaczną przecież chodzić generacje największego dziecięcego krachu.

Wciąż jednak mamy – jak podaje w najnowszych danych GUS – nieco ponad półtora miliona dzieci w przedszkolach przy ok. 120 tys. nauczycieli, w przeliczeniu na etaty.

Daje to niemal trzynaścioro dzieci na jednego pedagoga.

To wciąż sporo, dlatego warto wykorzystać demograficzny kryzys nie do zwalniania nauczycieli, tylko do zmniejszenia liczebności grup przedszkolnych. Teraz limit wynosi 25, a tam, gdzie dochodziły ukraińskie dzieci, jest nawet wyższy – warto to na nowo przemyśleć. Chyba stać nas na to, by polepszyć warunki nauki i zabawy dla dzieci, a pracy dla nauczycieli. To jest nasza rozwojowa szansa.

Przepełnienie to też pokłosie pewnej rewolucji: w 2014 r. mniej więcej co trzecie dziecko trafiające do zerówki nie miało za sobą ani dnia w przedszkolu. W roku szkolnym 2022/23 do przedszkoli chodziło niemal 95 proc. dzieci w wieku 3-6 lat.

To pokłosie zmiany z czasu poprzednich rządów PO: prawo do bezpłatnej edukacji otrzymały dzieci w wieku 3-5 lat [sześciolatki mają obowiązek przedszkolny – red.]. Wcześniej rodzice mogli się ubiegać o miejsce dla swojego dziecka, ale samorząd nie miał obowiązku tego zagwarantować. Teraz ma.

Dlaczego więc nie wszystkie dzieci chodzą do przedszkoli?

Bo nie dla wszystkich rodziców oczywiste są płynące z tego korzyści. Mówię „oczywiste”, bo te korzyści mamy zbadane. Np. szczegółowy raport z pomiaru TIMSS 2019, a więc poprzedniej edycji tego międzynarodowego badania osiągnięć czwartoklasistów w matematyce i przyrodzie, pokazał, że średnie wyniki matematyczne są wyraźnie niższe w grupie dzieci rządziej niż przez trzy lata uczęszczających do przedszkola. To nie wszystko: z przedszkoli wychodzą dzieci lepiej przygotowane językowo i lepiej przystosowane do pracy i nauki w grupie. Jednak wiedza o tych korzyściach nie jest powszechna – częste wydaje się być przekonanie o opresyjności placówek.

W niektórych wsiach nawet co trzecie dziecko w wieku przedszkolnym pozostaje w domu.

To również pokłosie barier w dostępie do edukacji. Jeśli nie ufam placówkom, a do tego – np. mieszkając na wiejskiej albo mazurskiej wsi – mam swoje dziecko zawieźć kilkanaście kilometrów do najbliższego miasteczka, gdzie jest →

→ przedszkole, to raczej z tego zrezygnuję. Po co mam się w to bawić, skoro dziecko może zostać z niepracującą matką albo z babcią? Zwłaszcza że wiele osób w takich miejscach zwyczajnie nie ma jak zawieźć dziecka. Są komunikacyjnie wykluczeni.

Poznaliśmy niedawno wyniki egzaminu ósmoklasisty. Znowu okazało się, że różnice w wynikach nastolatków z małych miejscowości i dużych miast są duże, a w przypadku matematyki nawet urosły. Na te nierówności „pracujemy” już w przedszkolach?

Oczywiście! W edukacji szkolnej są dzieci, które mają za sobą przedszkole, społeczny i poznawczy trening, oraz te, które takiej szansy zostały pozbawione. Prawdopodobieństwo, że dziecku z trzyletnim doświadczeniem przedszkolnym po kolejnych ośmiu latach pójdzie lepiej egzamin niż koledze, który edukację rozpoczął w wieku 6 lat, jest ogromne. Gdy ktoś trenuje do maratonu trzy lata dłużej, to ma po prostu większe szanse ukończyć go z dobrym wynikiem. Każdy dobiegnie, ale inaczej.

Przedszkola niepubliczne, a więc płatne – są lepsze?

Nie ma na to pytanie jednej odpowiedzi. Te niepubliczne, aby przetrwać, muszą mieć ofertę ekstra, skoro miejsca w tych publicznych są bezpłatne i gwarantowane. Muszą mieć profil: artystyczny, językowy, opierać pracę na modelach alternatywnych, waldorfskich, Montessori. Przedszkola prywatne próbują czasami przekonywać rodziców, że ich dzieci po ukończeniu placówki będą mówiły drugim językiem.

Rodzice w to wierzą?

Wierzą i płacą 2-3 tys. miesięcznie. Choć dwujęzyczność dzieje się wtedy, gdy dziecko jest zanurzone na co dzień w dwóch kulturach, mając np. dwujęzycznych rodziców. W przypadku placówek z zajęciami w innym języku następuje jedynie zwiększenie zainteresowania tym językiem, ale z pewnością dziecko nie będzie mówić po angielsku tak jak po polsku.

Co do jakości oferty, to nie ma powodu sądzić, że placówki płatne są z zasady lepsze. Małe może i jest piękne, ale

niekoniecznie w tej branży. Przedszkola publiczne, zwykle większe, funkcjonują w sieci – łatwiej jest więc tu o wsparcie w ramach samorządowych struktur. Małe przedszkole jest trochę jak osiedlowy sklep – fajne, ale wszystko trzeba robić samemu.



ARCHIWUM PRYWATNE

DR IGA KAZIMIERCZYK jest pedagożką i nauczycielką. Prezeska fundacji „Przestrzeń dla edukacji”, współtwórczyni kampanii „Wolna szkoła”. Przez lata prowadziła w Warszawie żłobek, od kilkunastu lat jest wykładowczynią na kierunkach pedagogicznych.

Jest tu zaszyta dobra wiadomość: jakość usług publicznej jest na wysokim poziomie.

Powiedziałabym nawet więcej: placówki przedszkolne, a także klasy 1-3 podstawówek to przykłady polskiego edukacyjnego sukcesu, z którego możemy być dumni, a nie potrafimy się z niego z jakiegokolwiek powodu cieszyć. W przedszkolach nawet podstawa programowa, a więc dokument powszechnie krytykowany w odniesieniu do szkół – jest bardzo dobra. Ona się skupia na aktywności dziecka i uważnym stymulowaniu jego rozwoju. Nauczycielka nie jest kimś, kto musi w pewnym sensie „rozliczyć” dziecko z zakresu opanowanych umiejętności, jak to się dzieje przy testach i sprawdzianach w starszych klasach szkoły podstawowej. Zadaniem pedagożki jest projektowanie sytuacji i środowiska uczenia się.

Co to znaczy?

Nauczycielka planuje projekty, które potem samodzielnie przy jej asyście realizują dzieci, aranżuje sytuacje życiowe wykorzystywane do nauki. Np. dzieci same odkrywają, dlaczego i jak zmieniają się

pory roku. Inny przykład: to w przedszkolach naprawdę realizuje się edukacja artystyczna. Poza tym dzieci uczą się sporo przez zabawę, bez sztywnych scenariuszy. Praca jest oparta na eksperymencie, obserwacji, aktywności.

Oczywiście, zgodnie z tą podstawą programową dziecko musi też – podobnie jak w podstawówce czy liceum – posiadać pewien zbiór umiejętności. Ale nawet to odbywa się nie w cyklu rocznym, tylko trzyletnim: te umiejętności dziecko powinno posiadać na wyjściu z placówki. A więc nie ma stresu, że wszystkie trzylatki muszą już umieć trzymać nóż i widelec. Podstawa nie jest też przeładowana ani nierealistyczna – co zarzuca się podstawom na późniejszych etapach.

Innymi słowy: ustawodawca w tej przestrzeni edukacyjnej uznał realia rozwoju dziecka, dał nauczycielom autonomię, co nie jest niestety zasadą na wyższych etapach.

Co się takiego dzieje, że polskie dziecko w wieku ok. 10 lat wkracza nagle – wraz z promocją do klasy czwartej – w inny edukacyjny świat?

Po prostu jesteśmy jako państwo przekonani do koncepcji, że od pewnego momentu szkoła ma być „małym uniwersytetem”, o którego jakości zdecydują końcowe egzaminy. O ile podstawa programowa do przedszkoli i klas 1-3 podstawówek patrzy symbolicznie na północ Europy, a więc bliższa jest edukacyjnej filozofii Finlandii czy Norwegii, o tyle teoria i praktyka wyższych etapów polskiej edukacji spogląda w kierunku krajów byłego bloku wschodniego.

Skoro na tych pierwszych etapach jest nieźle, to rozumiem, że wystarczy nie psuć?

Wiele jest też do poprawienia. Najważniejsze to status zawodowy nauczyciela. Mamy wykształconą kadrę, o którą państwo nie tylko nie dba, ale wręcz ją dyskryminuje! Nauczyciele przedszkolni nie tylko mają wyższe pensum, ale też bywają pomijani – np. w czasie przyznawania słynnego bonu na laptopa.

Powinniśmy więc na nowo przemyśleć status zawodowy tej grupy. A reformując polską oświatę, pamiętać, że wiele dobrych praktyk jest do podpatrzenia właśnie w przedszkolach.

© © Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: Złemu się krzywdza nie dzieje



NIE WYSTYGL JESZCZE KARABIN, Z KTÓREGO 14 lipca strzelano do przemawiającego Donalda Trumpa, nie zaczęło się nawet goić jego trafione pociskiem ucho, a już w mediach społecznościowych zaroilo się od teorii spiskowych. Po obu stronach wszystkich liczących

się dzisiaj barykad. Jak wielokrotnie na tych łamach pisałem, myślenie spiskowe jest zjawiskiem wysoce pluralistycznym. Nie ma na nie odpornych. Wydarza się na prawicy, lewicy i w centrum. I wszędzie w równym stopniu oddala nas od rzeczywistości, nie spełnia bowiem żadnej funkcji poznawczej, służy wyłącznie produkcji wyrobów faktopodobnych. Na przykładzie owego nieudanego zamachu świetnie to widać.

Nikogo naturalnie nie zdziwi informacja, że takie teorie pojawiły się zrazu w wielkiej obfitości pośród zwolenników zaatakowanego kandydata. Wprawdzie FBI bardzo szybko wydało oświadczenie, że 20-letni Thomas Matthew Crooks, zidentyfikowany jako strzelec, działał sam – ale przecież wiadomo, że dali się na to nabrać wyłącznie „naiwni”. Wśród „nienaiwnych” zaczęto się natomiast prześcigać w opracowywaniu wersji alternatywnych. Na przykład – że mocodawcami Crooksa była siatka satanistycznych pedofili tworzących międzynarodową polityczno-showbiznesowo-finansową elitę. Tych od specyficznego szyfru, w którym „zamawianie pizzy” oznacza jakieś wyjątkowo plugawe czynności (kto nie wie, o co chodzi, niech wpisz w Google: „pizza gate”). Albo że – to opcja wprawdzie znacznie mniej efektowna, ale wciąż w paradygmacie – stali za tym CIA oraz Joe Biden, który wszak całkiem niedawno zachęcał do umieszczenia Trumpa „na środku tarczy” (*in a bullseye*). A że urzędujący prezydent za to przeprosił? Że zamachem był wyraźnie poruszony? To przecież nikogo „myślącego samodzielnie” do niczego nie mogłoby przekonać. I oczywiście nie przekonało.

Znacznie ciekawsze okazały się jednak teorie rozprzestrzeniające się z równą intensywnością w gronie mniej lub bardziej zjadłych przeciwników złotowłosego miliardera. W ogóle myślenie spiskowe wśród ludzi o liberalno-lewicowych poglądach jest z definicji ciekawsze, bowiem sądzą oni zazwyczaj, że takie rzeczy absolutnie ich nie dotyczą. Owszem, prawica, zwłaszcza skrajna – a to co innego, tam podobne bajania kwitną, ale przecież nie tu, gdzie królują rozsądek, kultura, progres, nowoczesność i otwartość. Tymczasem – nic podobnego, także liberałowie i lewicowcy zapadają się często w trzęsawiska spiskowych

mitologii. Zwłaszcza jeśli ich polityczne wpływy oraz władza ulegają (bądź też – mają ulec) gwałtownemu osłabieniu.

Najpopularniejszą bodaj teorią spiskową rozchodzącą się żwawo po lewicowo-liberalnej stronie Facebooka i X/Twittera jest oczywiście koncepcja „ustawki” czy też „mistyfikacji”. Oto – powiada się, a na dowód przedstawia drobiazgowo analizy przebiegu zdarzeń, wiwisekcje autentycznych oraz podrabianych nagrań i fotografii, jakieś wywody i kalkulacje – cała sprawa została z pewnością zainscenizowana. Przez kogo? Ma się rozumieć, przez samego Trumpa (kto za nim stoi, to jeszcze inna kwestia). Po co? Żeby uczynić z siebie męczennika i wygrać wybory. Dowody? Proszę bardzo, jest ich bez liku. Ot choćby taki (wypatrzyłem to u jednego z naszych rodzimych propagatorów), że Thomas Crooks zarejestrowany był jako wyborca Partii Republikańskiej. Albo że słynna fotografia autorstwa Evana Vucciego z Associated Press – z zakrwawionym Trumpem unoszącym pięść w geście zwycięstwa – wygląda zbyt atrakcyjnie i symbolicznie. Albo że publiczność (o agentach Secret Service nawet nie wspominając) zachowywała się nie tak, jak by się można spodziewać. *Et cetera*. Dość powiedzieć, że „bez najmniejszych wątpliwości” mamy tu do czynienia z wyreżyserowanym przez kogoś widowiskiem.

W powyższych opowieściach działa pewien uniwersalny mechanizm spiskotwórczy. W świecie spolaryzowanym dowolne gwałtowne wydarzenie może wywołać falę spiskowego myślenia. Jeśli zdarzenie to polega – tak jak w omawianym przypadku – na krzywdzie, której doznaje polityk związany z jednym ze skłóconych obozów, jego zwolennicy będą się w tym automatycznie doszukiwać planowych, celowych sabotaży ze strony swoich przeciwników. Z kolei przeciwnicy odmawiać mu będą realnych uszczerbków i dowodzić, że żadna krzywdza nie nastąpiła, bo wszystko zostało ukartowane. Słowem, dobru („my”) nigdy nie dzieje się krzywdza, za którą nie stoją jego („nasi”) przeciwnicy, złemu natomiast („oni”) żadna w ogóle krzywdza nigdy się nie dzieje, bo zawsze dzieje się mistyfikacja.

Z powodu tego typu wzorców nasze rozumienie rzeczywistości systematycznie słabnie. Rozumienie nie tylko w sensie intelektualnym, ale i emocjonalnym czy moralnym. Współczucie przeciwnikom, a nade wszystko zawieszanie sporów i antagonizmów wobec realnej krzywdy, przemocy czy śmierci pozostają w zachodniej cywilizacji istotnymi wartościami. Niestety, także wskutek rozprzestrzeniania się polaryzacji i myślenia spiskowego erozja tych wartości (i umiejętności) postępuje, a to w każdym razie nie wróży dobrze. Na szczęście, wciąż jeszcze znajdują się ludzie do takich postaw zdolni, czego najlepszym przykładem są liczne kondolencje i wyrazy solidarności, jakie popłynęły do Trumpa nawet ze strony jego najzgorzalszych politycznych antagonistów. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podcastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności” i „Reguła na czas chaosu”.

MY, TKANKA

WAWRZYNIEC SMO CZYŃSKI, PREZES FUNDACJI NOWEJ WSPÓLNOTY:

Nie ma dwóch obozów – jest kilkanaście różnych grup, których poglądy są przemieszane, a czasami wspólne. Między wąskimi i głośnymi grupami na skrajach żyje zakrzyczana większość.

MICHAŁ OKOŃSKI: Przyszedłem zapytać, czy naprawdę warto rozmawiać.

WAWRZYNIEC SMO CZYŃSKI: Nie ma innej drogi.

Daj przykład.

Sporo żegluję i w zeszłym roku przed wyborami byłem na rejsie stażowym po Bałtyku. Płynęliśmy ze Sztokholmu do Gdyni, przez siedem dni. Którejś nocy byliśmy na wachcie z Krzysztofem, który, jak się okazało, był wyborcą Suwerennej Polski. Przegadaliśmy mnóstwo tematów: zmiany w sądownictwie, Tuska, Kaczyńskiego, Ziobrę. Niby się nie porozumieliśmy – on później zagłosował na swoją partię, a ja na swoją – ale myślę, że zeszliśmy z łodzi z poczuciem łączącej nas więzi.

To brzmi jak metafora: dwóch uczestników wachty odkrywa nie tylko to, że jest skazanych na współpracę, ale i to, że coś ich łączy.

Jeden steruje, drugi pilnuje żagli. Inni śpią, więc też są zdani na nas...

Więc co sobie wzięłeś od tego zio- brysty?

Przed wszystkim to, że on dla mnie nie jest ziobrystą, tylko Krzysztofem. W trakcie takich rozmów następuje coś, co psychologowie nazywają rehumanizacją: ja też z „libka” czy „lewaka” stałem się dla niego Wawrzyńcem.

A jak mi opowiedział historię swojego życia, jak mi pokazał poczucie wykluczenia przez przemiany w 1989 r., mniejsze



możliwości na rynku pracy, które miał w swojej miejscowości, poczucie odebrania decyzyjności w kraju przez reformy wolnorynkowe i wejście do Unii, poczucie, że jego miejscowość, jego grupa społeczna, ale też osoby z podobnym wykształceniem – technicznym, inżynierskim – bardzo na tym wszystkim straciły, to naprawdę coś zrozumiałem. Z jego punktu widzenia Polska może nie była w ruinie, ale na pewno była krajem niesprawiedliwym. I chociaż mogłem się z nim spierać np. o wywracanie sądownictwa do góry nogami – to zrozumiałem, dlaczego on chce ściągnąć lejce elitom wielkomiejskim, żeby znowu się nie wyrwały do przodu, porywając wóz, na którym mają jechać wszyscy.

Brzmi, jakbyś faktycznie się czegoś od niego nauczył.

Krzysztof mówił też miejscami narracją partyjną, językiem propagandy ówczesnej TVP. Ale znacznie ważniejsze dla mnie było zobaczenie, jak on się czuje w Polsce i jak się czuł na przestrzeni lat. Bo to było zupełnie inne doświadczenie niż moje.

Wspomniałeś wcześniej, że rozmowa jest ryzykiem: często odczuwamy dyskomfort w momencie, kiedy odnajdujemy w sobie kawałek poglądu drugiej strony. Na treningach dobrej rozmowy, które prowadzi nasza fundacja, mamy ćwiczenie, które się nazywa „advokat diabła”. Kiedy ludzie już trochę się poznali i zaczęli słuchać się nawzajem, pytamy, czy coś z tego, co mówi druga

strona, ich przekonuje. A oni prawie zawsze znajdują taki kawałek.

Nawet w takich sprawach jak aborcja?

Oczywiście. Mogę przecież być zwolennikiem ochrony życia i uznawać prawo kobiety do stanowienia o własnym ciele. Albo być zwolennikiem prawa do aborcji i nie uważać, że to zabieg porównywalny z wyrwaniem zęba.

Dzisiejsza kultura skłania nas do redukcjonizmu intelektualnego: ujmowania złożonych rzeczy coraz prościej, by szybciej powiedzieć, przekazać i pójść dalej. A rozmowa z drugim człowiekiem pokazuje, że świat jest dużo bardziej skomplikowany, że wszędzie są odcienie szarości. Bo przecież nie ma dwóch obozów w Polsce. Tak naprawdę jest kilkanaście różnych grup, których poglądy są przemieszane, a czasami wspólne. Łączy nas lęk przed różnymi zjawiskami współczesności, np. przed wojną.

A ten lęk nie jest podsycany przez polityków?

Nie da się podsycać czegoś, czego nie ma. A populizm rozwija się wtedy, kiedy są realne źródła lęku społecznego. Dziś to jest wojna, ale też skokowy postęp technologiczny, który rodzi obawy o utratę miejsc pracy. Albo zmiana klimatyczna skłaniająca dwudziestolatków do myślenia, że może nie warto mieć dzieci, bo nie wiadomo, czy one przeżyją.

No i drugi składnik: w demokracji elity polityczne są od tego, żeby wiedzieć, co robić, a one mierzą się z problemami, w których nie ma łatwych rozwiązań.

Populizm wchodzi też w to miejsce?

Owszem. A w przypadku Polski dochodzą jeszcze skutki transformacji. Na ile liberalne elity, które nadały jej kształt, biorą na klatę także negatywne skutki swoich decyzji. Wiemy, że sukcesy PiS wynikały z zauważenia tych negatywnych społecznych następstw tamtych przemian. Jasne: społeczeństwu jako całości zaczęło powodzić się lepiej po 1989 r., ale losy poszczególnych grup były różne. Awans elit wielkomiejskich był zauważalnie szybszy niż ludzi w średniej wielkości miastach czy na wsi. Pojawiły się nierówności, a wraz z nimi poczucie krzywdy i resentyment. Nie mówię o tym w kategoriach zarzutu, raczej opisuję dramat historii.



WOJCIECH ARTYNIOW / FORUM

→ **Dramat historii polega też na tym, że politykom zagospodarowującym swoje elektoraty taka rozmowa jak Twoja z Krzysztofem zwyczajnie się nie opłaca. Jeśli przestajecie mówić o sobie w kategoriach „libek” – „ziobrysta”, jakaś partia traci wiernych żołnierzy.**

To, że politykom coś się nie opłaca, nie znaczy, że nie trzeba tego robić. Jest przecież zasadnicza różnica między naszą rozmową na łódce a debatą telewizyjną między politykami. Tu mamy dialog, a tam niby debatę na argumenty, ale *de facto* awanturę, w której ktoś chce komuś udowodnić, że jest idiotą.

To i tak łagodne. Na sejmowej komisji śledczej postanka Leo wypominata europośtowi Obajtkowi sztuczne zęby, a on jej botoks.

Najwidoczniej inaczej nie potrafią. Ale ile osób w Polsce rozmawia ze sobą tak jak politycy?

Twoim zdaniem to się nie przenosi? Człowiek po obejrzeniu kłótni polityków nie nawrzeszczy na kasjerkę w dyskoncie?

Supermarket i Sejm to nie jest odzwierciedlenie relacji między ludźmi w Polsce.

Chcesz powiedzieć, że Polska jest gdzie indziej?

Nie jesteśmy podzieleni *fifty-fifty*. Mamy taki obraz, że są dwie ujadające na siebie Polski – a tak naprawdę to są wąskie i głośnie grupy na skrajach, a między nimi żyje zakrzyczana większość. Ludzie, którzy mają na głowie dom, pracę, dzieci, chorych rodziców, tęsknią za wakacjami i grillem w weekend. Mają swoje życie i dużo wysiłku wkładają w to, żeby ono było w miarę szczęśliwe. Mają mało czasu na politykę, a na pewno odmawiają udziału w tego typu rozmowach, jakie słyszą z telewizora.

Ilu Polaków korzysta z mediów społecznościowych?

Jakieś trzy czwarte osób pełnoletnich. Dwie trzecie całej populacji.

Chodzi mi o to, że wchodzę na Facebooka czy Iksa i widzę, że ta naparzanica przenosi się na tematy mniej polityczne. Kłócimy się

Najwięcej przedstawicieli zakrzyczanej przez polityków i media większości jest w mniejszych gminach.

To grupa spełnionych lokalsów, którzy są tkanką wspólnotowości w Polsce.

Konserwatystów, liberałów, prawicowców i lewicowców. Nie robi im to różnicy.

o szczepionki, Szkołę w Chmurze, Lewandowskiego.

Ale to są tylko wycinki. Fightcluby polskiego życia publicznego. Jak zaczęliśmy w Fundacji Nowej Wspólnoty spotykać ze sobą ludzi o przeciwnych poglądach, to nagle się okazało, że mnóstwo osób jest tą walką bardzo zmęczonych. Naparzaniki na Facebooku, nawalanki pod marketem czy w korku... Tak, tam się ulewają emocje. Ale to nie znaczy, że ludzie w ten sposób gadają ze sobą na kolacji wigilijnej.

Czasem, jak powiedziała jedna z naszych fasilitatorek, musisz wybrać: czy chcesz mieć rację, czy relację.

Czuje, że teraz wreszcie będziesz zadowolony, bo Cię zapytam o działalność Fundacji Nowej Wspólnoty.

Pokazujemy, jak dobrze rozmawiać na tematy, które nas w Polsce dzielą. Kiedy toczyła się kampania przed wyborami 15 X, proponowaliśmy dialogi o aborcji, imigracji, granicy, 800+, patriotyzmie... Na te spotkania przychodzili ludzie o odmiennych poglądach, którzy normalnie by się nie spotkali – i po trzech godzinach często nie chcieli kończyć rozmów, umawiali się na następny raz. W sumie przez trzy lata zorganizowaliśmy 60 dialogów dla blisko 700 osób. A na początku tego roku połączyliśmy ponad 1000 chętnych do rozmowy w pary, żeby mogli pogadać jeden na jeden.

Jak to się robi?

Ludzie się dowiadują, że jest temat, na który można porozmawiać z obcymi

osobami o skrajnie odmiennej opinii, zapisują się w formularzu. Deklarują, jakie mają poglądy, na skali od 1 do 7. A my później dobieramy grupę możliwie różnorodną wiekowo, pod względem miejsca zamieszkania i oczywiście światopoglądu. Tych 12 osób, plus dwoje prowadzących, spotyka się online.

Na początku jest runda zapoznawcza: ludzie w parach gadają, kto co robi. Jak się już poznamy, zaczynamy zasadniczy temat. I wtedy uczestnicy zwykle wypowiadają poglądy zasłyszane w mediach. A potem prowadzący zaczynają pytać: „O, to ciekawe. Kiedy zacząłeś tak myśleć?”, „Co stało się w twoim życiu, kiedy przyjąłeś ten pogląd?”, „Dlaczego to jest dla ciebie ważne?”. I tak przechodzimy na poziom doświadczenia. Co się wydarzyło w moim życiu? Co sprawiło, że tak myślę?

To jest ten moment, jak Twój na jachcie.

Potem rozmawiamy o tym, w czym się możemy zgodzić. I przygotowujemy „mapę dialogu”, czyli do każdego tematu spisujemy zbieżności i bezwzględne różnice oraz główne opowieści, które im towarzyszyły. Tworzymy też krótkie przepisy na dobrą rozmowę, jak np. z wujkiem podczas Wigilii pogadać o imigracji, albo z dorosłymi dziećmi – o ich wegetarianizmie.

To wszystko brzmi jak robota na 300 lat.

Uczestnicy dialogów i treningów biorą sobie tę naszą „dobrą rozmowę” jako narzędzie – mogą go użyć w firmie, wspólnocie mieszkaniowej, radzie rodziców. Nigdy nie wiadomo, kto i kiedy zrobi z tego użytek. Zmiana społeczna rzadko dzieje się w sposób zaplanowany.

O czym, poza polityką, najtrudniej rozmawiać?

O różnicach pokoleniowych. O stylach życia: wielkomiejskim i bardziej lokalnym, tradycyjnym. No i jest silna linia podziału między płciami. Młode Polki liberalizują się szybciej od młodych Polaków. Nie chodzi tylko o wyrok w sprawie aborcji, ale w ogóle o zmiany społeczne wynikające np. z masowych wyjazdów za edukacją do dużych miast.

Kobiety „uciekają” światopoglądowo swoim rówieśnikom. Stają się bardziej równościowo nastawione, mężczyźni

– wychowani często w patriarchalnych rodzinach – zasklepiają się w świecie dla nich bezpieczniejszym. Stąd popularność Konfederacji i konserwatywnej oferty, adresowanej zresztą nie tylko do mężczyzn, bo świat liberalny, z silnym indywidualizmem, otwartością na różne rodzaje związków, wolnością obyczajową, nie wszystkim kobietom odpowiada.

Ja mam wrażenie, że patriarchyat sypie się na naszych oczach.

Ale na jego miejsce wchodzi wojna płci. Goszcząca niedawno w Polsce Esther Perel mówi, że nigdzie na świecie nie widziała jej w tak ostrej formie jak u nas. To zresztą jeden z powodów, dla których jesienią nasza fundacja rusza z serią dialogów kobiet i mężczyzn wokół głównych linii podziału: płac, wychowania dzieci, podziału obowiązków domowych, modeli rodziny itd.

A to pęknięcie młodzi–starzy? Wydawałoby się, że konflikt pokoleń był zawsze, a bunt wobec rodziców to naturalny etap rozwoju.

Dziś on jest ostrzejszy. I silniejsza jest pokusa odcięcia relacji ze starszym pokoleniem, pod hasłem „twoja babcia głosuje na PiS”, albo „ciotka słucha Radia Maryja”.

To jeszcze aktualne? Ja raczej słyszę, że jestem boomerem i nic nie rozumiem.

Co jest trochę niepokojące, bo to język rodem z kultury unieważniania. A jeśli się kanceluje członków rodziny, naraża się swoją najbliższą więź społeczną.

To zasadne pytanie: czy ważniejsze jest kultywowanie mojej tożsamości jako osoby postępowej, broniącej praw mniejszości, czy podtrzymanie relacji ze starszym pokoleniem, np. z dziadkami, którzy się tobą opiekowali, z wujostwem, które cię brało na wakacje – ze światem, który zapewniał ci poczucie bezpieczeństwa, niewidzialną siatkę, która cię wyłapie, gdybyś miał trudności. Są oczywiście rodziny, w których poziom konfliktu jest tak wysoki, że potrzebne jest odcięcie – ale warto pamiętać o cenie.

Co nas może potączyć, poza lękiem?

Z fundacyjnych dialogów wynika, że silnym łącznikiem jest potrzeba wzajemnego szacunku i troski o siebie nawzajem. Dalej: poczucie, że państwo powinno



MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI jest współzałożycielem i prezesem Fundacji Nowej Wspólnoty, konsultantem i analitykiem. Z wykształcenia egiptolog i językoznawca, przez lata pracował jako dziennikarz. Jest laureatem nagrody Grand Press i nagrody im. Andrzeja Woyciechowskiego. Wnuk Jerzego Turowicza.

dbać o godne warunki do zakładania rodzin. Potrzeba bezpieczeństwa, ochrony kraju przed wojną. Docenienie polskiej narodowości, języka i kultury. Poczucie, że trudno nam wskazać mężów stanu. Dostrzeganie korzyści z członkostwa w UE – właśnie tak sformułowane, bo to nie jest naiwny euroentuzjizm. Tęsknota za byciem częścią wspólnoty. Poczucie, że praca może być źródłem poczucia godności, ale tu wiele zależy od pracodawcy, czyli nie wciskajcie nam kultu zasuwnia. No i potrzeba bardziej merytorycznej rozmowy na temat uchodźców.

Wiesz, to są niby te same tematy, które politycy mają na agendzie – ale sformułowane w taki sposób, że mieszczą więcej ludzi.

Przyznam, że zacząłem myśleć, czy istnieje sposób przerobienia tego na program polityczny. Ale to chyba bez sensu.

W badaniu More in Common Polska, które sprawdzało nie to, na kogo głosują Polacy, tylko jak myślą o swojej roli w społeczeństwie, jest grupa określana mianem spełnionych lokalistów. Nasze działania adresujemy właśnie do nich. Mamy poczucie, że najczęściej członków zakrzyzczanej przez media i polityków większości jest w mniejszych gminach. Oni nie są Kulczykami, ale nie czują się gorsi, bo osiągnęli sukces u siebie. I mimo że zrealizowali swój własny, indywidualistyczny plan, to działają w społeczności lokalnej. Są tkanką, która tworzy wspólnotowość

w Polsce. I tam są, oczywiście, zarówno konserwatyści, jak liberałowie, prawicowcy i lewicowcy. Nie robi im to różnicy.

Z rozmów między uczestnikami naszych projektów faktycznie wynika, że więcej nas w Polsce łączy niż różni. Dla wielu to niepokojące odkrycie.

Niepokojące?

Świat, w którym żyjemy od jakichś 20 lat, jest silnie spolaryzowany, oparty na pielęgnowaniu własnych tożsamości. Na przekonaniu, że masz prawo wykrzykiwać innym w twarz, kim jesteś i jak się czujesz.

I to zaczyna nas męczyć?

Mamy dość polaryzacji – według badania More in Common 82 proc. ludzi w Polsce jest zmęczonych konfliktem politycznym. 92 proc. tęskni za tym, żeby główne grupy w Polsce znalazły wspólny język. A 78 proc. uważa, że cechą dobrego polityka jest zdolność pójścia na kompromis.

Naczelnny mi powiedział, że rozmowa z Tobą ma być dla Czytelnika kanałem ulgi. Takim miejscem, w którym można odetchnąć podczas lektury. Chyba się uda.

Ludzie to mówią po naszych dialogach.

Tylko jak rozmawiać, żeby to nie było puste gadanie? Znasz przecież dzielenie włosa na czworo, z którego ostatecznie nic nie wynika.

Kluczem jest realna ciekawość drugiej strony. I szacunek. Założenie, że się chcemy czegoś dowiedzieć, a nie przekonać drugą stronę do przyjęcia naszego zdania. Spójrz, to taka, mówiąc językiem neoliberalnym, inwestycja w kapitał społeczny, a mówiąc językiem Kościoła otwartego – budowanie *communio*. Tworzy się między nami więź, a na jej bazie można nawiązać współpracę w jakiejś ważnej sprawie. Myśmy z Krzysztofem przecież dopłynęli do portu.

© © Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

„Tygodnik Powszechny” jest patronem medialnym prowadzonego przez FNN projektu „Polska rozmawia” – kampanii społecznej, której celem jest zachęcenie Polek i Polaków do wychodzenia z baniek i rozmawiania z osobami o odmiennych poglądach. Więcej informacji na: polskidialog.pl

BISKUP Z INNEJ BAJKI

Gdyby papież zapytał o zdanie „Tygodnik Powszechny”, zaproponowalibyśmy na metropolitę krakowskiego bp. Damiana Muskusa.

RENATA RADŁOWSKA



NIE LUBI MÓWIĆ, WOLI SŁUCHAĆ. LUBI Ogród. Wchodzi na dach, lata dziury, wrzuca z tego relację do mediów społecznościowych. Wystawia siebie na licytację – tu posprząta, tam ugotuje, przytnie żywopłot albo sprzeda biskupi pierścień, żeby dorzucić się do zbiórki, bo dzieciak musi dostać najdroższy lek świata. Pomaga, bo wie, że dla systemu ta konkretna choroba jest za droga, w kolejce są przecież tysiące ludzi z tańszymi schorzeniami.

Nazywa się Damian Andrzej Muskus, jest biskupem pomocniczym w archidiecezji krakowskiej, franciszkaninem.

Mówią o nim „biskup 2.0”.

Z innej bajki

„Nie ma komunikacji ani więzi bez słuchania. Ono jest w pewnym sensie ważniejsze od mówienia. Proszę zauważyć, jak z każdej strony zalewają nas słowa. Ludzie za wszelką cenę chcą wyrazić, co czują, podzielić się swoimi opiniami na każdy możliwy temat, nawet nie wnioskując specjalnie, czy to kogokolwiek interesuje. Otaczają nas monologi, gadające głowy przekrzykujące się, byle przejąć swoje zdanie, zagłuszyć innych. Można wręcz odnieść wrażenie, że jeśli nie mówisz, nie istniejesz” – tłumaczył Damian Muskus krakowskiej dziennikarce Magdalenie Dobrzyńiak w ich wspólnej książce „Nie mój Kościół” (wydanej przez WAM w 2023 r.).

I dalej: „Tymczasem w Kościele wciąż za mało się słuchamy. Decyzje podejmowane autorytatywnie są na porządku dziennym, a ich kwestionowanie czy choćby prośba o doprecyzowanie zbyt często bywają traktowane jak zamach na autorytet. Wszystkim nam dobrze robi, jeśli zaczniemy uważniej słuchać: biskupi księża, księża świeckich, świeccy duchownych, przełożeni członków wspólnoty”.

Agnieszka Pająk (44 lata, krakowianka, przedsiębiorczyni): – Kilka lat temu umarła moja mama, żarliwa katoliczka. Jej wiara była silna, ale nie obezwładniająca, chodzi mi o to, że mama nigdy nie ciągnęła nas do Boga siłą; czekała, aż sami do niego przyjdziemy, a jak nie, to też świat się nie zawali. Bardzo chciała,

żebym kiedyś poszła jeszcze do spowiedzi. Poszłam najpierw na mszę, odprowadził ją biskup Muskus. Poprosiłam go potem o chwilę rozmowy. On słuchał, ja mówiłam, mówiłam, mówiłam. Raz przerwał – zapytał, czy chcę wody. Przyszedł, żeby usłyszeć, że jestem komuś potrzebna, ciężko przeżyłam śmierć mamy. Nie powiedział nic w stylu, że „Bóg cię kocha”, „Módl się, a usłyszysz jego głos”. Wtedy zrozumiałam, że dla kogoś, kto tak słucha (i słyszy), muszę być ważna. Nie słucha się ludzi nieważnych.

Maria (68 lat, krakowianka, emerytka): – Bywaliśmy często w Radwanowicach, biskup Muskus też. On kochał to miejsce, ja pokochać musiałam – miałam syna, który był podopiecznym ośrodka. Pamiętam biskupa – przyjeżdżał jak do domu rodzinnego, jakby wracał z podróży, w której zaczyna się już tęsknić. Nigdy nie usłyszałam od niego, że Bóg dał nam ten krzyż i będzie nas na drodze krzyżowej wspierał. Jeżeli masz dziecko z głęboką niepełnosprawnością i oddajesz mu całe życie, wszystko podporządkowujesz chorobie, stajesz się pielęgniarką, psychologiem i rehabilitantem, a na dodatek wiesz, że tak już będzie zawsze, to słowa o tym, że Bóg dał ci krzyż, mogą ranić. Przecież my nie chcieliśmy tego krzyża. I to kiedyś powiedziałam biskupowi. Popatrzył na mnie, oczy mu zaśniły, powiedział wtedy: „To ludzie mogą zrobić wszystko, żeby ci pomóc, Bóg ich tylko posyła. Szukajmy tych ludzi. O, na przykład ja, ja tu jestem”.

Ośrodek w Radwanowicach założył ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski (prowadzi go Fundacja im. św. Brata Alberta). Biskup Muskus dobrze znał Isakowicza-Zaleskiego.

„Biskup Muskus ma brata z niepełnosprawnością intelektualną, więc doskonale rozumie problemy takich osób i ich opiekunów, ma z nimi wspólny język. Na tle krakowskiego kleru jest jak ktoś z innej bajki” – mówił ksiądz Tadeusz dla „Polityki”.

Kiedy w styczniu tego roku Isakowicz-Zaleski zmarł, na jego pogrzeb do Radwanowic przyjechały tłumy – rodziny podopiecznych, przyjaciele fundacji, darczyńcy, zabrakło tylko abp. Marka Jędraszewskiego, któremu z księdzem Tadeuszem zawsze było nie po drodze. Biskup Muskus był, wygłosił kazanie:

„Ks. Tadeusz wybrał trudną drogę życia. Była to droga dotykania ran. Może czasem robił to nieostrożnie i nie zawsze potrafił je uleczyć, ale pokazywał je światu, nie godząc się na prowizoryczne opatrunki (...). O ubóstwie, które daje szczęście, najczęściej opowiada dom ks. Tadeusza. »Nasz«, czyli jego i osób, które są w społeczeństwie najsłabsze, najbardziej bezbronne. Wybrał ich jako swoją rodzinę. Stał się dla nich jak ojciec. (...) Drogi księżu Tadeuszu, nie martw się o Wasz dom. Ludzie, którym ufałeś, poprowadzą to dzieło”.

Biskup i ksiądz nie zawsze się zgadzali – Muskus mówi, że rozliczenie w Kościele jest potrzebne, Isakowicz-Zaleski był w tym temacie bardzo bezkompromisowy.

Wojciech Bonowicz (publicysta, poeta): – Najważniejsze jest to, że o najtrudniejszych sprawach biskup nie mówi językiem mętnym. Język hierarchów bywa niejednoznaczny i niewyrazisty. Ponadto ludzie mają już dość stylu „pańskiego” w Kościele. Potrzebują pasterzy, którzy będą mówić językiem zrozumiałym i których działanie będzie zgodne z tym, co głoszą. I biskup Muskus jest takim pasterzem. Mówi językiem czystym stylistycznie i moralnie. Widać, że dla niego w Kościele najważniejsi są najsłabsi, ci ewangeliczni „najmniejsi”.

Nie walczy z wiatrakami

Urodził się w 1967 r. w Nowej Sarzynie na Podkarpaciu. W Leżajsku chodził do liceum. Nigdy nie opowiadał publicznie o dzieciństwie, ale w rozmowie z Magdaleną Dobrzyńiak wspominał mamę: „Jestem przekonany, że to, kim jestem dzisiaj, zawdzięczam miłości mojej mamy, jej modlitwom, jej prostej, ale głębokiej wierze. Patrzę na jej ufność w różnych, czasem bardzo trudnych okolicznościach życia, widzę jej pokorę i szczerą miłość do Boga i wszystko we mnie buntuje się na myśl o tym, że dla wielu tzw. reformatorów czy odnowicieli Kościoła w Polsce taka wiara jest symbolem jakiegoś zacofania czy zabobonnego traktowania religii. Nie chcę zabrzmieć patetycznie, ale mam w sobie silne przekonanie, że ufna, wierna i konsekwentna, niezależna od nastrojów czy zmęczenia modlitwa takich osób, jak moja mama, naprawdę ocala Kościół”.

Bp Damian Muskus na obchodach jubileuszu 50-lecia kapłaństwa abp. Marka Jędraszewskiego. Kraków, maj 2023 r.

→ Po maturze rozpoczął nowicjat w Zakonie Braci Mniejszych Prowincji Niepokalanego Poczęcia NMP. Pierwsze ślubny zakonny złożył w leżajskiej bazyle Matki Bożej Pocieszenia, potem wyjechał do Krakowa na studia filozoficzno-teologiczne w Wyższym Seminarium Duchownym bernardynów w Krakowie i w Kalwarii Zebrzydowskiej. Święcenia prezbiteratu przyjął 12 czerwca 1993 r.

Był katechetą w Kalwarii Zebrzydowskiej, opiekował się pielgrzymami i młodzieżą, na KUL-u ukończył studia z katechetyki. Otrzymał stopień doktora nauk teologicznych. Pracował w Asyżu, gdzie był gwardianem klasztoru św. Franciszka z Asyżu, wreszcie rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w Kalwarii Zebrzydowskiej i kustoszem tamtejszego sanktuarium. To on zaprosił Benedykta XVI do Kalwarii.

Marek Sowa (poseł Platformy Obywatelskiej): – Poznałem Damiana Muskusa, kiedy byłem marszałkiem Małopolski, a on kustoszem kalwaryjskiego sanktuarium. Pomagałem mu pisać wnioski o dotację na remont Drózek. Otwarty, łagodny, pogodny. On po prostu był bardzo niebiskupi.

W 2011 r. Muskus został mianowany biskupem pomocniczym archidiecezji krakowskiej; jako zawołanie biskupie wybrał słowa Jezusa do św. Jana: „Oto Matka twoja”. Był koordynatorem generalnym Komitetu Organizacyjnego Światowych Dni Młodzieży w Krakowie w 2016 r. – protestował przeciwko politycznemu wykorzystywaniu tej imprezy.

Ks. Kazimierz Sowa: – Na Światowe Dni Młodzieży miałem pewien pomysł organizacyjno-formalny. Poszedłem z tym do kardynała Dziwisza, a ten mi mówi: „Musi ksiądz to przedstawić i przegadać z biskupem Damianem, bo on odpowiada za Komitet”. Myślałem, że powie, iż to nie takie proste, że musi się na to zgodzić wielu ludzi, że mało czasu itd. Tymczasem przegadaliśmy ponad godzinę, wypytywał o szczegóły i szybko uznał, że to może się przydać. Zaufał. Mój pomysł wprawdzie storpedował ostatecznie w Komitecie ktoś inny, a było to już po wyborach w 2015 r., więc nawet się nie dziwiłem. Zawsze jawił się jako człowiek, który nie pozwala sobie wciskać kitu, ale też nie będzie walczył z wiatrakami tylko po to, żeby było więcej szumu. Tak było, kiedy władze rzu-

ciły pomysł organizowania ŚDM na płycie lotniska w Balicach zamiast na Campusie w Wieliczce. Biskup Damian stanowczo, ale też z taktem wykazał od razu bezsens takiego rozwiązania.

Przesunąć się nieco przy stole

Marek Jędraszewski dobrze czuje się w świecie polityki, wciąga ją do Kościoła. Damian Muskus od tego świata trzyma się z daleka. Jeżeli komentuje, to jest w tym prostolinijszy – mówi o migrantach, Janie Pawle II (zaraz po materiale „Franciszkańska 3”), ale też o samym Kościele, który grzeszy, ucieka od tego, co najważniejsze.

O migrantach (w książce „Nie mój Kościół”): „Jestem przekonany, że odpowiedź-kłucz to spotkanie. Jeśli zobaczymy w tych ludziach nie jakieś abstrakcyjne grupy uchodźcze czy migranckie bojówki, ale pojedyncze osoby i ich często dramatyczne historie, łatwiej będzie przesunąć się nieco przy stole i zrobić trochę miejsca. Przybyśże z innych krajów nie mogą czuć się zagrożeni, zamykani w gettach, pozbawieni praw, bo to pierwszy krok do radykalnych zachowań. Nie izolując ich, ale włączając w nasze życie społeczne, stworzymy im przestrzeń bezpieczeństwa, ale poszerzamy również własną. Okazuje się bowiem, że zwykle są to wspaniali pracownicy, serdeczni sąsiedzi, uzdolnieni uczniowie i świetni przyjaciele, ludzie zasługujący na relacje – jak każdy z nas”.

O Janie Pawle II (na Facebooku): „Słuchać głosy wzywające do obalania pomników i emocjonalne apele o obronę szarganej świętości. Tym, dla których św. Jan Paweł II jest wciąż największym autorytetem i najwybitniejszym Polakiem, trudno pogodzić się z faktem, że ktoś ośmiela się mówić i pisać o nim inaczej. (...) Nikomu nie jest potrzebna dzisiaj nowa odsłona wojny polsko-polskiej, którą od lat fundują nam środowiska polityczne. (...) Sam papież, dodajmy, nie życzyłby sobie, by to on stał się osią, wokół której trwa regularna wojna jego rodaków. (...) Należałoby również zaniechać ocierających się o naiwność działań podejmowanych rzekomo w imię obrony świętości papieża. Ja trzymanie w dłoni obrazka z jego wizerunkiem, ani wieszanie go na ścianach instytucji publicznych nie odmieni oblicza tej ziemi”.

Czasami ktoś zarzuci mu, że w komentowaniu wychodzi przed szereg. On tłumaczy to tak: „Nie w każdej sprawie episkopat musi zabierać głos *in gremio*. Rozumiem jednak, że są takie sytuacje, kiedy ludzie oczekują ze strony biskupów wyrażenia stanowiska albo nawet stanowczej reakcji, gdy przekraczane są granice ludzkiej przyzwoitości” (w rozmowie z Dobrzyńniak).

O Kościele: „Jeżeli mamy jako wspólnota uczniów Pana być Jego ikoną, wybór jest jeden – trzeba zostawić wszystko, co w tym przeszkadza, a więc doczesne znaczenie, przywiązanie do liczb i efektów, prestiż polityczny i społeczny, a także poczucie wyższości i przekonanie o elitarności, które każe ludzi osądzać, wykluczać i nieustannie pouczać. Ogołocenie powoduje, że koncentrujemy się na Dawcy, nie na darach, i oczyszcza ze spraw, które są drugorzędne. Zdarza nam się mylić porządki i temu, co mniej istotne, nadawać status priorytetu, zapominając o Najważniejszym – o Bogu, dla którego istniejemy jako wspólnota Kościoła” („Nie mój Kościół”).

„Ciasto, którego nie zjadłem”

Evangelicznie „najmniejszy”, o których mówił Wojciech Bonowicz, to na przykład dzieci. Biskup Muskus zaskoczył użytkowników Facebooka, ogłaszając, że posprząta, ugotuje, przyniesie żywoptot, i co tam jeszcze trzeba będzie zrobić, pod warunkiem, że wynajmujący go wpłaci na zbiórke. Bo potrzebne są miliony, żeby uratować życie; albo tysiące, żeby ocalić oczy.

Ks. Kazimierz Sowa: – Kiedy do Krakowa przyszedł Marek Jędraszewski, rola biskupów pomocniczych zmalała. Biskup Damian robił swoje, łącząc sprawy duszpasterskie z odnalezieniem dla siebie takiego miejsca, gdzie realnie pomagał. Tym miejscem są akcje pomocowe, które animuje w internecie, zbierając środki dla dzieci dotkniętych rzadkimi chorobami, których leczenie kosztuje miliony. Na ogół udaje mu się te akcje nie tylko ogłosić, ale i doprowadzić do końca, bo stosuje metody nieoczywiste jak na biskupa: licytuje swoje pamiątki lub prezenty, najmuje się do pracy fizycznej „za odpowiednią stawkę”, myje naczynia na plebaniach, za co gospodarze „płacą”, ma do siebie dystans i nie zbiskupiał.



LUKASZ KRAJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Bp Damian Muskus jako główny koordynator Światowych Dni Młodzieży. Campus Misericordiae w Wieliczce-Brzegach k. Krakowa, kwiecień 2016 r.

Muskus wszystko relacjonuje w mediach społecznościowych, prosi, przekonuje, puszcza oko, czaruje:

„Może ktoś podąży do galerii handlowej w celu zakupu porcelany? Nie musisz wychodzić z domu. Porcelana za kilka dni będzie u Ciebie. Wystarczy pomóc Marysi uratować oczka. Oferta ważna do 11 lipca do godziny 20.00”.

„Ciasto odjęte od ust. Na licytację wystawiam ciasto, które otrzymałem podczas odwiedzin u Marysi. Postanowiłem przekazać je na szybką licytację. Można je będzie odebrać jutro podczas kiermaszu ciast, który odbędzie się na Bachledówce. Na opakowaniu odręcznie zamieściłem napis: »Ciasto, którego nie zjadłem« i mój autograf» (ktoś zapłacił za ciasto 500 zł).

„Co tu dużo pisać. Wielkim problemem Piotra są schody. Dzielnie walczy z dziecięcym porażeniem mózgowym i wieloma innymi chorobami, ale schody to dla niego Giewont. Już ponad 3 miesiące zbiera środki na pokonanie tej góry. Nie idzie to sprawnie”.

„Może zbierzemy siły i pomożemy Piotrkowi i jego rodzicom wyprostować te schody. Ponoć najlepszym rozwiązaniem w tym konkretnym przypadku jest schodolaz, dzięki któremu Piotrek będzie mógł sprawnie przemieszczać się na podwórko, a może nawet wpadać na kawkę do sąsiadów z wyższych pięter. Jego mama naprawdę nie ma siły go już dźwigać”.

„Może moi Znajomi chcieliby zrobić jakiś dobry uczynek dla tego chłopca? Dowolne środki można wpłacać do skarbonki (link w komentarzu). Jest też możliwość – w zamian za konkretną wpłatę – otrzymania filizanki z herbem biskupim lub książki »Nie mój Kościół« z osobistą dedykacją. Ale to już nie są tanie rzeczy. Żeby otrzymać filizaneczkę z autografem na spodku, należy wesprzeć Piotra przynajmniej kwotą 1000 zł, zaś książkę można otrzymać po wpłaceniu przynajmniej 200 zł”.

Spotkanie z jeżem

Na Facebooku opowiada o pomidorach, o spotkaniu z jeżem. W Światowym Dniu Osób z Zespołem Downa zrobił sobie zdjęcie w dwóch różnych skarpetkach (skarpetki nie do pary to symbol tego święta) – jedną założył beżową, drugą w czerwono-czarne romby; widać też kawałek franciszkańskiego habitu.

Cieszą go zwierzątki, które spotyka, a w lesie cieszy go wiosna, która się spóźniała, ale w końcu jest; ma ubaw z jeżdżenia kosiarką, robienia memów, pozwania ze szczeniakiem.

O internecie mówił w ten sposób: „Zwłaszcza starsze pokolenie księży nie rozumie, że internet nie jest dziś jakimś dodatkiem do życia, ale naturalną przestronią młodych ludzi i właśnie m.in. tam należy ich szukać, tam trzeba z nimi być”.

Ks. Kazimierz Sowa: – O biskupie Damianie można powiedzieć wiele, ale nikt nie zna jego sympatii czy poglądów politycznych, nie wie, jaką ma wizję Polski i świata. Jest jednym z tych biskupów, o których z całą odpowiedzialnością i przekonaniem powiem, że to biskupi z ducha i nauczania Franciszka. Gdy go zapytałem kiedyś, czy chciałby być biskupem „na swoim”, żartował: „Gdybym o każdym mieście, gdzie miałem być biskupem diecezjalnym, pisał przewodnik, miałbym już sporą bibliotekę”.

Plastik, drodzy państwo, to zło

Mówią o nim „eko-biskup”. Na pytanie Magdaleny Dobrzyniak, czy przeżył ekologiczne nawrócenie, odpowiada: „Proszę sobie wyobrazić, że tak – i to pod wpływem własnego kazania. A tak naprawdę spowodowała je reakcja jednej z osób na słowa wypowiedziane przeze mnie podczas dożynek miejskich na krakowskich Błoniach w 2019 r. Uznała ona, że nie może przejść obojętnie obok kazania, w którym padło tak wiele słów wzywających do troski o świat stworzony. Postanowiła wprowadzić w życie ułożony przez siebie dekalog ekologiczny, w którym zawarła osobiste zobowiązanie do oszczędzania wody, segregowania odpadów, rezygnacji z foliowych opakowań, niekupowania napojów w plastikowych butelkach. Ta deklaracja zawstydziła z kolei mnie, mocnego w gebie, niekoniecznie w czynach. Dziś mija już czwarty rok, jak sieci handlowe notują spadki sprzedaży zgrzewek wody pitnej, którą wcześniej namiętnie nabywałem”.

Biskup rozstał się z plastikiem i kupił sześć karafek. Kiedy idzie w gości, mówi, że plastik, drodzy państwo, to zło.

Osamotnienie

Agnieszka: – Mówią też o Damianie Muskusie, że jest najbardziej osamotnionym biskupem w Kościele. Może i w Kościele tak, ale nie wśród ludzi. To chyba ważniejsze, prawda?

Maria: – Gdyby Jezus zszedł z góry i wpadł do Polski, zdziwiłby się, że księża mieszkają na wielkich plebaniach, a biskupi w pałacach. Nie tak chciał to urządzić. Ale gdyby zobaczył profil biskupa Damiana na Facebooku, pewnie by mu się spodobał. Mój wnuk, 17-latek, mówi, że biskup Muskus to taki „gostek od Jezusa”. I to jest dobre. © RENATA RADŁOWSKA

Odchodzący są nam potrzebni

O. WACŁAW OSZAJCA SJ

Różnorodność wyznań – postrzegana dotychczas jako niszcząca – staje się obecnie szansą na odrodzenie. Skoro całe chrześcijaństwo jest w dołku, jedna odpowiedź z całą pewnością nie wystarczy.

ABP CARLO MARIA VIGANÒ JEST OSKARŻONY o »publiczne wypowiedzi, które wskazują na zaprzeczenie punktom niezbędnym do zachowania komunii z Kościołem katolickim«. W szczególności chodzi o negowanie prawowitości papieża Franciszka i zerwanie komunii z papieżem, a także odrzucenie Soboru Watykańskiego II. Przestępstwo schizmy jest karane ekskomuniką – doniosły niedawno agencje prasowe.

Ekskomunika za schizmę; owszem, tak stanowi prawo, ale z tego nie wynika, że po jej nałożeniu problem mamy z głowy. Zostaje człowiek, jeszcze przed chwilą nazywany siostrą, bratem, współwyznawcą, a przede wszystkim dzieckiem Boga.

Mamy precyzyjne definicje schizmatyków, heretyków czy apostatów. Może jednak nadszedł czas, żeby ogłoszenie, że czyjeś poglądy przeczą poglądom Kościoła, wyprowadzić z zakłętego kręgu jurydycznej sprawiedliwości rozpiętej między winą i karą? A jeśli już musimy być przeciw sobie, to czy nie pora, żeby przypomnieć przykazanie o miłości nieprzyjaciół?

Cerkiew jezuitów

Na szczęście w historii mamy przykłady przekraczania w praktyce sztywnych podziałów. I tak w katolickiej gdańskiej fardze, której budowę zakończono w 1502 r., już w 1529 r. pierwsze swoje nabożeństwo odprawili protestanci, ale główny ołtarz aż do 1572 r. służył katolikom i aż do drugiej połowy XVII w. proboszczami kościoła byli katolicy duchowni wyznaczani przez króla polskiego. Podobnie działo się w Toruniu. W 1530 r. katolicką fargę przejęli protestanci, ale od 1583 r. odprawiano tam nabożeństwa również dla katolików. Katolicy modlili się po prawej

stronie świątyni, ewangelicy po lewej. Można? Można.

Co prawda nie zapobiegło to tzw. tumultowi toruńskiemu, ale patrząc z perspektywy lat, trzeba przyznać, że jest do czego nawiązać w ekumenicznych staraniach. Coś podobnego dzieje się obecnie. Od rosyjskiej inwazji na Ukrainę w jezuickim kościele w Poznaniu, na podstawie uzgodnień z abp. Stanisławem Gądeckim, działa kapelan uchodźców wojennych przynależących do Cerkwi Prawosławnej Ukrainy. On sam, jego żona i dzieci, mieszkają w domu zakonnym. Wśród Ukraińców utarło się nawet powiedzenie: „Idę do cerkwi do jezuitów”. Tak to życie ożywia i doskonali doktrynę.

Nie mogę się też oprzeć pokusie opowiedzenia szmoncesu, który z kolei opowiedział mi w Jerozolimie białoruski rabin. Otóż załoga jakiegoś statku odkryła na bezludnej wyspie samotnego Żyda, który tam już na dobre się rozgościł. Zbudował nawet dwie synagogi. Na pytanie zdziwionych wybawców, po co mu aż dwa domy modlitwy, odpowiedział: Żeby było normalnie. Normalnie? No tak, jedna jest tą, do której chodzę, a druga jest tą, do której nie chodzę i tak jest dobrze – nie cierpię przymusu.

Odeszli, żeby pozostać

Ostatnio trafił w moje ręce maszynopis wywiadów przeprowadzonych przez Ewę Barciszewską z chrześcijanami, którzy przeszli przeważnie z Kościoła rzymskokatolickiego do Kościoła ewangelicko-reformowanego. Czytam te rozmowy w kontekście trwającego już trzy lata synodu mojego Kościoła, który ma rozstrzygnąć, czym jest synodalność – dla nas swego rodzaju nowość, dla prawosławnych i protestantów codzienna praktyka. Wśród opinii na temat synodalności znalazłem ciekawą wypowiedź generała cystersów Mauro Giuseppe Leporiego. Stwierdził, że poznanie drugiego człowieka jest zależne przede wszystkim od umiejętności słuchania, gdyż „słuchanie drugiego zawsze mówi mi prawdę”,



jako że „wypływa z jego doświadczenia”. Nawet „jeśli drugi mówi coś, z czym się nie zgadzam”. Dzięki temu tworzy się wspólnota, która pomaga odkryć, że „zmierzamy do czegoś, co jest dobre dla całego Kościoła”. Tym dobrem jest nawrócenie „naszego serca na to, co Bóg chce, a nie na to, co mamy w naszych planach”.

Pomyślałem, że oto nadarza mi się doskonała okazja posłuchania, co mają do powiedzenia siostry i bracia, którzy... No właśnie, chciałoby się powiedzieć: kiedyś należeli do mojego Kościoła, ale odeszli.

Odeszli? Z treści wywiadów wynika, że niekoniecznie. Zresztą, skąd ta pewność, że odeszli, a może przeciwnie, jeszcze mocniej wrosli właśnie w Kościół twój i ich – Kościół nasz? A takie określenia, jak Kościół rzymskokatolicki, Kościół ewangelicko-augsburski, Kościół ewangelicko-reformowany, Kościół prawosławny, zamiast dzielić, odsłaniają różnorodność podejścia do Kościoła powszechnego. Różnice z przekleństwa stają się błogosławieństwem. Nic to nowego, ale wciąż jeszcze nieoczywistego. Pozostaje powrót do źródeł.

Paweł Apostoł mówi: „Otrzymałem, bracia moi, wieści od ludzi Chloe, że spieracie się między sobą. Mam na myśli to, że jeden mówi: »Ja jestem Pawła«, drugi: »Ja jestem Apollosa«, inny: »Ja jestem Kefasa« lub jeszcze inny: »Ja jestem Chry-

stusa!«. Czy można dzielić Chrystusa? Czy Paweł za was został ukrzyżowany? Czy w imię Pawła zostaliście ochrzczeni?” (Kor 1, 9-13). W jeszcze innym liście Paweł pisze: „Tego, kto jest słaby w wierze, przyjmujcie bez roztrząsania poglądów. Jeden jest przekonany, że może jeść wszystko, słaby natomiast spożywa jarzyny. Ten, kto je wszystko, niech nie lekceważy tego, który czegoś nie je. Ten zaś, kto nie je wszystkiego, niech nie osądza tego, który je. Bóg przecież go przyjął. Ty natomiast kim jesteś, że osądzasz czyjegoś sługę? To, czy on stoi, czy upada, jest sprawą jego Pana. Ostoi się jednak, ponieważ Pan ma moc go podtrzymać. Ktoś znowu wyróżnia jeden dzień spośród innych, dla innego wszystkie są równie ważne. Niech każdy zostanie przy swoim przekonaniu. (...) Nikt z nas nie żyje dla siebie i nie umiera dla siebie. Bo jeśli żyjemy, żyjemy dla Pana; jeżeli umieramy, umieramy dla Pana. Czy więc żyjemy, czy umieramy, należymy do Pana” (Rz 14, 1-8). „Należymy do Pana” – to Pawłowe stwierdzenie jest jak klucz, który otwiera zardzewiałe bramy naszych Kościołów.

Odstępcy?

Większość bohaterów książki, zanim odnalazła się w Kościele ewangelicko-reformowanym, przez jakiś czas była katolikami. Piszę „odnaleźli się”, gdyż to tam, u ewangelików, poculi się u siebie, we wspólnotę „należących do Pana”. Znaleźli się tam, gdyż jak wierzą, był w tym „palec Boży”. Wszystkie inne przyczyny są drugorzędne. Elżbieta na zastrzeżenie Ewy Barciszewskiej: „Chyba nie trzeba zmieniać wyznania, żeby zdać sobie sprawę z tego, kim się jest: że i kimś wyjątkowym, i takim samym, jak każdy inny”, odpowiada: „Być może, ale to w tym Kościele [ewangelicko-reformowanym] nauczyłam się najtrudniejszej rzeczy w moim życiu: nieoceniania innych ludzi. To jest potwornie trudne, bo my chcemy innych pouczać, dawać im dobre rady, jeżeli błędą, podawać im rękę. W pewnym momencie stwierdziłam, że nie. Każdy z nas ma swoją drogę. Moja była bardzo długa, momentami bardzo bolesna, ale widzę, że to wszystko było potrzebne”.

Uczestnicy procesji Bożego Ciała w Warszawie, czerwiec 2022 r.

Wynika z tego, że podziałów wśród uczniów Chrystusa nie musimy postrzegać jako dzieła szatana i jego sług, ale że Duch Boży też ma tu coś do powiedzenia. Potrafi jednak przeciwnieństwa i równie ze zła wyprowadzić dobro. Tymczasem w „Dekrecie Ogólnym Konferencji Episkopatu Polski w sprawie wystąpień z Kościoła oraz powrotu do wspólnoty Kościoła” (z 2016 r.), występujących z Kościoła nazywa się odstępcami i ekskomunikuje. Tylko co dalej – czy jak w tygodniu modlitw o jedność Kościoła, mamy z tymi wyrzuconymi za próg apostatami przekazać sobie znak pokoju?

Co więc takiego stoi na przeszkodzie, żeby wreszcie uwierzyć, iż przechodzenie z jednego wyznania do drugiego wcale nie musi być rozstaniem, odrzuceniem, a – przeciwnie – może być dopełnieniem? Grzegorz na pytanie: „A pan jakiejś krzywdy doznał w Kościele rzymskokatolickim?” odpowiada: „Nie, nie, ja po prostu konwersją chciałem zawalczyć o swoje chrześcijaństwo. Ona na pewno wynikała z chęci, aby ten mój irracjonalny cud wiary (...) zachować. Teraz naprawdę często jestem bardzo dumny z parafii. Nie zawsze z całego Kościoła, ale z parafii tak”.

Jak widać, chcąc dochować wierności Chrystusowi, nie musimy zaraz wskakiwać w buty antykatolickie czy antyewangelickie, jest możliwa inna opcja – wzajemne uzupełnianie się i dopełnianie. A że to dobra droga, zaświadczyła o tym np. „Wspólna deklaracja w sprawie nauki o usprawiedliwieniu” (z 1999 r.).

Bogactwo różnorodności

Wróćmy jeszcze do źródeł dzielących nas różnic, które czasami wydają się nie do zasypania, choćby kwestia nabożeństwa Wieczery Pańskiej, czyli Eucharystii. Wciąż jeszcze w moim Kościele słyszę, że najważniejszą częścią mszy jest, mówiąc uczenie, transsubstancjacja, czyli przeistoczenie chleba i wina w Ciało i Krew Pana Jezusa. Tymczasem istnieje katolicki Kościół syromalabarski rytu chaldejskiego, w którego liturgii słowa przeistoczenia czy ustanowienia w znanej nam formie nie występują, a chrześcijanom, w tym katolikom tradycji wschodniej, z trudem przychodzi zrozumienie sensu teoforycznych procesji, np. w uroczystości Bożego Ciała. Przecież chleb nie jest do pokazywania – mówią – ale do jedzenia. ➔



KARINA KRYSZOSIAK / REPORTER

→ Gubi nas, jak widać, brak znajomości nie tylko Biblii, ale i Tradycji, a także pewnego rodzaju historyczn: wszystko najistotniejsze dla ludzi dokonało się w przeszłości, a dzisiaj już się tylko tę przeszłość „aktualizuje”, kiedy tymczasem imieniem Boga jest „JESTEM”, a nie tylko byłem i kiedyś jeszcze będę.

Z tego wynika, że niekoniecznie mamy chlebem pozostałym po Wieczery Pańskiej karmić ptaki, ale nie ma też konieczności, żeby w każdym chrześcijańskim kościele było tabernakulum, natomiast jest konieczne, żeby była wspólnota. Niekonieczny jest krzyż i inne plastyczne przedstawienia, skoro życie Jezusa nie skończyło się na Golgocie, a On sam żyje właśnie w Kościele. „Istotą Kościoła jest to, co mówi Jezus: »Gdzie dwaj albo trzej zgromadzeni są w imię moje, tam Ja jestem pośród nich«, a nie tam, gdzie jeden siedzi przed monitorem” – mówi biskup ewangelicki Przemysław Semko Koroza.

Jestem z wami

Czeski jezuita Jan Rybář mówi: „Chciałbym mocno wierzyć, że za papieża Franciszka skończy się rozbięcie Kościoła na przedsoborowy i posoborowy. Martwi mnie stawianie litery ponad Duchem. Prawników ponad apostołami. Przestarałe sposoby wyjaśniania wiary ponad nowe sposoby”. Mamy wiele do zrobienia i nie podaliśmy w pojedynkę. Najpierw trzeba uwierzyć, że „Bóg jest miłością”, a różnorodność religii, wielość teologii i eklezjologii, światopoglądów i rozmaitość kultur jest „chciana przez Boga” i powinna być darem.

Weźmy dla przykładu kwestię zapożyczeń od naszych Kościołów, jak też z innych religii i kultur, choćby wielkanocne błogosławienie pokarmów – na Zamojszczyźnie nazywane paską. Ten obrzęd niekoniecznie trzeba widzieć jako pogański zabobon, choć rzeczywistość pochodzi on z religii przedchrześcijańskich. Przeciwnie, może poszerzać granice rozumienia rzeczywistości. W końcu w każdym domu najświętszy jest stół, łóżko i portfel. A chrześcijaństwo wzięło początek na uczcie w Kanie Galilejskiej, dopełnienie na uczcie w Wieczerniku, potwierdzenie na pikniku na brzegu Jeziora Tyberiadzkiego i wypełni się na uczcie w nowej ziemi i w nowym niebie.

Pamiętając o tym, można pójść jeszcze dalej i zapytać, czy nie nadszedł czas, by oddać poganom, co im się należy. „Paweł stanął pośrodku Areopagu i powiedział: »Ateńczycy! Widzę, że jesteście nadzwyczaj religijni. Kiedy się bowiem przechadzałem, oglądając wasze świątynie, natrafiłem też na ołtarz z napisem: 'Nieznanemu Bogu'. Ja wam głoszę to, co czcicie, nie znając«. Na pozór ta dysputa dla Pawła skończyła się klęską. W rzeczywistości Paweł położył tam fundamenty pod synodalność, ekumenizm, dialog między międzyreligijny i z ateistami.

Wspólny Jezus

Andrzej, kolejny rozmówca Ewy Barciszewskiej, mówi: „Bardzo szanuję również osoby będące w innych Kościołach, czy wręcz poza nimi, jednak postępujące tak, że w gruncie rzeczy żaden Kościół nie jest im potrzebny. Mnie ten Kościół jest potrzebny, bo mam jeszcze dużo ze sobą do zrobienia. I ciągle się uczę, więc chodzę do tej szkoły, ale w pewnym momencie mógłbym dostać świadectwo i przestać chodzić. Kościół to jest tylko nasza droga do znalezienia czegoś, czego poszukujemy. Jeżeli ktoś w Kościele katolickim znajduje możliwość szacunku dla innych ludzi, dobrej relacji z nimi, rozumienia ich, daleko posuniętej empatii, jeżeli czuje się w dobrym związku z przyrodą, po prostu jest dobrym człowiekiem, to nie musi już do żadnego innego kościoła chodzić. I takie myśli przewijają się czasem w kazaniach naszego pastora. On nie mówi: Tylko ja mam pełną wiedzę, tylko ja mogę mówić pełną prawdę, a wy to się na tym nie znacie”.

Sedno sprawy: wolność w Kościele. Patrząc na mój Kościół, muszę powiedzieć, że przestał być „potrzebny”, skoro w ciągu paru ostatnich lat odeszło z niego ponad 6 milionów wyznawców. Podobne zjawisko zachodzi w pozostałych Kościołach. Jednak wielu z tych, jak wskazują badania socjologiczne, którzy się z nami rozstają, nie porzuciło Boga. Może więc ta różnorodność wyznań, to, co nas do tychczas niszczyło, staje się na naszych oczach szansą na odrodzenie. Skoro całe chrześcijaństwo jest w dołku, jedna odpowiedź z całą pewnością nie wystarczy. Również to, że starania ekumeniczne drepną w miejscu, wskazuje na koniecz-



ność takiej jedności, w której przepływ z jednego wyznania do drugiego będzie odbywał się bez bólu. Nie będzie to proste. Wystarczy przyrzeć się reakcjom na trwający w Rzymie synod. Dla jednych jest źródłem nadziei na przyszłość, a dla drugich, o zgrozo, protestantyzacją i demokratyzacją naszego Kościoła.

Z niektórych wywiadów dowiedziałem się też, że dla odmiany w Kościołach ewangelickich dają o sobie znać obawy o katolicyzację czy liberalizację, ale jeśli tak się dzieje i u was, i u nas, to dobrze, bardzo dobrze. W Kościele, i wszędzie indziej, zaczyna dziać się dobrze, gdy różnice zaczynają boleć, pozorowana jedność zaczyna trzeszczeć, a dogmaty i paradygmaty tracą szczelność.

Zatroskanym o przyszłość Kościoła Anioł Ślăzak, czyli Johannes Scheffler radzi (przekład Andrzeja Lama): „Mędrcomu wszystko jedno, w spokoju się chowa: / Co nie po jego myśli, po woli idzie Boga”, a „Skoro tak skwapliwie chronisz swój majątek, / Spokoju prawdziwego nigdy nie osiągniesz”. Natomiast „Kiedy bogacz chętnie o swej nędzy gada, / Uwierz mu skwapliwie: to jest szczerza prawda”. I wreszcie: „Bóg musi być początkiem i środkiem i końcem, / By zechciał w dziele rąk twych upodobać sobie”.

© O. WACŁAW OSZAJCA SJ



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Drugi Małopolski Marsz „Rodzinie i Życiu TAK”, Kraków, październik 2017 r.

Dlaczego zostajemy w Kościele

ZUZANNA RADZIK

Marek Kita radzi, jak znaleźć siłę do pozostania w Kościele – tym, którzy czują, że sprawia im to coraz większą trudność.

JAK ZOSTAĆ W KOŚCIELE? CZY ZOSTAĆ w Kościele? Jak pani wytrzymuje w Kościele? Słyszałam podobne pytania wielokrotnie. Czasem konfrontacyjnie, jako zarzut, że jeszcze w Kościele jestem, czasem z niedowierzaniem. Częściej z bólem i dezorientacją – zadawane przez rozdartych skandalami, szukających dawnego przywiązania, chcących uwierzyć, że zostając, nie współpracują ze złem systemu. Być może to pytanie brzmi tak naprawdę: po co mam zostać w Kościele?

Czasem przychodzi mailem, czasem na rodzinnym spotkaniu, innym razem w sylwestra, już po północy, od nowo poznanych osób. Być może to jedno z bardziej dręczących pytań, często powierzanych w zaufaniu, bo nierozumianych

przez otoczenie, które albo trwa w Kościele bez zadawania pytań, albo już dawno przestało się nim przejmować. Widziałam, jak przez lata ton pytania u tych samych osób się zmienia, a odpowiedzi zaczyna być czasem większe zaangażowanie, a czasem schizma albo apostazja. Czasem jedno po drugim.

Zmiana pozycji

Dlatego z ciekawością czekałam na odpowiedź, jaką da na to pytanie teolog Marek Kita w zapowiadanej przez wydawnictwo Więź książce, która ukazała się niedawno pod tytułem „Zostać w Kościele. Zostać Kościołem”. Czytam ją własnym okiem, ale też przez pryzmat wszystkich wersji pytania o sens zostawania w Kościele. Czy książka Kity daje na nie odpowiedź?

Autor od razu zapowiada, że nie jest to projekt reformy Kościoła ani plan rewolucji, tylko propozycja osobistych rekolekcji dla tych, którzy decydują się pozostać w Kościele, jednocześnie przesuwać się na inne w nim pozycje. „Nie chodzi więc o to, żeby zostać w kościelnej rzeczywistości, jaką ona jest obecnie, ale właśnie o to, żeby z niej wyjść i zostać tym, czym jesteśmy w marzeniach pełnych Ducha” – pisze autor.

Zatem i wyjść, i zostać. Przemienić swoje bycie w Kościele. W odpowiedzi na ten ruch, na przeformułowanie swojego bycia w Kościele Kita proponuje swoje refleksje. Pisze je nie dla apostatów, których decyzje szanuje, i nie dla zadowolonych z tego, co jest – tylko dla tych, którzy podziwiają krytyczne diagnozy, a jednak nie chcą opuszczać duchowego domu. „Gdy duchowy dom został sprofanowany i stoi w ogniu, próbują się jakoś odnaleźć na pogorzeliśku”.

Jeśli próbujesz się odnaleźć na pogorzeliśku albo męczy się z tym ktoś, kogo znasz, to może być książka, po którą trzeba sięgnąć.

Asertywne świadectwo

Nie chcę zdradzać wszystkich odpowiedzi Kity, bo to niewielka książka i łatwo sprawdzić samemu. W dodatku, co ważne, jest to książka, przy której

→ lekturze czuć, że powstała z głębokiej i uczciwej medytacji nad problemem. Kita wierzy, że Zmartwychwstały „może nas wyprowadzić poza kościelny matrix drogą rewolucji pokoju”. Co proponuje? „Drogę asertywnego dawania świadectwa o znajomości z Nim, oraz skrzykiwania się ze współnikami w tym doświadczeniu, żeby »przygotować Mu drogi« w naszym sąsiedztwie”.

Nie musimy przy tym atakować biurokratów (sami się doprowadzą do klęski). Tylko słuchać Bożych natchnień i robić swoje, a uzyskane w ten sposób doświadczenie da nam materiał do refleksji nad reformą. Kita pisze: „Istnieje droga krytycznej ortodoksji oraz obywatelskiej wolności wierzących, niesprzeczna z lojalnością wobec Kościoła (rozumianego jako wspólnota w dziedzictwie słowa i sakramentów). Do pójścia nią potrzeba uczciwej powtórki z Nowego Testamentu, życia tym, co stanowi sedno, i świadomości ewolucyjnego charakteru tradycji. (...) Żeby zostać Kościołem w sensie pozostania nim, trzeba nim zostać w sensie stawania się – dokonać wewnętrznego przemieszczenia”.

Siedem prawd

Duża część książki to powtórka z Ewangelii, a nie projekt zmian w Kościele. Powtórka warta czytania. Znakomitym pomysłem jest zastąpienie sześciu prawd wiary, znanych z książeczek do nabożeństwa i katechezy, a w istocie nieewangelicznych, siedmioma nowymi prawdami, które Kita wywodzi z Ewangelii. W tych siedmiu prawdach opisany jest Bóg bliski, a nie sędzia, który karze. Jest to Bóg Ewangelii.

Autor zapewnia, że to, co proponuje, jest nie tyle antyklerykalne, ile aklerikalne, bo podział na duchownych i świeckich to zastarzałe skrzywienie teologii. Omija więc ten podział i nie poświęca mu wiele miejsca. Księżę uwikłanych w system nieraz traktuje ciepło, namawia do wyrozumiałości wobec nich. Przyznam, że tu poczułam opór, bo wiem, że moja praktyczna aklerikalność nie zmienia tego, że instytucja działa według zasad klerykalnych, a co za tym idzie – teologią, majątkiem oraz życiem Kościoła zarządzają samorekrutujący się do tego mężczyźni.

Masz tę moc

To nie znaczy, że Kita uchyla się od krytyki zastanej rzeczywistości. Tyle że kry-

zys go nie ekscytuje, nie zatrzymuje się przy nim. Czytamy soczyste frazy o tym, że spada „liczba zainteresowanych pozostaniem w Kościele w charakterze podopiecznych kleru”, czy o tym, że „codzienność wielu parafii oraz innych struktur kościelnych szydzi sobie z teologii Ludu Bożego. Mowa jest o systemie, który krzywdzi najmniejszych”. Kita stwierdza wreszcie: „Nie mówimy o gaszeniu pożaru, bo to, co płonie, powinno się spalić do końca”. I wzywa: nie gascie go, to musi spłonąć do końca.

Dla polskich katolików głos przypominający o demokratycznym rozlewaniu się Ducha może być wyzwalający. Konfrontacja z tym, co jest, to nie tylko wyjście ze wspólnoty, ale radykalna zmiana własnej perspektywy. Możemy mieć eklezjalną wyobraźnię, dzielić się słowem, wspierać innych – nie w salce, nie z biskupią pieczęcią i bez asysty człowieka w koloratce.

Masz tę moc, to prawo, ono przychodzi z chrztu. Nie musisz o nie prosić. Mam wrażenie, że polski katolik czuje się w sprawach wiary niekompetentny, dlatego tak łatwo oddaje front księżom. Kita pomoże przemeblować głowę.

Nabrani na synod

Jeśli chodzi o sposób pozostania w Kościele, chętnie się z Kitą pospieszam, choć może mój opór momentami wynika z tego, że usadza moją nadaktywność i każe spojrzeć głębiej. Jestem, jak wielu czytelników „Tygodnika”, wychowanicą formacji powtarzającej, że to my jesteśmy Kościołem, a Kościół jest nasz, świeckich również, i nie damy się wypchnąć. Mój katolicyzm formował się na lekturach „Tygodnika”, „Więzi” i „Znaku” bardziej niż na parafialnej codzienności, gdzie te hasła zdawały się mrzonką.

Po ćwierćwieczu wciąż wierzę w bycie w tej pielgrzymującej wspólnotcie, ale dodałabym ostrzeżenie, jak na papierosach, że to nie chroni przed frustracją i wątpliwościami, wręcz je wzmaga. Kita to widzi, ale wciąż rekomenduje. Na jednej z pierwszych stron książki pisze: „Ile już było zapalu i oddania ze strony przebudzonych świeckich, których aktywność odbiła się od ściany księżowskiej rutyny, została zlekceważona i zmarnowana? Jak niby mamy praktycznie »zostać Kościołem« (aktualizować bycie nim), skoro instytucja świetnie sobie radzi bez naszych działań, a oddolne inicjatywy wyraźnie spra-

wiają jej kłopot i niepokoją? I w ogóle, czy warto po raz kolejny dać się nabrać na »odnowę Kościoła«, gdy aktualne skandale pokazują, jak mało znaczy Ewangelia w korporacji wyświęconych?”.

To jest palące pytanie. Nabieramy się na różne odnowy, synody, obietnice, teologiczne wizje, a potem okazuje się, że mydlono nam oczy i nic się nie zmienia. Jak wyjść z tego impasu?

Nie tylko schron

W tym sensie nie wiem, czy podstawowe wspólnoty kościelne, ta kuroniowska eklezjologia samoorganizacji, są receptą na kryzys. Bardzo ciężko jest w małej grupie wykarmić się Słowem, modlitwą i wspólnotą, gdy wokół padają autorytety, instytucja okazuje się pełna szlamu, a my w swoich zasobach mamy jedynie 12 lat miernej katechetycznej formacji. To jest elitarna propozycja dla osób z wysoką religijną kompetencją. A pytanie o pozostawanie w Kościele słyszę także od takich, którzy polegali dotąd na kościelnych „usługach” i bez nich czują się bezradni. Taka samodzielność może być większym wyzwaniem niż odchodzenie lub zaciśnięcie zębów, żeby wytrzymać. Czemu mamy robić Kościół na boku własnymi siłami, jednocześnie płacąc instytucjonalnym funkcjonariuszom?

Esej Kity o „pozбиieraniu na nowo (*re-collectio*) zarówno myśli o wierze, jak i siebie samych, rozbitych w zderzeniu z ciemną stroną Kościoła” naszpikowany jest rewolucyjnymi postulatami, wykraczającymi poza projekt budowania wspólnot-schronów. Pozornie tylko Kita nie wzywa do rewolucji w Kościele, bo buduje fundament pod ewangeliczny przewrót. To po prostu projekt rewolucji Kościoła skierowany do wewnątrz – na przemianę serc, wspólnot, która przemieni i resztę eklezji.

Jednak w punktowaniu błędów, autorytaryzmu, nadużyć władzy jest bezwzględny nie publicystycznie, ale też teologicznie precyzyjny. W efekcie ta lektura to też lekcja krytycznego myślenia o doktrynie i organizacji instytucji, możliwych zmianach i ich granicach. Wiem, że to o mnie, i wiem, że przydała mi się powtórka z Ewangelii, której prorocką moc zaślania codzienność Kościoła. Po takich rekolekcjach trzeba ruszyć do pracy, która odmieni ten Kościół.

© ZUZANNA RADZIK

WOJCIECH

Bonowicz:

Inny świat



MOJE WAKACYJNE SPOSTRZEŻENIE: ludzie są w zasadzie mili. Jeśli sympatycznie zagadasz, sympatycznie ci odpowiadzą. Jeśli się uśmiechiesz, na ogół odwzajemnią uśmiech. Mimo wakacyjnej gorączki, mimo konkurowania o to

czy o tamto, mimo przyrodzonej nerwowości. Owszem, niemili także się zdarzają, ale zwracają na siebie uwagę właśnie przez to, że pojawiają się na tle generalnie miłych. Tam, gdzie inni przepuszczają auta, którym trudno jest włączyć się do ruchu, niemili celowo przyspieszają, trąbiąc agresywnie, a czasem m krzycząc coś zza szyby. Wydzieranie się na płaczące dziecko jeszcze nigdy żadnego nie uspokoiło, ale niemili wytrwale próbują. Podobnie jak próbują zawczasu zająć najlepsze, bo jedyne ocienione, miejsce na parkingu czy najlepsze, bo łatwe do okopania się, miejsce na plaży. Niemniej wydzierających się, trąbiących i zajmujących najlepsze miejsca – przynajmniej tam, gdzie jestem – spotykam niewiele.

Może zresztą ja nieuważny jestem i nie widzę? Może wszystko zależy od wewnętrznego nastawienia, od tego, na którym boku się spało i którą nogą się wstanie? Łóżko w pokoju mam tak usytuowane, że z konieczności codziennie wstaję lewą, więc powinienem być nastawiony raczej na „nie” niż na „tak”. Pod przeciwległą ścianą chrapią solidnie Jacek z Rafałem, z sąsiedniego pokoju słyszę równie solidne chrapanie Piotrką, jak się, nie daj Boże, obudzę w nocy, to ponownie zasnąć trudno. Na dodatek z okna pokoju widzę, jak pisał Gombrowicz, nieunikniony Giewont z przyległościami. A jednak choć nie wysypiam się za bardzo, wstaję lewą nogą i ciągle ten sam Giewont za oknem, to świat z reguły twarzą się do mnie obraca, a nie tyłem, i to twarzą uśmiechniętą, nie wykrzywioną.

Jacek i Rafał to downowcy, obaj po czterdziestce, obu znam od małego, co roku jeździmy razem na letni obóz i na ogół śpimy w jednym pokoju. Jacek wstaje wcześniej, kąpie się, goli, idzie do któregoś z sąsiadów na kawę, a po kawie kładzie się na zaścielonym łóżku i czyta sobie czytania liturgiczne przeznaczone na dany dzień albo przegląda kalendarz. „Mam bojowy tydzień”, mówi. „W niedzielę idę do pracy, w poniedziałek do pracy, potem dwa dni warsztatów i znow do pracy. I jeszcze muszę iść do przychodni po skierowanie na płukanie uszu”. Jacek wszystko załatwia sam, tylko w najtrudniejszych sprawach pomaga mu siostra lub siostrzenica. Jest pogodny, choć bardzo tęskni, bo chciałby

założyć własną rodzinę, mieć kogoś, z kim wieczorami będzie jadł kolację, oglądał „Detektywów” albo „Dlaczego ja?” i obok kogo zaśnie. Kiedy smutki stają się nie do wytrzymania, przychodzi się przytulić i pyta miłym głosem: „Wojtuś, masz ochotę na piwko?”.

Rafał, leżąc w łóżku, opowiada sobie szeptem wszystko, co działo się poprzedniego dnia. Ponieważ obchodziliśmy urodziny kolegi, śpiewa pod nosem: „Sto lat”, składa życzenia i upomina tych, którzy przeszkadzają, zamiast się skupić. Potem opowiada sobie dzień, który właśnie się zaczął. Jego myśli biegną torami, na które ja nigdy nie wskoczę, a bardzo chciałbym. Od czasu do czasu pyta mnie o coś niespodziewanego, na przykład co się dzieje z kimś, kto był z nami na obozie dwadzieścia lat temu. Swoje pytanie i moją odpowiedź powtarza sobie szeptem. Nie zawsze go rozumiem, bo mówi niewyraźnie i lekko się jąka. Jest najpogodniejszym i najbardziej zgodliwym człowiekiem, jakiego znam. Nie lubi, kiedy ktoś krzyczy albo się rządzi. Kiedy na niego patrzę, zawsze się uśmiecha. A kiedy się ubiera, rozrzuca swoje rzeczy po całym pokoju, a potem ich szuka. „Jestem masakra. Ma-sa-kra”, powtarza.

Ja wiem, że świat ludzki to nie idylla, ludzie czepiają się jedni drugich, jedni drugim konieczne chcą coś udowodnić, kosztem drugich leczą swoje kompleksy. Wiem, że człowiek człowiekowi wilkiem, duże ryby pożerają małe, trzeba się rozpychać łokciami, i tak dalej. Znam te wszystkie powiedzonka, te ciemne zaklęcia, te gnuśne usprawiedliwienia. Ale życie, choć może tak wygląda, nie musi tak wyglądać. Można żyć bardziej miękko, mniej zachłannie, nie tak szybko. Nie sposób uniknąć konfliktów w ogóle, ale można ich nie eskalować, cofnąć się dwa kroki, spojrzeć na nie i na siebie w nich z dystansu. Dosyć ma dzień swojej biedy. Nie potrzeba do tej, która już jest, dodawać swojej złości czy zniecierpliwienia. Lepiej dodać coś, co tę biedę uczyni znośniejszą.

No więc świat na zewnątrz może wygląda inaczej, niż ja go widzę. Ale może być i tak, że to ja – dzięki Jackowi, Rafałowi i innym – widzę go wyraźniej. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia”.

CZAS TRUMPA, CZAS EUROPY

Główny problem dla USA i Europy to dziś nie wygrana Trumpa, lecz polityczny klincz w Ameryce. Stany są skazane na dryf i nieprzewidywalność. Co to znaczy dla nas? Musimy być gotowi do samodzielnego działania.

OLAF OSICA

IZNÓW HISTORIA DZIEJE SIĘ NA NASZYCH łoczach. Zapoczątkowana wyborami do Parlamentu Europejskiego seria politycznych rozstrzygnięć – we Francji i Wielkiej Brytanii już dokonanych, a spodziewanych w listopadzie w USA oraz jesienią 2025 r. w Niemczech – ma szansę przejść do annałów jako (kolejny) moment zwrotny w dziejach Zachodu.

W ciągu tych wszystkich zdarzeń – gdzie wspólnym mianownikiem jest wola zmęczonych wyborców – nieudany zamach na życie Donalda Trumpa urasta do rangi symbolu. Koszmarnego symbolu skrajnych emocji, które kształtują dziś i społeczeństwa, i politykę.

W uścisku emocji

Cieężko analizować wydarzenia, gdy ich głównym wyznacznikiem są emocje. Ale to właśnie ignorowanie emocji jest jednym z największych grzechów, który można dziś popełnić, gdy próbuje się opisać kierunek, w którym może zmierzać nasz świat, świat Zachodu.

Jeśli dodać do tego ogromną koncentrację na osobach i osobowościach głównych antagonistek i antagonistów wyborczych batalii – Ursuli von der Leyen i Giorgii Meloni, Emmanuela Macrona i Marine Le Pen, Joego Bidena i Donalda

Trumpa oraz wielu innych – wówczas postronny obserwator może odnieść wrażenie, iż demokracja jest areną starcia nowych możnowładców, a nie liderów, którzy zabiegają o wsparcie wyborców.

Kwestia zaufania lub jego braku, przypisywane cechy osobowości i zdolność do mobilizacji są oczywiście kluczowe w wyścigu wyborczym. Nie powinny jednak przesłaniać rzeczy najważniejszej: rzeczywistość społeczna, gospodarcza czy polityczna demokracji nie jest zrobiona z plasteliny. Żaden demokratyczny polityk nie jest na tyle wszechmocny, aby próbować lepić sobie swój własny świat i występujące w nim figury, a następnie rozstawiać je na szachownicy i rozgrywać zupełnie nową partię, w oderwaniu od innych graczy i całych społeczeństw.

Kopnięcie w stół

Taką właśnie próbą był brexit. Pokazał, że wprawdzie „kopnięcie stołu” – po to, aby uwolnić się od domniemanego dyktatu innych i móc, jak chcieli jego zwolennicy, w pełni oddychać wolnością – jest możliwe. Jednak konsekwencje takiego działania przynoszą najpierw kryzys, a potem obracają się przeciw „kopiącym”.



Skala zwycięstwa laburzystów w lipcowych brytyjskich wyborach i zarazem skala porażki konserwatystów mają wiele przyczyn. Ale jedną z głównych jest negatywna weryfikacja założenia, że wyjście z Unii Europejskiej będzie panaceum na upadające usługi publiczne, wzrost niekontrolowanej migracji czy spadek pozycji międzynarodowej.

Tymczasem brexit nie tylko obnażył, ale i wyostrzył wszystkie problemy Wielkiej Brytanii istniejące od czasów referendum z 2016 r., a następnie dorzucił wiele nowych.

Przy wszystkich oczywistych różnicach – dotyczących skali i złożoności problemów – podobna sytuacja ma dziś miejsce w USA. Streszczona w hasło „*America first!*” opowieść Trumpa o wyjściu Ameryki ze świata – o skupieniu się na odbudowie własnej potęgi, odzyskaniu suwerenności i bogactwa, a także o poukładaniu świata na swój nowy sposób – jest



JIM WATSON / AFP / EAST NEWS

Zwolennicy Donalda Trumpa dekorują ulice przed Narodową Konwencją Republikanów. Milwaukee w stanie Wisconsin, 17 lipca 2024 r.

wtórna wobec realnych (czy też systemowych) problemów, które trapią Amerykanów.

Z kolei opowieść Partii Demokratycznej (niezależnie od tego, kto finalnie miałby być jej kandydatem na prezydenta; w chwili kończenia tego tekstu pojawiły się spekulacje o możliwej już ponoć rezygnacji Joego Bidena i wystawieniu w jego miejsce kogoś innego), choć bardziej spójna i szukająca zmian w ramach obowiązujących reguł gry w polityce wewnętrznej i zagranicznej – przynajmniej z perspektywy Europy – jest jednak mało przekonująca dla amerykańskich wyborców.

Jest zatem bardzo możliwe, że w listopadowych wyborach prezydenckich w USA – będących w gruncie rzeczy rodzajem referendum – zwolennicy pozostania Ameryki w świetle liberalnych instytucji Zachodu poniosą porażkę. Czy na zawsze, tego oczywiście nie wiemy.

Głód zmian

Przeglądając sondaż „Top Policy Priority for 2024” ze stycznia tego roku, wykonany przez Pew Research (jeden z największych ośrodków badania światowej opinii publicznej) i poświęcony poglądom oraz obawom Amerykanów, można wysnuć dwie refleksje.

Pierwsza: widać potrzebę głębokich reform systemu. Bez względu na różnice ideowe, wyborcy obu partii, Demokratów i Republikanów, podzielają kilka głównych postulatów – takich jak wzmocnienie gospodarki (73 proc.), zmniejszenie roli pieniędzy w polityce (62 proc.), poprawa edukacji czy wzmocnienie systemu zabezpieczeń społecznych (60 proc.).

Druga refleksja dotyczy głębokich podziałów w wielu innych obszarach polityki. Np. Demokraci są znacznie bardziej skłonni niż Republikanie do priorytetowego traktowania ochrony środowiska (63 do 23 proc.) i radzenia sobie

ze zmianami klimatu (59 do 12 proc.). Z kolei kwestia imigracji jest absolutnym priorytetem dla Republikanów (76 do 39 proc.), podobnie jak wzmacnianie armii (56 do 23 proc.).

Gigantyczne różnice widać też w ocenie NATO. Większość Amerykanów (62 proc.) wprawdzie pozytywnie ocenia Sojusz, ale podział partyjny w tej kwestii jest znaczący: dobrą opinię o NATO ma 75 proc. Demokratów i tylko 43 proc. Republikanów.

Podział partyjny rozciąga się też na opinię, czy członkostwo w NATO przynosi korzyści Stanom: uważa tak 81 proc. Demokratów i tylko 51 proc. Republikanów (badanie Growing Partisan Divisions Over NATO and Ukraine, kwiecień 2024).

Trumpa sen o nowej Ameryce

Ten rozjazd opinii, na który nakładają się jeszcze różnice rasowe i kulturowe, nie musiałby być jednym z głównych

→ motorów podziałów politycznych, gdyby nie Trump. Ten z krwi i kości przedstawiciel elity biznesu prezentuje się jako ofiara liberalnego establishmentu i człowiek rozumiejący problemy zwykłych Amerykanów.

O Trumpie jako liderze powiedziano już chyba wszystko. Jego osobowość jest bodaj największym źródłem nieprzewidywalności i związanych z tym obaw. Dla tego warto przyjrzeć się jego poglądom, które najwyraźniej trafiają w swój czas.

Jest konserwatystą w myśleniu o społeczeństwie i świecie, a zarazem skrajnym liberałem w podejściu do gospodarki. Ta nowa „konserwatywna” rama społeczna wydaje się jednak bardziej zbiorem wyborczych haseł, zbudowanych na opozycji do rywali z Partii Demokratycznej – nie dla aborcji, nie dla ograniczeń wynikających ze zmian klimatu, nie dla rządu federalnego – niż spójnym światopoglądem, który pokazywałby nowy i całościowy pomysł na amerykańskie państwo i społeczeństwo w wieku XXI.

O wiele bardziej spójny i prosty zarazem jest jego program gospodarczy. Zasadza się na niskich podatkach, deregulacji i sprzeciwie wobec aktywnej roli państwa w dostarczaniu usług publicznych.

Czy jednak konserwatyzm idei, w połączeniu ze skrajnym liberalizmem gospodarczym, jest w stanie dać wszystkim szansę na poprawę życia?

Dawnej epoki (złudny) czar

Dla wielu sympatyków, także w Europie, Trump jest ideowym spadkobiercą Margaret Thatcher i Ronalda Reagana. Żyjemy jednak w świecie, który w niczym – może poza powrotem elementów popkultury i mody – nie przypomina epoki, gdy tych dwoje odciskało swoje piętno na życiu Wielkiej Brytanii i USA, a także ich sojuszników.

Lata 80. XX w. to było apogeum zimnej wojny i zachodniej dominacji w globalnej polityce, gospodarce i kulturze. Rywalizacja przemysłowa z Japonią nie miała charakteru geopolitycznego (jak dziś z Chinami), a przenoszenie inwestycji w różne miejsca globu było regulowane i ograniczane rozwojem technologicznym i kompetencyjnym tańszych rynków.

Era Thatcher i Reagana była odpowiedzią na recesję z początku lat 80., gdy wypalił się model rozwoju oparty na ochronie rynków, zbiorowych układach pracy

Lęk Europy, by stanąć oko w oko ze światem,
nie mając już USA za plecami,
oddaje bardziej nasz stan
umysłu niż faktyczny
stan rzeczy.

i silnej interwencji rządów w gospodarkę. Zmiany, które oboje firmowali, były bez wątpienia potrzebne i dały gospodarce silny impuls wzrostu. To był czas szybkiego rozwoju korporacji i rynków finansowych, słabnięcia bazy przemysłowej i przesuwania obu gospodarek w stronę dostawców usług (ten model rozwojowy ostatecznie załamał się w 2008 r.).

Ale ceną za tamten zastrzyk adrenaliny w wykonaniu Thatcher i Reagana był ogromny wzrost nierówności, zadłużenia i deficytów handlowych (w wyniku otwarcia rynków na tani import), cięcie programów rządowych i w efekcie wyostrzenie problemów społecznych. Bogaci i zdolni popłynęli na fali, reszta została na brzegu.

Co by było, gdyby...

Gdyby więc Trump chciał spełnić oczekiwania swoich wyborców dotyczące gruntownej przebudowy Ameryki – tak, by była bardziej sprawiedliwa i dawała równe szanse tym, którzy nie mają kapitału finansowego i społecznego – musiałby zacząć nie od deregulacji i obniżki podatków, lecz od inwestycji publicznych w infrastrukturę, szkolnictwo, przemysł. A także od sprowadzenia całych łańcuchów dostaw z powrotem do Ameryki. Nie ma jednak pewności, że wielu republikańskich wyborców byłoby gotowych płacić więcej za towary *made in USA* oraz wrócić do nowoczesnych, ale jednak fabryk – tak jak ich ojcowie i dziadkowie.

A to wszystko oznaczałoby przecież więcej, a nie mniej rządu federalnego. No i wymagałoby dostępu do innych rynków, które otwarte są zawsze na zasadzie wzajemności.

Tymczasem Trump i jego otoczenie widzą w NATO oraz w innych sojuszach, które wiążą Amerykę, jedynie koszty. Nie zaś długofalową inwestycję w stabilność najbogatszych rynków świata, które ku-

pują amerykańskie usługi i towary. Zapominanie o wzajemności jest zawsze źródłem niemiłych niespodzianek.

Gdyby plan, który określa hasło „Uczynimy Amerykę na powrót wielką” (*Make America great again*), miał być realizowany z całą konsekwencją, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zakończyłby się jak brexit: spadkiem wpływów politycznych u sojuszników, większymi problemami dla amerykańskiej gospodarki i jeszcze większą frustracją społeczną.

Wiadomość najgorsza

Na tym tle Demokraci są bez wątpienia bardziej świadomi złożoności problemów Ameryki i braku magicznych rozwiązań. Od kwestii ubezpieczeń i programów społecznych, przez inwestycje publiczne i dofinansowanie szkół w biedniejszych dystryktach, aż po przeciwdziałanie skutkom zmian klimatu – w tym wszystkim Demokraci wydają się być bliżsi wyborcom Trumpa.

Bo ci w swojej masie są przecież, patrząc na chłodno, najbardziej poszkodowani przez globalizację. Bardziej niż elektorat Demokratów, który lepiej ocenia sytuację gospodarczą. W maju tego roku 37 proc. wyborców Demokratów oceniało sytuację jako dobrą lub bardzo dobrą – podczas gdy wśród wyborców Republikanów deklarowało to jedynie 10 procent.

Jednak przeprowadzenie zmian idących w stronę „europeizacji” Ameryki – powstałej wszak w opozycji do Europy – byłoby trudne do wyobrażenia nawet we względnie spokojnych czasach, gdy istniało silne polityczne centrum. Dziś, w czasach nie tylko pozbawionych centrum, ale wręcz rewolucyjnych – a chyba w takim momencie są Stany – mówienie o stopniowych reformach nie jest w stanie porwać większości.

Wydaje się zatem, że największym problemem zarówno dla Amerykanów, jak i dla Europy jest nie tyle wygrana Trumpa i przegrana kandydata Demokratów (ktokolwiek by nim był) lub na odwrót, lecz utrzymujący się klincz w amerykańskiej polityce. Nie daje on nadziei na powstanie nowego konsensusu wobec głównych wyzwań społecznych, gospodarczych i politycznych. Ameryka wydaje się skazana na długi dryf i związaną z nim nieprzewidywalność. A to dla jej sojuszników jest najgorszą wiadomością.



JOHANNA GERON / REUTERS / FORUM

Ursula von der Leyen po ponownym wyborze na przewodniczącą Komisji Europejskiej w Parlamencie Europejskim. Strasburg, 18 lipca 2024 r.

Europejska panika

Uświadomienie sobie, że nie mamy wpływu na proces wyborczy za Atlantykiem i że Stany mogą stać się państwem jeszcze bardziej dysfunkcyjnym (lub/i obrać nowy kurs na przyszłość bez naszego udziału) – to budzi w Europie wielkie emocje.

Pierwszą ofiarą europejskiego lęku przed powrotem Trumpa stał się Biden. Jego fatalny występ w prezydenckiej debacie na początku lipca, w której gubił wątki i sprawiał wrażenie nieobecnego, wprowił europejskie media w stan paniki. Poważny i poważany brytyjski tygodnik „The Economist” skomentował stan Bidena i Ameryki toporną – jak na standardy tego pisma – okładką: widzimy na niej medyczny balkonik, na którego froncie widnieje Pieczęć Prezydenta USA.

Europejscy politycy zachowali (oficjalnie) większą wstrzemięźliwość. Ale szok wywołany perspektywą sukcesu Trumpa, wzmocnioną dodatkowo emocjami wywołanymi próbą jego zabójstwa, pogłębia minorowe nastroje na naszym kontynencie.

Wizja, w której europejskie ruchy pragnące cofnięcia integracji Europy (czyli *de facto* jej rozbitcia) zyskują silnego sponsora politycznego w Stanach, jest istotnie niepokojąca. Tak samo jak zapowiedzi Trumpa, że w *dealu* z Putinem zakończy wojnę w Ukrainie w ciągu 24 godzin (bez liczenia się z Ukraińcami) lub że będzie respektować gwarancje NATO tylko wobec tych państw, które wywiązują się z wydatków na obronę (w sytuacji, gdy nie ma obrony Polski bez gotowości do obrony Niemiec; to naczynia połączone).

Czas na samodzielność

Jednak problem jest o wiele poważniejszy. Reakcja Europy na sytuację w Stanach pokazuje dwie rzeczy.

Po pierwsze, że z naszego punktu widzenia wybór w USA sprowadza się albo do partnera z Partii Republikańskiej, który może efektywnie „wywrócić stolik”, albo partnera z Partii Demokratycznej, który może być niezdolny do prowadzenia skutecznej polityki (bo mimo wierności idei współpracy atlantyckiej, będzie blokowany w Kongresie; przedsmakiem tego była już półroczna blokada pomocy dla Ukrainy). W obu przypadkach dodatkowym czynnikiem będzie wynik wyborów do Kongresu, który przyspieszy lub utrudni zmianę, względnie ochronę *status quo* (wybór jednej trzeciej senatorów odbywa się 5 listopada, równoległe z elekcją prezydencką; obecnie Demokraci mają w Senacie niewielką przewagę).

Po drugie, że mimo kilkudziesięciu lat debat o konieczności przygotowania się Europy na moment, w którym Stany zmienią swoje priorytety strategiczne – proces, który z różnymi przerwami ma miejsce od końca zimnej wojny – nadal nie umiemy wyobrazić sobie przyszłości bez „parasola ochronnego” USA.

Skutek jest taki, że dziś drżymy na myśl o tym, co się stanie, gdy Trump wróci do Białego Domu (mając u boku wiceprezenta J.D. Vance’a, którego, jak otwarcie deklaruje, los Ukrainy – a więc pośrednio i nasz – nie obchodzi).

Tymczasem lepszym podejściem byłoby założenie, że zainteresowanie kolejnych prezydentów USA bezpieczeństwem

Europy to swego rodzaju polityczny bonus: on może się pojawić, ale nie musi. Gdy jest, należy robić z niego użytek. Gdy go nie ma, trzeba po prostu być gotowym do samodzielnego działania.

W końcu NATO to chyba nie tylko najlepszy znany nam z historii sojusz polityczno-wojskowy, ale też instytucja, która jak żadna zna się na organizacji wsparcia wojskowego. Jego europeizacja – rozumiana jako polisa bezpieczeństwa na wypadek zmian strategii czy polityki Waszyngtonu – jest omawiana od końca lat 90. XX w.

Unia Europejska ma z kolei ogromne możliwości organizacji politycznej kontynentu – i nie musi się to koniecznie wiązać tylko z polityką jej rozszerzenia. Ułatwiłoby to współpracę z Wielką Brytanią i dało silne wsparcie dla Ukrainy, zanim – i jeśli – będzie ona gotowa do wejścia w europejskie struktury.

Nowa równowaga

Po wyborach w Polsce, wyborach do euro-parlamentu, po zwycięstwie Partii Pracy i pospolitym ruszeniu we Francji, które odebrało zwycięstwo Marine Le Pen, polityka europejska jest dziś w momencie szukania nowej równowagi.

Wielka Brytania nie wróci do Unii, ale – jeśli dostanie ofertę – może swoją polityką pozytywnie wpłynąć na współpracę polityczną i gospodarczą. A wzrost gospodarczy jest dziś warunkiem stabilizacji politycznej na Wyspach. Francja będzie zapewne ofiarą nierozstrzygniętych wyborów, z których nie wyłonił się żaden oczywisty układ rządzący. Ale może być to czas koncentracji polityki Paryża w Unii na tym, co realne (a nie na wielkich ideach zmiany traktatów).

Pozostaje nam jeszcze czekać na polityczny powrót do gry Hiszpanii i Włoch, bez których nie sposób myśleć o silnej Unii, no i wybory w Niemczech jesienią 2025 r. Ich wynik może być dla Europy ważniejszy niż listopadowy werdykt za Atlantykiem. Problemy Niemiec mają bowiem tę przykrą cechę, że stają się automatycznie problemem Europy – w stopniu większym niż problemy innych państw.

Mimo ogromnych wyzwań wewnętrznych (ale który kontynent i jakie państwa ich nie mają?), Europa wydaje się wciąż zaskakująco odporna i na skutki własnych błędów (jak zignorowanie kosztów Zielonego Ładu →

→ i otwarcie drzwi chińskim produktom), i na skutki tego, na co nie ma wpływu – jak agresja Rosji przeciw Ukrainie czy skok cen surowców.

Przewagi europejskiego modelu

Tak, model społeczno-gospodarczy w Europie także przeżywa kryzys (znów: gdzie na świecie nie przeżywa?). Ale jego słabości nie zagrażają wewnętrznej stabilności – jak ma to dziś miejsce w Stanach czy Chinach – lecz zmuszają rządy do zmiany priorytetów.

Kolejne wybory pokazują, że systemy polityczne państw europejskich są też bardziej elastyczne i pozwalają na szybsze – co nie znaczy oczywiście, że szybkie – reagowanie na zmiany oczekiwań społecznych, niż ma to miejsce w systemie amerykańskim.

Wybory do Parlamentu Europejskiego są barometrem nastrojów politycznych i wyznaczają trendy, ale nie są w stanie delegitymizować wyborów krajowych. Te zaś – jak pokazują Francja i Wielka Brytania, a wcześniej Włochy – niosą realną zmianę polityczną, nawet gdy jest ona niepełna lub w części blokowana.

W Europie tzw. mainstream nieustannie ewoluuje (choć spór polityczny fakt ten skutecznie maskuje), a polityczne centrum jest nie tylko większe niż gdziekolwiek na świecie, ale przede wszystkim – ono istnieje.

Na własnych nogach

Lęk Europy, aby stanąć oko w oko ze światem, nie mając już Ameryki za plecami, odzwierciedla zatem bardziej nasz stan umysłu niż diagnozę faktycznego stanu rzeczy.

Dlatego werdykt amerykańskich wyborców powinniśmy przyjąć nie tylko z pokorą, ale i spokojem. Z tych skrajnych emocji, które targają Stanami, ukształtuje się nowy – lub odnowiony – zestaw zasad i reguł.

I wiele wskazuje na to, że jeśli Ameryka pójdzie swoją drogą, to Europa będzie w końcu musiała po prostu stanąć na własnych nogach. A potem zrobić pierwszy krok do przodu.

© OLAF OSICA

Tekst ukończono w piątek 19 lipca.

Nowy, lepszy Trump

JAN SMOLEŃSKI

Ma zostać nie tylko wiceprezydentem USA, ale także następcą Donalda Trumpa w roli lidera Republikanów. Kim jest 39-letni James David Vance? Co oznacza jego nominacja?

JAK TO SIĘ STAŁO, ŻE JAMES DAVID VANCE, autor powszechnie cenionej książki „Elegia dla bidoków” – czasami gorzkiej, ale niepozbawionej przecież ciepła i czułości opowieści o zmaganiach biednej rodziny z południowo-zachodniej części stanu Ohio, która ukazała się osiem lat temu i uczyniła autora sławnym – został kandydatem na wiceprezenta USA u boku człowieka, który znany jest z tego, że czerpie przyjemność z upokarzania innych?

To efekt mieszanki ponadprzeciętnej inteligencji, determinacji, politycznego wyczucia, a także instrumentalnego traktowania swojego wizerunku.

Z Ohio w świat

Pochodzenie J.D. Vance’a przepowiadało mu życiową porażkę. Urodził się w biednej rodzinie w Middleton, zniszczonym przez dezindustrializację miasteczku w Ohio. Jego matka borykała się z uzależnieniami, więc wychowywała go babcia. Pomimo nieprzychylnego życiowego startu skończył liceum i po maturze zaciągnął się do piechoty morskiej, z którą wysłano go do Iraku. Po służbie wojskowej, w ciągu dwóch lat ukończył czteroletnie studia licencjackie na Ohio State University i dostał się na studia prawnicze na Yale, jednym z najbardziej prestiżowych uniwersytetów na świecie. Na studiach poznał swoją przyszłą żonę Ushe, która wspierała go w późniejszych przedsięwzięciach.

Po studiach próbował szczęścia w Waszyngtonie. Tam przez pewien czas pracował dla konserwatywnego republikańskiego senatora Johna Cronyna. W końcu trafił do San Francisco, gdzie – jako inwestor kapitału podwyższonego ryzyka – stał się członkiem elity Doliny Krzemowej.

W oczach miejskich elit

Ogólnokrajową rozpoznawalność przyniosła Vance’owi właśnie wspomniana

„Elegia dla bidoków”. Opisuje w niej swoje dzieciństwo w Middleton, które upadek przemysłu ciężkiego w USA dosłownie przeorał, lecz którego źródło problemów, zdaniem autora, leży gdzie indziej. A mianowicie: w bierności, lenistwie i obwinianiu za swoją sytuację wszystkich naokoło, poza samymi sobą.

Tę kulturę, pisze Vance, biedni biali przyprowadzili ze sobą z Appalachów, skąd też przybyli do Ohio w latach 40. XX w. jego dziadkowie. Książka, jak mówi jej podtytuł („A Memoir of a Family and Culture in Crisis”), miała być w swoim założeniu pamiętnikiem rodziny i kultury w kryzysie – i za taką uznali ją mieszkańcy wielkich miast, którzy w 2016 r. desperacko szukali wyjaśnienia dla zwycięstwa Trumpa. W oczach miejskich elit Vance urosł do rangi autorytetu, gdy idzie o interpretowanie problemów białej klasy pracującej.

Mieszkańcy Appalachów, których kulturę rzekomo książka opisuje, mieli jednak do niej stosunek w najlepszym wypadku chłodny. Przekonałem się o tym, gdy kilka lat temu podróżując po amerykańskiej prowincji i opisując ją w reportażach dla „Tygodnika” – trafiłem do księgarni w niewielkim miasteczku w Wirginii Zachodniej. Dość szybko poinformowano mnie tam, że Vance uogólnia, upraszcza i powiela nieprzychylnie stereotypy.

Bo wbrew temu, co Vance pisze w swojej książce, Appalache nie są wcale tak homogeniczne. Czarni Amerykanie zawsze stanowili tam niewielką, lecz istotną część siły roboczej, zwłaszcza na terenach, na których wydobywano węgiel.

Nie są też tak zaściankowe ani niechętnie wobec obcych. Gdy w 2019 r. podróżowałem po Wirginii Zachodniej, sercu Appalachów, za każdym razem na stwierdzenie, iż jestem z Polski, odpowiedź było: „Welcome to America!”.

Wypowiedziane ze szczerem i szerokim uśmiechem. Obchody Dnia Niepodległości 4 lipca w niewielkim Ripley faktycznie były małomiasteczkowe, ale publiczność oglądająca trwającą długie godziny paradę była bardzo różnorodna.

Prawda książki, prawda regionu

Najwięcej niechęci do Vance'a wśród ludzi z Appalachów budziła chyba jednak główna teza książki, która głosi, że za swoją biedę sami są odpowiedzialni, bo kultywują normy kulturowe, które uniemożliwiają im wyrwanie się z zamkniętego kręgu ubóstwa. Vance twierdzi, że ta kultura powstała przez dekady izolacji i od początku kolonizacji regionu była skażona biernością.

Diagnoza ta nie wytrzymuje jednak konfrontacji z rzeczywistością. Choć strajk szwaczek w Nowym Jorku w 1857 r. czy masakra robotników na placu Haymarket w Chicago w 1886 r. są dużo bardziej znane, to największe powstanie robotników – bitwa o Blair Mountain w 1921 r., podczas której na górników rząd federalny wysłał regularne wojsko uzbrojone w karabiny maszynowe – miało miejsce właśnie w Appalachach.

Tym, co odróżnia Appalachy od wielu innych miejsc w USA – przede wszystkim od Pasa Rdzy (tak nazywa się zdeindustrializowane obszary), gdzie Vance się wychował, albo od San Francisco, w którym mieszkał jakiś czas – jest to, iż wyprodukowane w tym regionie bogactwo nigdy tam nie zostawało.

Obecny Pas Rdzy bogacił się wraz z rosnącą gospodarką przemysłową, bo zyskujące na przemyśle firmy miały tam swoje siedziby. Z kolei Appalachy bardziej przypominały wewnętrzną kolonię, której zasoby naturalne i ludzkie były eksploatowane przez ludzi, którzy wygodne życie wiedli gdzie indziej i nie czuli wobec tego regionu żadnych zobowiązań. Ten element historii gospo-

darczej Vance w swojej książce całkowicie pomija.

Klucz do fenomenu Trumpa?

Mieszkańcy Appalachów, których spotkałem, nie kryli również poirytowania faktem, że – w przeciwieństwie do wrzenia, jakie można odnieść po przeczytaniu „Elegii” – Vance ani się w Appalachach nie urodził, ani w nich nie wychował.

Niezależnie od tego, co nim kierowało, gdy decydował się na napisanie tej książki (wiemy, że do jej napisania namówiła go jego profesorka prawa i popularna pisarka Amy Chua, za którą obecnie ciągną się skandale), jej publikacja okazała się pijarowym majstersztykiem.

Ani fakt, że Vance sam nie był „bido-kiem”, ani to, że z Appalachami nie ma nic wspólnego, a w swoim opisie źródeł niedostatku nie wyszedł poza oklepane formułki o „kulturze biedy”, ani wreszcie konstatacja, że stawiana przez niego diagnoza nie jest nadto odkrywczą czy specjalnie trafna – wszystko to nie przeszkodziło mu w zbudowaniu wizerunku autorytetu kogoś, kto tłumaczy problemy biednej białej klasy pracującej.

Liberalny dziennik „New York Times” uznał wręcz „Elegię” za jedną z książek wyjaśniających fenomen dojścia Trumpa do władzy (dla tych, którzy nie czytali: ta książka nic tu nie wyjaśnia).

Konserwatywny zwolennik reform

W czasach, gdy dzięki swojej książce Vance zyskiwał ogólnokrajową popularność, był – gdy idzie o jego poglądy ideowe – współczującym konserwatywnym reformistą. W prywatnej wiadomości do byłego współlokatora pisał, że „jesteśmy, niezależnie od tego, czy to się nam podoba, czy nie, partią gorzej zarabiających, gorzej wykształconych białych”, którym należy coś zaoferować.

Nie był w tym przekonaniu odosobniony, choć wciąż należał do mniejszości. Mimo że Republikanie niechętnie myśleli o odejściu od reaganowskiego fundamentalizmu rynkowego, to przynajmniej od 2013 r. zdawali sobie sprawę, iż zmiany w partyjnej strategii – w tym otwarcie się na problemy gorzej usytuowanych Amerykanów – są konieczne.

W pierwszej połowie 2016 r., w reakcji na niespodziewane sukcesy Trumpa w republikańskich prawyborach, liderzy partii łagodźli swoją neoliberalną retorykę. W marcu Paul Ryan, ówczesny spiker Izby Reprezentantów i twarz tego podejścia, kajał się, mówiąc, że dzielenie Amerykanów na tych, którzy wytworzą bogactwo (ang. *makers*), i na tych, którzy tylko by brali zasiłki (ang. *takers*), było błędem. Z kolei we wrześniu tego samego roku w kwartalniku „Claremont Review of Books” – uchodzącym za głos konserwatywnych intelektualistów – pojawił się napisany pod pseudonimem tekst, którego autor chwalił Trumpa za jego troskę o los białej klasy pracującej.

Nawrócony na trumpizm...

Vance nie krył się też wtedy ze swoją niechęcią wobec Trumpa. W prywatnej wiadomości nazwał przyszłego prezydenta „Hitlerem Ameryki”, a przy innej okazji – już publicznie – określił go jako „opium dla ludu”, zaś głosujących na niego wyzwał od idiotów.

Tutaj zdecydowanie podzielał główną linię Partii Republikańskiej – i podobnie jak ona, miał z czasem doświadczyć „nawrócenia” na trumpizm.

JIM WATSON / AFP / EAST NEWS

J.D. Vance, senator z Ohio i republikański kandydat na wiceprezydenta, na Narodowej Konwencji Republikańskiej w stanie Wisconsin, 17 lipca 2024 r.

→ Przykładów takiej ewolucji wśród Republikańców jest wiele. Senator Lindsey Graham jeszcze w lecie 2016 r. mówił, że jeśli Republikanie nominują Trumpa, zasłużą na porażkę wyborczą (ta prognoza się nie sprawdziła). Niecałe dwa lata później Graham był jednym z najlojalniejszych zwolenników ówczesnego prezydenta, a po przegranych przez Trumpa wyborach w 2020 r. pomagał mu w kwestionowaniu wyników.

Dalej: Elise Stefanik, młoda członkini Izby Reprezentantów, w 2016 r. okazjonalnie krytykowała Trumpa. Jednak potem, podczas procedury impeachmentu, zaciekle go broniła. W tym roku, kiedy jej nazwisko pojawiło się wśród potencjalnych nominatów na kandydata na wiceprezydenta, swoje odpowiedzi na pytania dziennikarzy zaczynała już od słów: „Tak jak powiedział Donald Trump...”.

...oraz na katolicyzm

Gdy więc w 2022 r. Vance postanowił ubiegać się o fotel senatora z Ohio, był już oddanym trumpistą. W czasie tej kampanii przyjął też chrzest i został katolikiem. „National Catholic Reporter”, głos progresywnych katolików, wspominało mu, że na łono Kościoła przyjął go – w roli świadka chrztu – Rod Dreher, konserwatywny publicysta chrześcijański, który twierdził m.in., że za seksualnym wykorzystywaniem dzieci przez duchownych stoi homoseksualne lobby. Dziś Dreher mieszka na Węgrzech i szeptuje konserwatywnemu think tankowi Danube Institute, finansowanemu przez Viktora Orbána.

W tym samym tekście autor „National Catholic Reporter” twierdził też, że w wielu kluczowych kwestiach – od imigracji po zmiany klimatyczne – Vance w swych poglądach odstaje od katolickiej nauki społecznej. Wypomniął mu również, że obiecywał wysiłek na rzecz rozwiązania problemu epidemii opioidów w Ohio, ale jedynym wątpliwym sukcesem powołanej do tego celu organizacji pozarządowej było zatrudnienie konsultanta politycznego, który potem znalazł pracę w sztabie Vance’a.

Tekst w „National Catholic Reporter” kończył się stwierdzeniem, że być może ówczesny kandydat na senatora przyjął chrzest, ale wciąż czeka go prawdziwe nawrócenie.

Na prawym skrzydle prawicy

Poglądy Vance’a w wielu kwestiach pokrywają się z postulatami i hasłami prawego skrzydła Partii Republikańskiej. Czy może raczej: prawego odłamu tego prawego skrzydła.

Inteligencja, determinacja, polityczne wycucie,

a także instrumentalne traktowanie swojego wizerunku: to istota sukcesu J.D. Vance’a.

Podczas kampanii w 2022 r. twierdził, że „polityka otwartych granic Joego Bidena zabija mieszkańców Ohio” (to było jedno z jego haseł wyborczych). Jest zwolennikiem drakońskich przepisów antyaborcyjnych, w tym zakazu przerywania ciąży, nawet gdy jest ona rezultatem gwałtu czy kazirodztwa (wyjątkiem ma być zagrożenie życia matki). Jako senator głosował przeciw ustawie, która miała chronić dostęp do procedury in vitro.

Vance ostro sprzeciwia się wspieraniu Ukrainy w jej wojnie obronnej z Rosją. Wbrew faktom, ale zgodnie z trumpistowską linią głosi też, że wybory z 2020 r. zostały sfałszowane i twierdzi, że retoryka byłego prezydenta nie miała nic wspólnego z wydarzeniami z 6 stycznia 2021 r., gdy tłum zwolenników Trumpa zaatakował waszyngtoński Kapitol. Mówi też, że zmiany klimatyczne nie stanowią zagrożenia.

Jest też wrogiem koncernów technologicznych (tzw. Big Techów): popiera rozbicie Google’a i karanie platform takich jak Facebook za to, co postrzega jako ograniczanie wolności słowa. Jeśli ktoś jednak liczy na ograniczenie przerośniętego obecnie wpływu korporacji cyfrowych na gospodarkę USA, a przez to i na politykę, może się zawieść. Niechęć Vance’a do sektora technologicznego wydaje się selektywna i skupia się na tych firmach, które jego zdaniem poddają się lewicowemu nurtowi tzw. wokeizmu.

Bo za jego nominacją na kandydata na wiceprezydenta lobbowali m.in. tacy giganci Big Techu, jak Peter Theil (Vance pracował dla niego przed wejściem do po-

lityki) czy Elon Musk. Obaj to technolibertarianie, znani ze wspierania prawicowych inicjatyw.

Jest to element szerszej niechęci Vance’a do elit, ale tylko tych liberalnych. Jest np. zwolennikiem opodatkowania uniwersyteckich funduszy – zdaniem trumpistów uniwersytety to wylęgarnia „lewactwa”.

Kandydat w roku 2028?

Nie wiadomo, czy ewentualna obecność Vance’a w Białym Domu przełożyłaby się na faktyczną poprawę sytuacji biednych białych pracowników fizycznych. W odróżnieniu od wielu Republikanów, Vance nie jest zwolennikiem demon-tażu Obamacare, reformy ubezpieczeń społecznych Baracka Obamy, na której skorzystali biedniejsi. W przeciwieństwie do większości Republikanów, nie jest też otwartym przeciwnikiem związków zawodowych, natomiast sprzeciwia się regulacjom, które ułatwiłyby zakładanie związków.

Postulowane przez niego ograniczenie imigracji – zwłaszcza pracowników niewykwalifikowanych – może przełożyć się na wzrost zatrudnienia obywateli USA, ale niekonieczne na wzrost ich płac. Z kolei protekcyjizm, który Vance gorąco popiera, może przełożyć się na istotny wzrost cen nawet najbardziej podstawowych produktów.

Krótko mówiąc – bardzo wiele z tych pomysłów Vance’a, choć sprzecznych przecież z panującą do niedawna ortodoksją Partii Republikańskiej, pasuje do trumpistowskiego populizmu. Dodaje też temu politycznemu nurtowi sporo młodości, inteligencji, a także autentyczność, której wychowany w luksusie Trump nie miał.

Vance może też pomóc Trumpowi zwiększyć jego poparcie w niepewnych stanach północnej części Środkowego Zachodu. Ze swoimi radykalnymi poglądami na kwestie społeczne będzie również sygnałem dla skrajnej prawicy, że niedawne łagodzenie retoryki przez Trumpa – choćby w sprawie aborcji – ma charakter taktyczny, i że były prezydent o tej części swojej bazy nie zapomniał.

No i dzięki tej nominacji wiemy też, jaką twarz będzie miała Partia Republikańska w przyszłości. Bo jako wiceprezydent, James David Vance ma bardzo duże szanse, aby zostać kandydatem na prezydenta USA w 2028 r. © JAN SMOLEŃSKI



ARTUR WIDAK / NUR PHOTO / GETTY IMAGES

Mer Paryża Anne Hidalgo przed kąpielą w Sekwanie na dowód, że rzeka w stolicy Francji jest czysta i można na niej bezpiecznie organizować zawody w sportach wodnych podczas igrzysk olimpijskich. Paryż, 17 lipca 2024 r.

Czym nas zadziwią igrzyska

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Za sprawą efektownej ceremonii jej otwarcia olimpiada w Paryżu ma być nie tylko świętem sportu, lecz także sztuki. A dla Francuzów również oddechem po miesiącu politycznej walki w błocie.

BRAWO, LÉON! BRAWO, LÉON!” – SZPALER widzów zgromadzony po obu stronach ulicy, w pobliżu stacji metra Bir-Hakeim i tuż obok wieży Eiffla, dopinguje drobną postać.

Starszy mężczyzna z siwymi włosami odkłada swoją laseczkę i chwyta oburącz pochodnię olimpijską. Przechodzi z nią około stu metrów – aż do miejsca upamiętniającego tzw. oblawę Vél d'Hiv z lipca 1942 r., czyli największe we Francji masowe aresztowania Żydów, przepro-

wadzone przez kolaborującą z Niemcami policję francuską.

To była jedna z najbardziej przejmujących scen na trasie ognia olimpijskiego, który w połowie lipca – po przemierzeniu całej Francji – dotarł do Paryża. A ów członek sztafety niosącej płomień olimpijski nazywa się Léon Lewkowicz i ma 94 lata. Dziś jest Francuzem, ale urodził się w Łodzi.

Z powodu wątej kiedyś sylwetki Niemcy skazali go na śmierć w komorze

gazowej w obozie Auschwitz-Birkenau. Cudem ocalony, miał – jak relacjonuje dziennik „Le Parisien” – przyrzec sobie: „Jeśli przeżyję obóz, to nikt już nie będzie mną pomiatał”.

Gdy wyszedł z Auschwitz, ważył mniej niż 40 kg. Po przyjeździe do Francji Léon zaczął intensywnie trenować podnoszenie ciężarów. Do tego stopnia, że – jak pisze „Le Parisien” – w 1955 r. został mistrzem kraju w tej dyscyplinie. Jednocześnie pracował jako specjalista od oprawiania drogowych kamieni. Z tego tytułu odznaczono go nawet dyplomem Najlepszego Robotnika Francji.

Przedsmak emocji

Historia Lewkowicza przypomina o sensie sportu: pokonywaniu własnych ograniczeń. A sam rytuał wędrowki ognia olimpijskiego – o łączeniu się wokół sportowej rywalizacji ludzi o najróżniejszych przekonaniach i drogach życiowych.

15 lipca płomień olimpijski przemierzył całą stolicę Francji – niesiony w sumie przez sztafetę 340 osób – nie omijając szczytu wieży Eiffla, na który turyści →

→ nie mają wstępu. Wielki znicz przed paryskim ratuszem rozpalili były znany tenista i piosenkarz Yannick Noah.

Dzień wcześniej, z okazji święta narodowego 14 lipca, pod tą słynną „Żelazną Damą” odbył się coroczny spektakularny pokaz fajerwerków. Tym razem szczególnie imponujący – zużyto w nim ponad tysiąc dronów pirotechnicznych – z motywami nawiązującymi do nadchodzących igrzysk.

Rozmach tych iluminacji ma być przedsmakiem show, który czeka Francję i świat w piątek 26 lipca. Ceremonia otwarcia olimpiady zapowiadana jest jako najbardziej widowiskowa w historii. Po raz pierwszy uroczystość ma się odbyć poza stadionem – w parady dwustu statków na Sekwanie, od mostu Austerlitz po wieżę Eiffla wezmą udział delegacje wszystkich krajów. Kulminacją rzecznej defilady będzie spektakl na Trocadero, naprzeciw wieży Eiffla.

Wzdłuż całej Sekwany zainstalowano w ostatnich dniach rzędy trybun – ceremonię będzie oglądać z nich na żywo ok. 320 tys. widzów.

Historia Francji w obrazach

Szczegóły rzecznej parady i spektaklu na Trocadero są trzymane w ścisłej tajemnicy. Według telewizji TF1 dokładny przebieg całej ceremonii zna nie więcej niż dziesięć osób.

Mimo obaw związanych z zagrożeniem terrorystycznym władze są przekonane, że nie będzie konieczny „plan B”. Od tygodni na Sekwanie odbywają się testy techniczne przed rzeczną paradą, a próbę generalną przed „godziną zero” przewidziano na 24 lipca.

Jak ujawnił dziennik „Le Monde”, nad częścią artystyczną czuwa reżyser teatralny i operowy Thomas Jolly oraz nadzorująca taneczny show choreografka Maud Le Pladec. W sumie w spektaklu mają wziąć udział trzy tysiące tancerzy i akrobatów z Francji i zagranicy. Próby do widowiska odbywają się od wielu miesięcy w jednej z hal w Saint-Denis pod Paryżem.

Organizatorzy informują, że gigantyczny spektakl ma opowiadać historię Francji jako kraju *diversité*, czyli różnorodności kulturowej i etnicznej. Jeden z „obrazów” widowiska ma być hołdem dla katedry Notre-Dame, która po pożarze pięć lat temu ma ponownie przyjąć wiernych i turystów w grudniu tego roku.

Baza wojskowa pod Paryżem

Podczas igrzysk olimpijskich (potrwają one do 8 sierpnia) i następnie paraolimpijskich (28 sierpnia – 8 września) stolica Francji spodziewa się ok. 15 mln kibiców. Z powodu zagrożenia atakiem terrorystycznym władze przewidziały wyjątkowe środki bezpieczeństwa.

Uczestników ceremonii otwarcia w Paryżu ma więc chronić co najmniej 45 tys. policjantów, żandarmów i żołnierzy, w tym komandosi z elitarnych jednostek terrorystycznych, a także dziesięć statków i cztery helikoptery ze snajperami na pokładach.

Jak pisze dziennik „Le Figaro”, na czas olimpiady i paraolimpiady na wschodnich peryferiach stolicy – w okolicach lasu Vincennes – otwarto prowizoryczną bazę wojskową. Może pomieścić i wyżyć jednorazowo ok. 4 tys. żołnierzy ściągniętych z całej Francji, którzy będą patrolować Paryż w trakcie imprezy.

Przez kilka godzin ceremonii otwarcia Paryż zamknie przestrzeń powietrzną w promieniu 150 km, co oznacza, że w tym czasie żadne samoloty nie będą mogły ani startować z paryskich lotnisk, ani lądować na nich.

W trakcie igrzysk po raz pierwszy we Francji będą testowane na szeroką skalę (na ulicach, dworcach, środkach komunikacji itd.) kamery wykorzystujące sztuczną inteligencję – choć bez automatycznej funkcji identyfikowania twarzy. To eksperyment, który wywołuje protesty ze strony licznych francuskich i międzynarodowych organizacji obawiających się nadużywania tych kamer do inwigilacji obywateli.

Przez cały tydzień przed otwarciem igrzysk, od 18 do 26 lipca, paryżanie i tu-

ryści muszą się liczyć z utrudnieniami komunikacyjnymi. Z powodu zabezpieczenia ceremonii niemal całe paryskie wybrzeże Sekwany zamknięto dla pieszych i samochodów – do tej strefy mogą wejść tylko mieszkańcy i osoby wyposażone w cyfrową przepustkę z kodem QR.

Bukiniści się obronili

Strefa bezpieczeństwa objęła także paryskich bukinistów, czyli księgarzy pod chmurką. Setki ich zielonych skrzyń z księgozbiorami, zamontowane na wybrzeżu Sekwany, są od lat jednym z symboli stolicy Francji.

Początkowo paryskie władze, powołując się na względy bezpieczeństwa, nakazały demontaż skrzyń bukinistów na czas igrzysk. W końcu jednak uległy wobec protestów stowarzyszenia tych szczególnych księgarzy (ich postulaty wsparł prezydent Emmanuel Macron). Bukiniści więc pozostaną, choć wielu z nich obawia się, że z powodu wprowadzenia strefy zarezerwowanej dla osób z przepustkami stracą w tym czasie klientów.

Jean-Michel, emerytowany lekarz internista i miłośnik książek, ma od roku swój kramik z książkami blisko ratusza, nieopodal mostu Ludwika Filipa. Mówi, że kocha swoje nowe zajęcie, bo pozwala mu dzielić się swoją pasją z innymi. Często rozmawia z przechodniami, doradza im lektury. – Jako bukinista tworzymy małą wspólnotę, a walka o zachowanie naszych skrzyń jeszcze nas zmobilizowała – mówi Jean-Michel „Tygodnikowi”.

Bukinista aż czterokrotnie musiał starać się o uzyskanie cyfrowej przepustki na czas igrzysk, bo, jak mówi, strona internetowa źle działała. Będzie pracować do ceremonii otwarcia, ale zaraz potem wyjedzie z Paryża na wakacje. Wielu jego kolegów po fachu będzie w tym czasie nadal handlować.

Jean-Michel nie interesuje się igrzyskami, według niego kręcą się one dziś za bardzo wokół pieniędzy i sponsorów. – W obecnym świecie nie szanuje się pokojowej idei olimpijskiej, która miała łączyć wszystkie narody. Także w czasie igrzysk ludzie zabijają się w różnych zakątkach świata. Trudno mi to zaakceptować – ubolewa. Sam nie lubi oglądać zawodów. – Wolę sam przebiec sto metrów w 10 minut, niż żeby ktoś inny przebiegł

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



STEPHANIE LECOCQ / REUTERS / FORUM

Sztafeta z olimpijskim ogniem przebiega przez najbardziej znane miejsca w Paryżu.
Na zdjęciu: przed kabaretem Moulin Rouge, 15 lipca 2024 r.

za mnie ten dystans w 10 sekund – tłumaczy, cytując satyryka François Cavanne.

Igrzyska nie dla bezdomnych

We Francji nie brak także innych, którzy – z rozmaitych powodów – krytykują organizację igrzysk. Do tej grupy należy koalicja organizacji występująca pod wspólną nazwą „Rewers Medalu”. Do inicjatywy należy łącznie około stu podmiotów. W tym także duże stowarzyszenia, które zajmują się opieką na osobami bezdomnymi i imigrantami – jak Lekarze Świata, francuski Caritas, Emmaüs France.

Ludzie z „Rewersu Medalu” alarmują od miesięcy, że igrzyska są dla władz okazją do „socjalnych czystek” w mieście, czyli usunięcia z ulic miasta osób społecznie wykluczonych. O tych akcjach donoszą szeroko media – od lewicowych po prawicowe – oraz miejscy radni, w tym David Belliard, wicemer Paryża z ramienia Zielonych.

Według wspomnianych organizacji w ciągu roku przed olimpiadą wywieziono z Paryża ponad 12 tys. osób żyjących na co dzień na ulicy, kierując ich do mniejszych miast poza regionem stołecznym. Stowarzyszenia twierdzą, że organizowano te transporty przymusowo, pod nadzorem policji, i że na ogół nie zapewniano bezdomnym dachu nad głową na prowincji.

I tak, w swoim raporcie z 3 czerwca „Rewers Medalu” oskarżył władze państwa o – tu cytując za dziennikiem „L’Humanité” – „nękanie, wydalenie i inwigilowanie ludności uznanej przez decydentów za niepożądaną z miejsc, w któ-

rych odbędą się igrzyska olimpijskie”. Pod tym względem Paryż miał pójść w ślady innych stolic, np. Pekinu czy Rio de Janeiro, które przed igrzyskami też masowo „oczyszczały” ulice z bezdomnych.

Nie negując, że takie akcje miały miejsce, władze bronią się, że nie miały one nic wspólnego z igrzyskami. Nie przekonuje to krytyków. Natomiast dla jednych i drugich jest chyba jasne, że nie ma tu mowy o rozwiązaniu problemu bezdomności w Paryżu. I że zaraz po igrzyskach wiele osób bez dachu nad głową wróci z prowincji do stolicy.

Sekwana już do kąpieli

Wśród pozytywnych wiadomości z ostatnich dni wybija się jedna: wbrew wcześniejszym obawom Sekwana nadaje się już do kąpieli. Przynajmniej tak zapewniają wszem wobec rząd i władze miasta. Zatem będą mogły odbyć się w jej wodach zaplanowane zawody olimpijskie – tzw. maraton pływacki (10 km) oraz część triathlonu i paratriathlonu.

Aby przekonać wszystkich sceptyków, w ostatnich dniach w wodach Sekwany zanurzyli się Amélie Oudéa-Castéra (ministra sportu i igrzysk, odpowiedzialna w rządzie za imprezę, sama była tenisistka) oraz pani mer Paryża Anne Hidalgo wraz z przewodniczącym komitetu organizacyjnego Tonym Estanguetem.

Natomiast wbrew swoim zapowiedziom (w każdym razie – do momentu ukończenia tego tekstu), w rzece nie pluskał się dotąd prezydent Macron. W końcu lutego, dopytywany przez me-

dia, obiecał on, iż „niedługo wykąpie się w Sekwanie” (choć nie podał daty).

Na oczyszczanie rzeki wydano w ostatnich latach 1,4 mld euro. Jednak jeszcze na początku kwietnia wyniki testów wskazały, że w Sekwanie występują w dużym stężeniu bakterie pałeczki okrężnicy (*Escherichia coli*), pochodzenia fekalnego.

Władze miejskie mają nadzieję, że w przyszłym roku nad rzeką otwarte zostaną trzy miejskie plaże. W takim wypadku można będzie mówić o epokowej zmianie, bo ostatni raz w Paryżu wolno się było kąpać w Sekwanie sto lat temu.

Rządu i igrzysk!

Igrzyska już za chwilę, a wyborcy wciąż wypatrują niecierpliwie nowego rządu. Parafrazując starożytną maksymę „chleba i igrzysk!”, Francuzi mogliby zawołać: „rządu i igrzysk!”. Ale chyba większość z nich marzy już tylko o wakacjach po ostatnich tygodniach bardzo ostrej walki wyborczej.

Wszystko wskazuje na to, że podczas olimpiady u sterów władzy pozostanie rząd Gabriela Attala. Co prawda prezydent Macron w końcu przyjął 17 lipca jego dymisję, ale wciąż nie wiadomo, kto go zastąpi. Według prawa zdymisjonowany rząd może kierować tylko sprawami bieżącymi, ale nie wolno mu podejmować nowych projektów.

Tymczasem od wyborów parlamentarnych, których druga tura miała miejsce 7 lipca, zwycięska – choć niemająca większości – koalicja partii lewicowych prowadzi negocjacje w sprawie znalezienia kandydata lub kandydatki na premiera. Jak do tej pory bez skutku. Co więcej, jak donoszą media, z powodu konfliktu między dwiema głównymi partiami tworzącymi Nowy Front Ludowy – skrajnie lewicową Francją Nieujarzmioną LFI oraz umiarkowaną lewicową Partią Socjalistyczną – ten naprędce stworzony sojusz jest na krawędzi rozpadu.

Czy ceremonia otwarcia i wyczyny sportowców pozwolą nam zapomnieć choć na chwilę o codzienności?

W każdym razie, 26 lipca na trybunie honorowej, obok wielu VIP-ów, ma zasiąść także, na specjalne zaproszenie prezydenta, Léon Lewkowicz. Jego obecność przywraca sens organizowania igrzysk – mimo ich całej komercyjnej otoczki.

© SZYMON ŁUCYK

Caracas wstrzymuje oddech

DOMA MATEJKO

Wielu Wenezuelczyków ma nadzieję, że 28 lipca będzie ostatnim dniem lewicowej dyktatury. Chyba że Nicolás Maduro nie uzna wyniku prezydenckich wyborów.

JEDNO ZDANIE OPUBLIKOWANE NA INSTAGRAMIE wystarczyło, by całe miasto napełniło się nadzieją. Ubrani na biało, Wenezuelczycy wyszli na ulicę, żeby wyrazić swoje poparcie dla jedynej osoby, która jest w stanie obalić trwającą od 25 lat socjalistyczną dyktaturę.

María Corina Machado jest dla wielu ikoną i ostatnią deską ratunku. Śledzą jej kanały w mediach społecznościowych, gdzie Machado relacjonuje kampanię wyborczą opozycji. Z Instagrama i WhatsAppa dowiadują się, dokąd i kiedy przyjedzie.

Bo dla państwowych mediów istnieje tylko jeden kandydat: Nicolás Maduro. Wciąż ten sam, który przejął władzę w 2013 r., po śmierci Hugo Cháveza, twórcy tutejszej lewicowej dyktatury. Jesli teraz wygra, będzie to jego trzecia kadencja – i pewnie nie ostatnia. Choć wielu wierzy, że tym razem będzie inaczej. – Wstrzymujemy oddech i czekamy, co stanie się 28 lipca – mówi „Tygodnikowi” Mercedes Petracco, mieszkanka miasta San Cristóbal.

CZAS KRYZYSU | W powietrzu czuć podniecenie i euforię. „Wygramy. Zmiana już jest faktem” – krzyczy María Corina Machado, a otaczające ją tłumy skandują jej imię. Ci, którym udało się dopchać bliżej, wyciągają ręce. Ktoś wiesza na jej szyi różaniec. Gdy pojawia się w mieście, uczniowie wybiegają ze szkół, a sprzedawcy zamykają sklepy.

Jeszcze sześć lat temu, w czasie poprzedniej kampanii prezydenckiej, taka scena nie miałaby miejsca. Między rokiem 2016 a 2019 kraj był w środku największego kryzysu. Inflacja sięgała nawet 2 milionów procent rocznie. Wenezuelska waluta, bolivar, była tak zde-

waluowana, że niektórzy z banknotów składali origami, by choć przez chwilę myśleć o czymś innym niż głód. Bo brakowało wszystkiego. Przejeżdżając rano nawet przez Chacao, jedną z zamożniejszych dzielnic stołecznego Caracas, można było zobaczyć dobrze ubranych ludzi, jak desperacko szukają jedzenia w koszach na śmieci.

Za miesięczną wypłatę pracownicy państwowych przedsiębiorstw mogli sobie pozwolić na zmywacz do paznokci – jedną z niewielu rzeczy, które dało się kupić. Wydrukowanie biletu na metro kosztowało państwo więcej niż jego wartość, więc mieszkańcy Caracas za odgórnym przyzwoleniem jeździli na gapę. Za darmo był też prąd, o ile był, bo przerwy w dostawach trwały czasem kilka dni.

W tamtym czasie 3 miliony Wenezuelczyków emigrowały. Zamożniejsi do USA lub Hiszpanii, ubożsi na piechotę do sąsiedniej Kolumbii.

TU I TERAZ | Ci, co zostali, podjęli próbę sprzeciwu. W 2017 r. mieszkańcy stolicy wyszli na ulice. W starciach z policją i wojskiem zginęło wtedy ok. 150 osób.

Rok później po tych wydarzeniach miały miejsce wybory prezydenckie – tyle że ich wynik był z góry przesądzony. Maduro przekonywał na swoich wiecach, że winny kryzysu jest „zachodni imperializm”, a zwłaszcza USA, które nałożyły na jego rząd sankcje i w konsekwencji Wenezuela nie miała rynku zbytu dla swojej ropy.

Jeszcze w 1998 r. jej produkcja osiągnęła tu najwyższy poziom i wynosiła ponad 3 miliony baryłek dziennie. Wydobycie zaczęło spadać za rządów Cháveza. W 2019 r. wydobywano zaledwie około miliona baryłek dziennie.

Paradoks polegał na tym, że Wenezuela, która ma największe złoża ropy na świecie, nie miała pieniędzy na jej wydobycie i rafinację. Jedynie Chiny i Rosja przyjmowały jej surowiec w zamian za ratowanie wenezuelskiej gospodarki. Bywało, że obywatele czekali przez kilka dni w kolejkach do stacji benzynowych, bo brakowało na nich paliwa.

Winą za tak fatalną sytuację opozycja obarcza lata niegospodarności i korupcji, gdy brakowało inwestycji i planów rozwoju. Kraj trwał w nieustannym tu i teraz.

ODBICIE | Dziś jest inaczej. W czerwcu, dzięki zwiększeniu przez rząd podaży amerykańskich dolarów, miesięczna inflacja spadła do jednego procenta – to najniższy poziom od 12 lat. Po okresie hiperinflacji prezydent Maduro przyjął strategię łączącą surowe ograniczenia fiskalne z umożliwieniem swobodnego obrotu dolarem amerykańskim.

Gospodarcze odbicie od dna to jednak w największym stopniu zasługa samych obywateli, którzy nieoficjalnie, powoli, zaczęli zamieniać zdevaluowane bolivary na dolary USA, które przysyłają im rodziny będące na emigracji. W ostatnich trzech latach 4 mln ludzi (mniej więcej jedna szósta społeczeństwa) znacząco polepszyły swój poziom życia dzięki własnej kreatywności. Wśród nich dominują drobni sprzedawcy – nawet słodczy, zapalek, długopisów itd., czyli wszystkiego, co można sprzedać za dolara lub dwa.

Coraz częściej słyszy się, że wracają ci, którzy wzbogacili się za granicą. Przestępczość maleje. Jeszcze kilka lat temu Caracas było w czołówce najbardziej niebezpieczniejszych miast świata. Ci, którzy mieli pieniądze, chowali je w butach lub bieliznie. Napaści z bronią w ręku były codziennością, wraz z zachodem słońca ulice pustoszały.

Wenezuelczycy twierdzą, że poprawa stanu bezpieczeństwa jest odczuwalna. – Ci, co kiedyś napadali, są na emigracji, głównie w Peru i Ekwadorze – uważa Mercedes Petracco.

Również dostępność produktów uległa poprawie. Oczywiście jeśli ma się dolary.

PRZEPAŚĆ | Mercedes chce podzielić się swoją frustracją. Przez lata dawała sobie radę. – Dłużej nie dam rady – mówi, gdy rozmawiamy poprzez komunikator.



ARIANA CUBILLOS / AP / EAST NEWS

Najważniejsza postać wenezuelskiej opozycji María Corina Machado (z prawej) została wykluczona z kandydowania w wyborach prezydenckich. Na wiecu w mieście Valencia wspiera więc teraz kandydaturę Edmunda Gonzáleza. 13 lipca 2024 r.

Co z tego, że jest trochę lepiej, skoro – mówi Mercedes – istnieje przepaść między biedakami a tymi, którzy żyją dzięki pieniądзом od rodzin z zagranicy. Albo z własnych interesów, często szemranych.

W fatalnej sytuacji są pracownicy instytucji państwowych. Jak nauczyciele: ich pensja to ok. 300 boliwarów miesięcznie, równowartość 10 dolarów USA. Starcza na dwie paczki jajek i na autobus, choć tylko w jedną stronę.

– Biedny i tak pozostaje biednym – mówi Mercedes, która mieszka w San Cristóbal. To stolica stanu Táchira, tuż przy granicy z Kolumbią. W jej mieście wszystkie płatności odbywają się w peso kolumbijskim. Dzięki temu jest taniej, a na półkach stoją praktycznie tylko kolumbijskie produkty. To daje pozorne uczucie ulgi, bo do normalności jest daleko.

Mercedes mówi, że nadal musi czekać w kolejce po paliwo. Tyle że nie czeka już dniami i nocami przed stacją – dziś każdy losuje swój numer w kolejce. – Jestem w grupie na WhatsAppie, dostaję wiadomość, gdy zjawi się mój numer – opowiada.

Sytuacja z prądem nie uległa poprawie. Jest przez trzy godziny, przez kolejne trzy już go brak. Różnica jest taka, że kiedyś był za darmo, a teraz się płaci i za prąd, i za to, że go nie ma.

Mercedes przyznaje, że dostępność leków jest lepsza. Choć nadal, idąc do publicznego szpitala, trzeba samemu zała-

twić rękawiczki, igły, znieczulenie. – Ludzie się przyzwyczaili, ja nie.

OPOZYCJA | Mercedes wyznaje, że nawet jeśli 28 lipca jakimś cudem wygra opozycja, ona i tak wyjedzie z kraju. Boi się, że wtedy będzie zamach stanu, że Maduro, nawet jeśli przegra przy urnie, to i tak wygra, siłowo. Że nic i nikt nie stanie mu na przeszkodzie.

Przedsmakiem tego były manipulacje rządu Maduro, które miały maksymalnie utrudnić aktywność wyborczą swych rywali.

W 2023 r. opozycja zorganizowała po swojej stronie prawybory. Wygrała je 56-letnia María Corina Machado, uzyskując aż 93 proc. głosów przy 65 proc. frekwencji. Jest bardziej niż pewne, że w starciu z Maduro wygrałaby. I że przywróciłyby demokrację.

Problem w tym, że Machado nie mogła zarejestrować się jako kandydatka. System informatyczny skonstruowano tak, by nie mógł się w nim zarejestrować nikt z opozycji. W akcie desperacji opozycyjna koalicja – występująca jako Zjednoczona Platforma Opozycji – wystawiła Corinę Yoris, profesorkę filozofii. María Corina Machado ją poparła. Ale i tu pojawiły się problemy z zarejestrowaniem.

Ostatecznie kandydatem opozycji jest Edmundo González Urrutia, były ambasador w Argentynie i Algierii, wcześniej nieznanymi na scenie politycznej. To z jego wizerunkiem María Corina Machado prze-

mierzała teraz kraj, przekonując, aby głos, który wielu chętnie oddałoby na nią, przekazali Gonzálezowi. Ale czy to wystarczy?

ARSENAL | Po 25 latach dyktatury Wenezuelczycy wypatrują zmian. Jednak prezydent-dyktator ma w rękawie wiele asów.

Jeden – to zastraszanie. Na kilka miesięcy przed wyborami miała miejsce fala aresztowań opozycjonistów. Sześciu schroniło się w ambasadzie Argentyny. Rząd prawicowego prezydenta Javiera Milei nadał im status uchodźców politycznych.

Kolejny as Maduro to celowo zamieszanie, jakie towarzyszy wyborom. Wiele osób nie wie, jak głosować ani gdzie. Siedziby komisji wyborczych zmieniano, a informacje o nowych miejscach są zawile – tak, aby utrudnić, a nie ułatwić oddanie głosu.

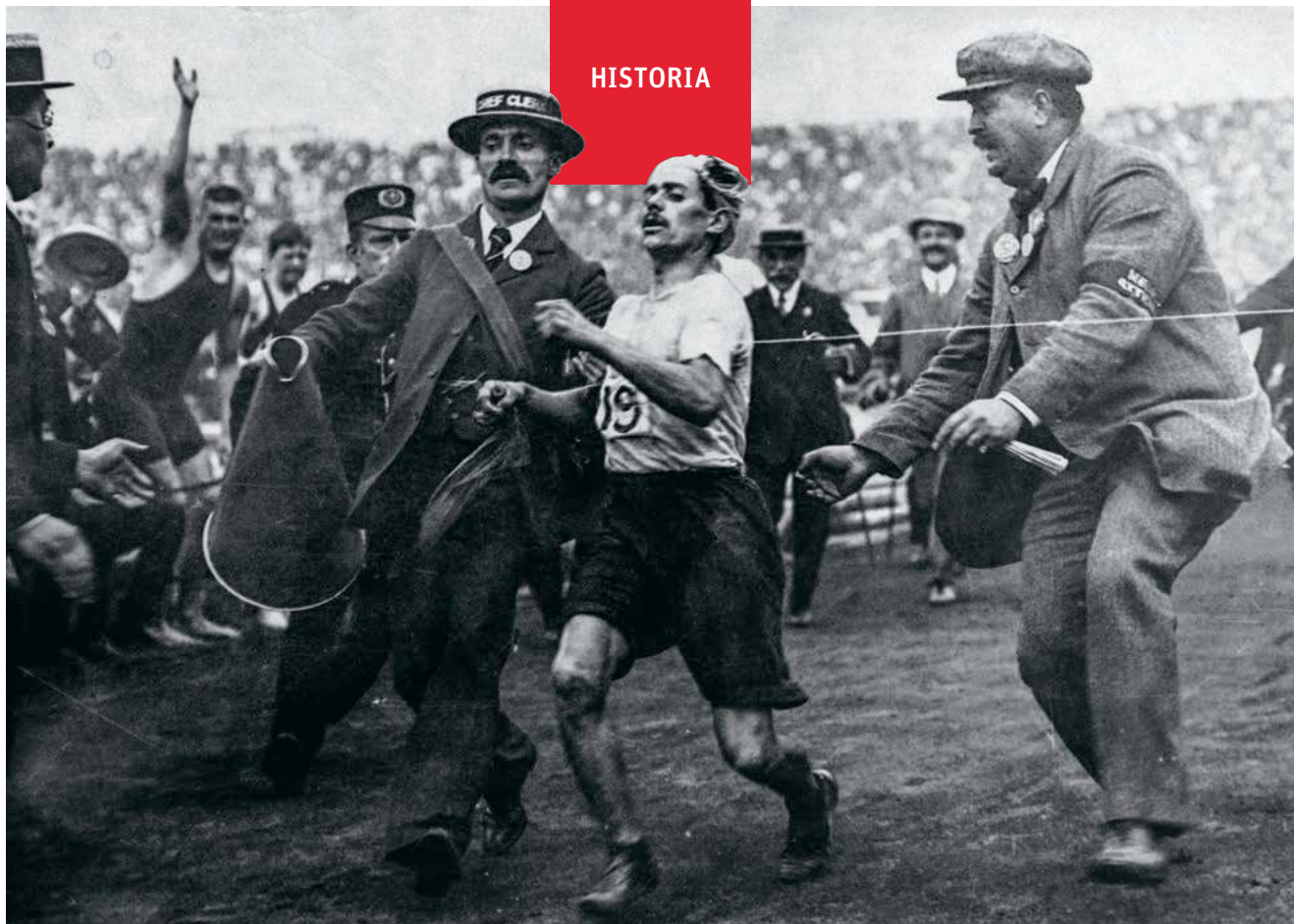
Następna manipulacja: głosować nie może ogromna większość emigrantów. Choć za granicami kraju przebywa od 3,5 do 5,5 mln Wenezuelczyków (jedna czwarta z 21 mln uprawnionych), tylko 69 tys. z nich udało się zarejestrować, tak aby mogli wziąć udział w wyborach.

Dalej: karta do głosowania jest bardzo skomplikowana. Widnieją na niej głównie zdjęcia Maduro, który jest kandydatem wystawionym przez aż 12 partii. Efekt jest taki, że od prawej strony do lewej widzimy twarze Maduro, a zdjęcia pozostałych kandydatów na dole karty. Oprócz Gonzáleza to wszystko figuranci – ich obecność ma dać pozór demokracji. Jak w Rosji Putina.

PARADA | Wreszcie: nie tylko Mercedes Petracco obawia się, że jeśli 28 lipca wygra kandydat opozycji, Maduro dokona zamachu stanu.

Wprawdzie uważa się, że Maduro nie ma poparcia wśród Gwardii Narodowej – to jeden z głównych rodzajów sił zbrojnych, odpowiednik obrony terytorialnej (tyle że tutaj bardzo rozbudowany i stąd istotny dla systemu władzy) – ale i na to znalazłby sposób. W trakcie parady, która odbyła się w Caracas 5 lipca, z okazji Dnia Niepodległości, uwagę przyciągała obecność żołnierzy rosyjskich. Przybyli do kraju na zaproszenie Maduro, który jest zdeklarowanym sojusznikiem Putina.

Wenezuelczycy boją się, że Rosjanie mogą wesprzeć reżim, jeśli Maduro zechce użyć siły, by zachować władzę. ©



HULTON-DEUTSCH COLLECTION / CORBIS / GETTY IMAGES

MARATOŃCZYK Z CARPI

Olimpijski bieg z 24 lipca 1908 r. uważany jest za najbardziej dramatyczny w historii nowożytnego maratonu. Jego bohaterem został samorodny talent rodem z Włoch – choć go zdyskwalifikowano.

EDWARD AUGUSTYN

CUKIERNIA PANA MELLEGO BYŁA SŁYŃNA nie tylko w małym Carpi, ale i w sąsiednich miastach, jak Reggio Emilia czy Modena. Spływały stamtąd zamówienia na torty i ciasta z kandyzowanymi owocami, uchodzące za najlepsze w całym regionie. Przed witryną w podcieniach rynku, tuż obok katedry, kolejka ustawiała się od rana. Piekarze zaczynali pracę trzy godziny przed świtem.

Dorando Pietri zaczął tu terminować, gdy miał 14 lat. Ponieważ rodzice nie mogli utrzymać siebie i czworga dzieci

z pracy na roli, w 1899 r. przenieśli się do miasta, gdzie łatwiej było zarobić. Chłopak palił w piecu, nosił worki z mąką i dostarczał zamówienia do domów.

Dziewięć lat później, gdy stał się już sławny na cały świat, mieszkańcy Carpi mieli z dumą wspominać początki jego kariery.

Bieg z ciastkami

Biegać lubił zawsze. Już jako dziecko, pytany, co chciałby robić w życiu, odpowiadał: „Cokolwiek, byleby było związane z bieganiem”.

Dwa wydarzenia zaważyły na jego przyszłości. Pierwsze, gdy pan Melli, właściciel cukierni, zlecił mu nadanie pilnej przesyłki do Reggio, zapominając, że poczta już nie pracuje. Dorando postanowił sam dostarczyć list. Pobiegł. Z Carpi do Reggio jest 25 km w jedną stronę. Do cukierni wrócił po czterech godzinach, ale signor Melli się nie złościł. Chłopiec trafił pod opiekę lokalnego trenera z Towarzystwa Gimnastycznego „Patria”.

Drugi raz dał się poznać podczas zawodów na 3 km, organizowanych w miasteczku. Nie brał w nich udziału – był

Dorando Pietri, podtrzymywany przez dyrektora wyścigu Jacka Andrew (z tubą) i lekarza Michaela Bulgera, przekracza linię mety olimpijskiego maratonu w Londynie, 24 lipca 1908 r.

w pracy, roznosił zamówienia – ale chciał zobaczyć słynnego na cały kraj Periclego Pagliniego i zapytać go, czy z biegania da się wyżywić rodzinę.

Z paczką ciastek pod pachą dogonił mistrza na drugim kilometrze, zostawiając w tyle innych biegaczy. Dalej do mety biegł z nim ramię w ramię, zagadując go. Zwrócił na siebie uwagę przedstawicieli Włoskiej Federacji Lekkiej Atletyki.

Wkrótce nie miał sobie równych na średnich i długich dystansach. W 1905 r. zajął drugie miejsce w zawodach w Bolonii. Rok później wygrał międzynarodowy bieg na 30 km (na metę dotarł z 6-minutową przewagą nad kolejnym zawodnikiem). W 1907 r. zdobył kwalifikację do igrzysk olimpijskich, wygrywając maraton z czasem 2 godziny 38 minut – o 20 minut lepszym od rekordu Louisa Spyrydiona z 1896 r.

Bieg ku czci

Gdy baron Pierre de Coubertine organizował pierwsze igrzyska w Atenach, jego przyjaciel Michel Bréal, francuski filolog, podrzucił mu pomysł, by sportową imprezę zakończyć biegiem, który upamiętni wyczyn Filippidesa. Ten grecki żołnierz pobiegł w 490 r. p.n.e. z Maratonu do Aten z nowiną o zwycięstwie nad Persami. Przyjęto, że legendarny posłaniec pokonał 40 km (choć równie dobrze mogła to być odległość o kilka kilometrów krótsza). Tej wersji trzymano się przez kolejne lata. Choć nie ortodoksyjnie – dystans maratonów wahał się od 40 km do ponad 41 km.

Na pierwszych igrzyskach w 1896 r. bieg maratoński okazał się wydarzeniem najbardziej wyczekiwanym przez kibiców, głównie Greków. Nie tylko ze względu na narodową symbolikę, ale też ich dominację na tym morderczym dla zwykłego śmiertelnika dystansie. Na starcie stanęło 17 śmiałków (w tym 14 Greków), do mety dotarło 9 (8 Greków i Węgier Gyula Kellner; zajął trzecie miejsce). Zwycięzcą został wspomniany Louis Spyrydion (z czasem 2:58:50).

Warto dodać, że wśród zgłoszonych zawodników była kobieta, Stamata Rewiti z Grecji, jednak nie pozwolono jej na

udział, wymawiając się uchybieniami formalnymi (następnego dnia Rewiti przebiegła cały dystans samotnie, by zdemontować swój sprzeciw).

Kobiety dopuszczono do olimpijskiego maratonu dopiero w 1984 r., choć wcześniej od wielu lat brały udział w zawodach rozgrywanych poza systemem olimpijskim. Najsłynniejszą bojowniczką o prawo do biegu stała się Violet Piercy, która w 1926 r. stanęła na starcie maratonu londyńskiego w męskim przebraniu i dotarła do mety (w czasie 3:40:22), mimo prób usunięcia jej z trasy przez sędziów.

Dziwny dystans

Igrzyska w 1908 r., na które zakwalifikował się Dorando Pietri, były czwartymi z kolei. Miały odbyć się w Rzymie, ale Włochy zrezygnowały z ich organizacji ze względu na trudną sytuację ekonomiczną. Nowy, liberalny rząd Giovanniego Giolittiego zaczynał właśnie proces zmniejszania monstrualnego długu publicznego i uzdrawiania finansów. W dodatku w kwietniu 1906 r. doszło do narodowej tragedii: w wybuchu Wezuwiusza zginęło 216 osób, a ponad 30 tys. straciło dach nad głową. Nikt nie myślał o igrzyskach.

Organizacji podjęli się Anglicy. Do budowy głównej areny – londyńskiego White City Stadium – przystąpili na rok przed imprezą. Na stadionie, obliczonym na 66 tys. widzów, miała odbyć się większość konkurencji. Tam też zaplanowano metę biegu maratońskiego, punkt startu wyznaczając przed wejściem do Zamku w Windsorze. Sygnał do biegu miała dać sportowcom Maria Teck, księżna Walii i późniejsza królowa (żona Jerzego V).

Z tego powodu zdecydowano się wydłużyć trasę do 41,843 km, zaczynając ją wspaniałą, długą na 700 jardów (640 m) aleją królewskiego ogrodu. W ostatniej chwili dystans znów nieco wydłużono. Jedni twierdzili, że stało się tak na życzenie księżnej, która chciała, by jej dzieci z okien pałacu mogły oglądać start. Inni, że powodem była trwająca niemal do otwarcia igrzysk budowa stadionu (biegi próbne kończono na stadionie Wembley). Jeszcze inni, że komisja techniczna zakwestionowała fragmenty trasy, wymuszając zmiany.

Gdy dokonano ostatecznego pomiaru, okazało się, że zawodnicy przebiegną 26 mil i 385 jardów (42 km 195 m).

Cztery butelki lambrusco

22-letni Pietri nie był faworytem. Owszem, miał już na koncie wiele wygranych i osiągał fantastyczne czasy. Ale wśród 55 zawodników, z którymi stanął na starcie w Windsorze, kilku miało lepsze rekordy – jak Tom Longboat, słynny Kanadyjczyk z plemienia Mohawków (czas 2:24:24) albo Amerykanin Thomas Morrissey (2:25:43) i Johnny Hayes (2:26:04), którzy kilka miesięcy wcześniej zajęli dwa pierwsze miejsca w Maratonie Bostońskim.

Do Londynu jechał sam, pociągami, z przesiadkami w Modenie, Mediolanie, Paryżu i Hawrze, gdzie wszedł na statek. Cała podróż zajęła mu cztery dni. Od włoskiej federacji dostał na drogę 100 lirów, które ledwo starczyły na bilety w trzeciej klasie, hotel i wyżywienie. O tym, by towarzyszył mu trener lub ktoś z bliskich, nie było mowy. Do walizki spakował chleb z piekarni pana Mellego, kilo szynki, dwie kiełbasy, suszone owoce, cztery flaszki wina lambrusco i butelkę octu balsamicznego z Modeny.

Sportowcy jak on – amatorzy w pełnym tego słowa znaczeniu – mogli tylko marzyć o ekipie trenerów, medyków czy masażystów, jakimi dysponowali rywale z bogatych krajów.

Wcześniej w swojej czteroletniej karierze Pietri miał kilka razy pecha. Podczas tzw. międzyigrzysk – rozgrywanych w Atenach w 1906 r., gdzie był faworytem – nie ukończył biegu finałowego z powodu problemów żołądkowych. Do maratonu w Gentilly (Francja) w 1907 r. stanął z odbitą piętą i musiał wycofać się po kilku kilometrach. Start w Londynie był więc dla niego wielką niewiadomą.

Chusteczka od słońca

Olimpijski bieg z 24 lipca 1908 r. uznawany jest za najbardziej dramatyczny w całej historii nowożytnego maratonu.

Deszczowe niebo nad Londynem rozchmurzyło się w dniu startu, powietrze było więc wilgotne i rozgrzane, temperatura w cieniu doszła do 26 stopni Celsjusza. Start wyznaczono na godzinę 14.30, gdy słońce najmocniej dawało się we znaki, na co większość zawodników nie była przygotowana – nie mieli nic na głowie i niewiele pili. Pietri, który znał morderczą siłę słońca, założył sobie zawiązaną na cztery węzełki chusteczkę do nosa.

Przed startem zawodnikom podano ciężki lunch, złożony ze steków i jajek. ➔



Królowa Aleksandra wręcza puchar Dorando Pietriemu, Londyn, lipiec 1908 r.

→ Potem, w dwóch punktach żywieniowych na trasie, dostali bulion wołowy, pudding ryżowy, rodzynki, banany, napoje gazowane i mleko (a także wodę kolońską i środki pobudzające na wypadek zapaści).

Wielu sportowców polegało na własnych metodach, o których chętnie opowiadali dziennikarzom. Trener Kanadyjczyków radził swoim zawodnikom, by w trakcie biegu ssali pomarańcze i pili tylko odrobinę wina Mariani. Alex Duncan z Anglii miał przy sobie suszone winogrona i butelkę wody destylowanej. James Baker z Południowej Afryki – butelkę z galaretką cielęcą i cytrynę. Georg Lind z Rosji – herbatę z utartym jajkiem. Johnny Hayes – wodę z Florydy do nawilżania twarzy i brandy do płukania gardła.

Dorando Pietri zabrał gąbkę nasączoną octem balsamicznym. Od czasu do czasu przykładł ją do nosa, pobudzając się tym do wysiłku.

Zdyskwalifikowany

Do mety nie dotarła połowa zawodników, w tym faworyci Morrissey i Longboat, którzy nie dostosowali tempa do warunków. Gdy Longboat wycofał się na 39. kilometrze, stawce przewodził Charles Hefferon z Południowej Afryki z kilkuminutową przewagą nad Pietrim. Ale chwilę później wypił kieliszek szampana, podany mu przez wiwatującego kibica – i osłabł. Pietri wyprzedził go 2,5 km przed metą. Choć sam też biegł resztkami sił. A raczej szedł, ślaniając się – pokonanie ostatnich 500 metrów zajęło mu niemal 10 minut.

Tak czy inaczej, na stadionie Pietri pojawił się pierwszy. Odruchowo skreślił w prawo, przekonany, że – jak zawsze – musi jeszcze pokonać pełne okrążenie.

Jednak tym razem, aby nie wydłużać dodatkowo dystansu, organizatorzy zmienili zasady: zawodnicy mieli od razu kierować się w stronę mety. Tyle że sędziowie informowali ich o tym dopiero w bramie stadionu. Wyczerpany Włoch nie zrozumiał lub nie usłyszał komunikatu. Zawrócono go, półprzytomnego, dopiero po kilkunastu metrach. Wybite z rytmu nogi odmówiły posłuszeństwa. Upadł. Sędziowie pomogli mu wstać. Po kilku metrach znów upadł. Podtrzymywany, a właściwie prowadzony przez lekarza i jednego z sędziów, przekroczył linię mety.

Pół minuty później na White City Stadium zjawili się Hayes, a po nim Hefferon.

Po proteście złożonym przez ekipę USA sędziowie uznali, że Pietri nie ukończył biegu o własnych siłach – został zdyskwalifikowany.

Dorando zawodowiec

Dla blisko 70 tys. widzów, którzy oglądali dramatyczny finisz, to on był moralnym zwycięzcą. Królowa Aleksandra, żona Edwarda VII, ufundowała dla Pietriego puchar, który osobiście wręczyła mu podczas dekoracji zwycięzców. Peany na jego cześć pisali najwięksi dziennikarze, w tym Arthur Conan Doyle. Autor opowieści o Sherlocku Holmesie był zafascynowany jego siłą woli. Niektórzy twierdzili, że to on był sędzią podtrzymującym Pietriego na mecie (w istocie pisarz był na trybunie, jako korespondent „The Daily Mail”).

Gdy Pietri wrócił do Włoch, witano go jak narodowego bohatera – tak potrzebego młodemu i biednemu państwu.

Cztery miesiące po londyńskich igrzyskach Pietri i Hayes zmierzli się znów, startując w gali maratońskiej w Madi-

son Square Garden w Nowym Jorku; sprzedano na nią 20 tys. biletów. Wygrał Włoch, wyprzedzając Amerykanina na przedostatnim z 262 okrążeń.

Łącznie w latach 1908–11 Pietri wziął udział w 46 biegach, wygrywając większość i zarabiając zawrotną sumę 200 tys. lirów z samych nagród (poza tym, jako sportowiec zawodowy, otrzymywał od agenta miesięczną pensję w wysokości 1250 lirów). Rekord życiowy na dystansie maratońskim (2:38:48) ustanowił w Buenos Aires w 1910 r.

Po zakończeniu kariery próbował sił w biznesie, otwierając hotel w Carpi, ale z gorszym skutkiem. Został gorliwym wielbicielem Mussoliniego i wstąpił do faszystowskiej milicji. Po jednej z akcji „czarnych koszul”, w której brał udział (zakończonych zasztytowaniem dwóch młodych działaczy katolickich i ranieniem kilkunastu), wyjechał do San Remo, gdzie otworzył wypożyczalnię samochodów. Historycy uważają, że chciał usunąć się z oczu rodzinom ofiar, choć odpowiedzialność karna mu nie groziła.

Zmarł w 1942 r., w wieku 55 lat, na udar mózgu. Został pochowany, zgodnie ze swą wolą, w czarnej koszuli. Pogrzeb przerosł się w wielką narodową manifestację.

Co nam zostało

Rywalizacja Pietriego z Hayesem zapoczątkowała modę na maratońskie biegi w USA. Do maratonu w Bostonie – istniejącego od 1897 r., a zorganizowanego na fali pierwszych igrzysk olimpijskich – doszły kolejne. W samym Nowym Jorku organizowano je pięć razy w roku. Z czasem maratonomania opłaniała cały świat.

Trwała pamiątką po olimpijskim biegu w Londynie z 1908 r. jest dystans 42 km i 195 metrów – ustalony tam po raz pierwszy i potem przyjęty przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Federacji Lekkoatletycznych (IAAF). Dodajmy, pamiątką bolesną, o czym wie każdy, kto go pokonał. Do dziś zawodnicy – nie tylko amatorzy – złorzeczą na 40. kilometrze na księżną Walii, świadomi, że gdyby nie ona, ich katorga już dobiegłaby końca.

O czym autor tego tekstu (4:36:51) też wielokrotnie się przekonał.

© EDWARD AUGUSTYN

Wybierz swoją prenumeratę

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrca w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel
w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzmy, że świat da się naprawić.**

KOMPUTERY NIE SĄ ZIELONE

Dziewięćdziesiąt procent interakcji z tym, co stoi na naszym biurku, angażuje komputery, o których istnieniu zwykle nie wiemy. Ich wpływ na środowisko nie jest neutralny.

JAREK GRYZ

W SIERPNIU UBIEGŁEGO ROKU w budynku Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie znaleziono ukryte w kanale wentylacyjnym podejrzane urządzenia elektroniczne. Szybko okazało się, że nie była to żadna aparatura szpiegowska, ale dość zwyczajny komputer podłączony do sieci elektrycznej budynku. Zainstalowano go tam, by kraść prąd.

Wszyscy płacimy za bitcoiny

Kiedy w 2008 r. Satoshi Nakamoto opublikował kilkunastonicowy dokument opisujący zasady działania bitcoina, zapowiadało się na rewolucję w finansach czy wręcz całej światowej ekonomii. Zamiast pieniędzy emitowanych i kontrolowanych przez narodowe banki centralne, mieliśmy mieć bezpieczną gotówkę elektroniczną, za którą nie będzie musiała ręczyć żadna instytucja państwowa. Każda transakcja związana z taką kryptowalutą odbywa się bowiem wirtualnie, eliminując całkowicie dodatkowe koszty generowane przez produkcję, przechowywanie i transport tradycyjnych pieniędzy. Oczywiście, żeby ktokolwiek zechciał użyć bitcoina, musi wiedzieć, że przeprowadzona transakcja jest bezpieczna, a więc w szczególności, że nie można jej potem unieważnić.

Genialnym pomysłem twórców bitcoina (bo nie wiadomo, czy ów Nakamoto naprawdę istnieje) było oddanie procesu elektronicznego weryfikowania transak-

cji w ręce zupełnie przypadkowych osób, nazywanych „górnikami” (ang. *miners*). Ich zadaniem jest „wykopać” rozwiązanie pewnego kryptograficznego problemu, które weryfikuje każdą transakcję, a następnie dołącza ją do transakcji już wcześniej zweryfikowanych. Wszystko to odbywa się publicznie i każdy może natychmiast sprawdzić, czy transakcja została uwiarygodniona. Za rozwiązanie zadania „górnika” jest wynagradzany bitcoinami, więc chętnych jest bardzo wielu. Rzecz w tym, że wymaga to ogromnej mocy obliczeniowej komputera i czasu, a w konsekwencji zużycia dużej ilości energii elektrycznej. Komputer-górnik został zainstalowany w NSA właśnie po to, by pobierać ją bezpłatnie.

Kradzież energii elektrycznej czy wręcz wykorzystywanie cudzych komputerów dla zarabiania bitcoinów nie jest oczywiście pomysłem nowym. W 2018 r. policja rosyjska aresztowała kilku naukowców pracujących w tajnym centrum badań jądrowych w Sarowie, którzy próbowali wykorzystać znajdujący się tam superkomputer. Wpadli, bo musieli podłączyć go do internetu – co w instalacjach wojskowych jest niedopuszczalne – a to wywołało alarm systemu bezpieczeństwa. Ci, którzy kopią bitcoiny legalnie, używają w tym celu coraz bardziej wyrafinowanych metod. Budują wielkie klastry komputerów zasilanych specjalistycznymi procesorami i lokują



UTRECHT ROBIN UTRECHT / ABACA / FORUM



je w krajach z tanią energią elektryczną. Szacuje się bowiem, że zweryfikowanie pojedynczej transakcji w sieci bitcoina wymaga takiej ilości energii elektrycznej, jaką zużywa przeciętna amerykańska rodzina przez cały miesiąc. A pamiętać trzeba, że choć tylko zwycięzca wyścigu do weryfikacji jest wynagradzany, to każdą transakcję usiłuje zweryfikować wielu „górników” jednocześnie.

Jest ich taka rzesza, że według szacunków profesora informatyki z Princeton, Arvinda Narayanana, zużycie energii elektrycznej przez całą sieć bitcoina stanowiło 0,6 proc. światowego zużycia energii w 2016 r. i aż 1 proc. w 2018 r. (choć szacunki Międzynarodowej Agencji Energii są tu o połowę niższe). Tylko 40 krajów na świecie ma większe zapotrzebowanie na energię. Dodajmy do tego zużyty sprzęt komputerowy i roczny rachunek bitcoina sięgnie 4 mld dolarów. Te koszty będą niestety rosły, bo co jakiś czas – ściśle zdefiniowany przez algorytm – każdy bitcoin dzielony jest na dwa aż do czasu, kiedy będzie ich 21 mln. Szacuje się, że nastąpi to dopiero w 2140 r. i aż do tego czasu wraz ze wzrostem ilości bitcoinów przybywać będzie transakcji wymagających zweryfikowania, a więc energii do tego potrzebnej. A pamiętać trzeba, że poza bitcoinem jest jeszcze ponad 20 tys. innych kryptowalut, z których wiele używa podobnych algorytmów do weryfikacji transakcji.

Ciemne chmury danych

Ci z nas, których zarabianie kryptowalut nie interesuje, mają zapewne czyste sumienie, bo nie przychodzi im do głowy, że używanie domowych komputerów szkodzi środowisku. Nie emitują one przecież dwutlenku węgla, są coraz bardziej oszczędne w zużyciu energii elektrycznej, a po swej śmierci poddawane są recyklingowi. Rzecz w tym jednak, że 90 proc. interakcji z tym, co stoi na naszym biurku, angażuje komputery, o których istnieniu nie pamiętamy, albo nawet nie wiemy. A ich wpływ na środowisko nie jest już taki neutralny.

Według International Data Corporation, w 2023 r. wygenerowano na świecie 123 zetabajty danych. Żeby unaocznic

Centrum danych Google w Middenmeer w Holandii. Gigant z Mountain View uruchomił je w 2020 r. Koszt inwestycji wyniósł 500 mln euro.

→ skalę tej wielkości, wyobraźmy sobie, że przechowujemy te dane na starodawnych płytach DVD. Jeśli układać je jedna na drugiej, to ich stos rósłby kilometr na sekundę, aż sięgnąłby po roku połowy drogi na Marsa. Te dane muszą być nie tylko bezpiecznie przechowane, ale także łatwo dostępne. Rolę tę spełniają coraz powszechniej centra danych, zwane popularnie chmurą. Niemal wszyscy korzystamy z tego rozwiązania, przechowując zdjęcia w iCloud czy dokumenty w OneDrive. Co ważniejsze, korzysta z niego biznes, oddając w ręce profesjonalnych firm pełną obsługę swoich danych; nie tylko ich przechowywanie, ale także niezawodny i szybki dostęp, trwałość i ochronę. Część czytelników tego artykułu ściągnęła go z serwera, na którym miejsce na swoje teksty wykupił „Tygodnik Powszechny”. Światowe zasoby centrów danych to dziś dziesiątki, jeśli nie setki milionów komputerów rozrzuconych po wszystkich krajach świata.

Aż do niedawna centra danych budowano w oparciu o proste i tanie komputery, połączone w szybką lokalną sieć. Już w 2011 r. oceniano, że centrum obliczeniowe Google, napędzające jego wyszukiwarkę internetową, składało się z około miliona takich komputerów. Przy tak wielkiej liczbie maszyn prawdopodobieństwo wystąpienia usterki w jednej z nich jest ogromne. Jeśli przeciętny komputer psuje się po trzech latach, to spośród miliona codziennie będzie się psuło aż tysiąc. Współczesne centra danych nie mogą sobie pozwolić na utratę jakichkolwiek danych swoich klientów i dlatego każdy przechowywany bit kopiowany jest dla bezpieczeństwa na różnych dyskach co najmniej trzykrotnie. Innymi słowy, jeśli przełożymy 1 GB zdjęć z iPhone'a do iCloud, to zajmą one – jeśli nie stosować kompresji – 3 GB pamięci w chmurze. Na trzech różnych komputerach. Na wszelki wypadek.

Paradoksalnie, globalny koszt przechowywania danych jest bardzo wysoki, bo

jednostkowy koszt jest tak niski. Kiedy w 1956 r. IBM wyprodukował pierwszy komputer z magnetycznym dyskiem o średnicy 60 cm i pojemności 4,4 MB, dzierżał go firmom za 3200 dolarów miesięcznie, co odpowiadałoby dziś cenie 100 mln dolarów za przechowanie 1 GB przez rok. Współcześnie ten sam 1 GB dostajemy od Apple bezpłatnie, wrzucamy więc do iCloud wszystkie zdjęcia hurtem.

Inteligencja opalana węglem

Jaki zatem jest globalny koszt – często beztroskiego przecież – zbierania danych na świecie? Szacunki Międzynarodowej Agencji Energii są szokujące. W 2022 r. zużycie energii elektrycznej przez wszystkie centra danych na świecie wyniosło ok. 300 TWh (czyli 300 terawatogodzin; niektóre niezależne kalkulacje mówią nawet o 500 TWh). Dla porównania, w tym samym roku wyprodukowano w całej Polsce 172 TWh energii. W Irlandii centra danych zużywają już 18 proc. całej energii kraju i tamtejszy urząd regulacji energetyki zawiesił wydawanie kolejnych pozwoleń na ich podłączenia do sieci energetycznej aż do 2028 r. Singapur podjął podobną decyzję już w 2019 r. W jednym tylko hrabstwie północnej Virginii centra danych zajmują aż trzy kilometry kwadratowe powierzchni, co wymagało budowy specjalnej infrastruktury dla ich zasilania.

Nie dalej jak 2 maja szef Dominion, jednej z największych grup energetycznych w USA, przyznał, że właściciele nowo budowanych centrów często żądają przyłączenia ich do sieci energetycznej o mocy kilku gigawatów (GW). Dla porównania: maksymalna moc elektrowni w Bełchatowie – największej w Polsce – to nieco ponad 5 GW.

Niestety, będzie jeszcze gorzej. Amazon i Google planują wydać w przyszłym roku 100 mld dolarów na sprzęt komputerowy, co stanowi niemal jedną czwartą wartości ogromnego przecież rynku amerykańskiego. Te wszystkie maszyny muszą być zasilone, nic więc dziwnego, że w 2030 r. centra danych zużywać będą już 7,5 proc. energii elektrycznej w USA. Choć w rzeczywistości nie będą to już tylko typowe centra danych, ale także specjalistyczne serwery do obsługi aplikacji sztucznej inteligencji. Boom, jaki trwa w tej dziedzinie od dwóch lat, napędza inwestycje w infrastrukturę, bo budowa modeli AI wymaga coraz większej

mocy komputerowej, a to oznacza coraz większe koszty, także energii.

Wytrenowanie systemu Gemini Ultra kosztowało 190 mln dolarów, ale Google nie ujawnia, ile energii przy tym zużyto. Gwałtowny przyrost popytu na energię ze strony IT zaognia problem emisji gazów cieplarnianych – zgodnie z nowym raportem Google ślad węglowy firmy wzrósł w ciągu ostatnich pięciu lat o prawie 50 proc. Wiele wskazuje na to, że dostawcy energii zmuszeni będą ponownie uruchamiać zamykane w ostatnich latach elektrownie opalane węglem i gazem, bo jak trzeźwo zauważył były sekretarz energii USA, czyli odpowiednik naszego ministra energii, Ernest Moniz, „Nie zbudujemy 100 GW odnawialnych źródeł energii w kilka lat”.

Spragnione systemy

Energia elektryczna to niestety nie jedyny środowiskowy koszt obsługi centrów danych. Woda niezbędna jest do chłodzenia procesorów, by zapobiec ich przegrzaniu. Standardowo używa się w tym celu tzw. wież chłodzących, gdzie woda znajduje się prawie w obiegu zamkniętym i tylko częściowo jest odparywana. Efektywność tej metody zależy oczywiście od temperatury otoczenia, a więc w dużej mierze od położenia geograficznego. To z kolei determinowane jest przez lokalizację obsługiwanych klientów, bo ich bliskość minimalizuje czas transmisji danych.

Według profesora Shaoleia Rena z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, który prowadzi badania w tej dziedzinie, w 2022 r. Google zużył do chłodzenia swych centrów danych tyle wody, ile rocznie zużywa jej 2,5 mln ludzi. I znowu, infrastruktura nowych systemów sztucznej inteligencji jest jeszcze bardziej spragniona. W 2027 r. systemy te będą pobierać 6,6 mld ton wody – trzy razy tyle, co zużywa Dania. Profesor Ren szacuje, że samo wytrenowanie GPT-3 wymagało 5,4 mln litrów wody, a każde 10-50 pytań zadanych do ChatGPT wymaga kolejnego pół litra.

Biorąc pod uwagę lawinowy przyrost aplikacji korzystających z GPT, globalne zużycie wody przez te systemy może być dużo większe niż szacunki podane powyżej. Nawet jeśli cała woda wracałaby do środowiska, to pobór takiej ilości będzie stanowił poważną konkurencję dla jej in-



DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA” co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka
w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

nych lokalnych konsumentów. Największy światowy producent półprzewodników – tajwański TSMC – zużywa rocznie 63 mln ton wody. W czasie wielkiej suszy na Tajwanie w 2021 r. nie było dość wody, by starczyło jej i dla rolnictwa, i dla TSMC. Rząd tajwański wprowadził więc zakaz nawadniania 20 proc. powierzchni uprawnych kraju.

Manifest zielonej informatyki

Opinia publiczna jest w większości zupełnie nieświadoma środowiskowych kosztów przemysłu informatycznego. Ale prawdę mówiąc, nieświadomi są ich często sami pracownicy tego przemysłu. Dlatego ważnym wydarzeniem było wystąpienie kilka miesięcy temu, na jednej z flagowych konferencji na temat przetwarzania danych, profesora Gustavo Alonso z ETH w Zurychu, który przedstawił swego rodzaju manifest „zielonej informatyki”.

W budowie systemów komputerowych od lat obowiązywała zasada „nie ma takiego problemu wydajności systemu, którego nie można rozwiązać przez dodawanie nowych maszyn”. Komputery są tanie, więc jeśli dodanie kolejnego nawet minimalnie poprawi skuteczność, to warto to zrobić. W istocie, cała idea centrów danych z tysiącami komputerów połączonych w jeden system to wzorcowe urzeczywistnienie tego hasła. Przypomina to przyłączanie kolejnych lokomotyw do coraz cięższego pociągu towarowego. Każda kolejna przynosi coraz mniejszy efekt, ale liczy się przecież wydajność całego systemu, a nie jego indywidualnych elementów. Czas odwrócić to rozumowanie, apeluje Alonso, i zastanowić się, jak zwiększyć produktywność każdego komputera z osobna po to właśnie, by móc używać ich mniej.

Jest to szczególnie ważne w informatyce, bo ta zdaje się ignorować to, co ekonomiści nazywają efektami zewnętrznymi działalności gospodarczej. Są to skutki uboczne, których konsekwencje ponosi szersze grono odbiorców niezależnie od swojej woli i bez odpowiedniej rekompensaty. Typowymi efektami zewnętrznymi są zanieczyszczenie środowiska, hałas czy emisja gazów cieplarnia-



GORODENKOFF / SHUTTERSTOCK

W 2022 r. Google
**zużył do chłodzenia
swych centrów danych
tyle wody, ile rocznie
zużywa jej 2,5 miliona ludzi.**

Zaś infrastruktura nowych
systemów sztucznej
inteligencji jest jeszcze
bardziej spragniona.

nych. Jest rzeczą zdumiewającą, że wszyscy uważamy za rzecz oczywistą to, iż warto ocieplać domy dla zmniejszenia zużycia energii, czy eliminować plastikowe butelki, by nie trzeba ich było potem utylizować, a jesteśmy ślepi na analogiczne argumenty, kiedy przychodzi do budowania systemów komputerowych. Przemysł IT jest takim samym przemysłem jak każdy inny i powinniśmy oczekiwać od niego podobnej dbałości o środowisko.

Na szczęście Alonso nie wszystkich musi nawracać. Świadomość, że komputery nie są „czystą” technologią, dociera już do wielu użytkowników i konstruktorów systemów komputerowych. W samym Toronto, gdzie znajduje się moja macierzysta uczelnia, działają co najmniej dwa start-upy, Radium i CentML, które oferują usługi optymalizujące działanie centrów danych. Współzałożyciel pierwszego z nich, Vijay Gadeally z MIT, oferuje proste rozwiązanie ograniczające w kontrolowany sposób natężenie prądu dostarczanego do procesorów. Zapobiega to przegrzewaniu się urządzenia i oszczędza energię kosztem znikomej utraty wydajności. CentML optymalizuje zbudowa-

wane już przez klientów modele sztucznej inteligencji dla oszczędności zużycia energii przez nich energii.

Presja gigantów

Takim oddolnym inicjatywom towarzyszą też działania na wielką skalę, podejmowane przez technologicznych gigantów. Dla dalszego rozwoju potrzebują dużo więcej energii, której pozyskiwanie z paliw kopalnych jest społecznie coraz mniej akceptowalne. Dlatego postanowili oni samodzielnie inwestować w produkcję alternatywnych źródeł energii. Microsoft zamierza do 2030 r. zbudować w USA i Europie elektrownie wiatrowe i solarne o mocy 10,5 GW. Google podpisał umowę z firmą Fervo, która w Nowadzie pozyskuje już komercyjnie energię geotermiczną. W maju tego roku Amazon uzyskał zgodę rady miejskiej w Susquehanna w Pensylwanii na budowę centrów danych na powierzchni 800 hektarów. Zaletą tej lokalizacji jest istniejąca tam elektrownia atomowa o mocy 2,5 GW, z którą już wcześniej ten gigant technologiczny zawarł umowę na bezpośredni zakup energii. Jak na absolutnego lidera technologicznego przystało, OpenAI wspólnie z Microsoft zainwestował w niewielki start-up Helion, który obiecuje od 2028 r. dostarczać energię wytworzoną z syntezy jądrowej (jak dotąd nie ma żadnego komercyjnego reaktora termojądrowego).

Na efekty tych działań przyjdzie nam poczekać, ale liderzy firm technologicznych są pełni optymizmu. Microsoft, Apple, Google i Meta obiecują, że do 2030 r. cała ich działalność komercyjna będzie odpowiedzialna za zero emisji dwutlenku węgla (Amazon obiecuje dokonać tego do 2040 r.). Niestety, sama instalacja nowych odnawialnych źródeł energii nie wystarczy. Międzynarodowa Agencja Energii ocenia, że do 2026 r. zapotrzebowanie na energię ze strony centrów danych, aplikacji sztucznej inteligencji i kryptowalut wzrośnie o 400 TWh. Wymaga to zainstalowania co najmniej 45 GW mocy elektrowni (dla porównania, moc wszystkich elektrowni w Polsce to 50 GW). Nawet gdyby to się udało – co się wydaje nieprawdopodobne – to nie rozwiąże to problemu, bo centra danych muszą pracować także wtedy, gdy nie świeci słońce i nie wieje wiatr. Bez węgla i gazu chyba się nie obejdzie.

© JAREK GRZYB

BOMBA WRÓCIŁA

W ciągu najbliższych lat Bomba stanie się centralną figurą zbiorowej wyobraźni. Nadciąga fala filmów, gier, powieści, ale też ruchów artystycznych i społecznych zbudowanych wokół nuklearnych lęków.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

GENERAŁOWIE I ADMIRAŁOWIE W PODziemnych centrach kontroli w Colorado, Nebrasce i Waszyngtonie nie próbują już dłużej zachować kamiennych twarzy. Wielu z nich myśli, a nawet wypowiada szokującą prawdę. Jedną rakietą mogła być błędem systemu. Ale dwie to już nie pomyłka. Doktryna odstraszania zawiodła. Zaczyna się wojna atomowa. Teraz”.

Nowa książka Annie Jacobsen, z której pochodzi powyższy fragment, byłaby tylko kolejną z niezliczonych opowieści o polityce, technologii, długich korytarzach, salach narad i zdenerwowanych facetach, gdyby nie dwie kluczowe różnice.

Po pierwsze, w tym scenariuszu żaden James Bond ani Jack Ryan nie zapobiegnie katastrofie w ostatniej chwili. Tym razem bomby spadną na największe miasta świata. Po drugie, to nie beletrystyka, lecz książka *non fiction*. Autorka jest dziennikarką od lat specjalizującą się w opisywaniu wojskowych procedur, technologii i gier o władzę. „Nuclear War. A scenario”, to rezultat wielu godzin wywiadów i analiz odtajnionych dokumentów, pokazujących przerażającą prawdę o tym, jak wyglądałaby nuklearna apokalipsa i jak

cienka jest linia, po której od osiemdziesięciu lat kroczymy nad przepaścią.

Książka Jacobsen podbiła wyobraźnię Amerykanów, lądując na szczycie listy bestsellerów. Prawa do jej ekranizacji kupił Legendary Pictures, a do reżyserowania przymierzany jest Denis Villeneuve („Diuna”). Jednak sukces Jacobsen to nie wyjątek, a nowa reguła. Wiele wskazuje na to, że globalna popkultura właśnie wchodzi w Trzecią Erę Atomową. Ale za czynniki od początku.

Od początku, aż po...

Zaczął się od Marii Skłodowskiej-Curie. Początkiem Pierwszej Ery Atomowej było odkrycie radu (1898). Kolejne dwie i pół dekady to okres rosnącej fascynacji wszystkim, co promieniotwórcze.

Kulminacją tej fali była przerażająca historia opisana w książce Kate Moore „The Radium Girls. Mroczna historia promiennych kobiet Ameryki”. Tytułowe Radowe Dziewczyny pracowały w fabryce produkującej jeden z najpopularniejszych gaźdzetów Pierwszej Ery Atomowej – zegarki ze wskazówkami pokrytymi radem. Dzięki nowo odkrytej formie promieniowania posiadacze chronometrów

mogli w każdej chwili sprawdzić godzinę w ciemnościach. A dziewczyny z fabryki mogły nabawić się jednego z kilku popularnych nowotworów. Bo Pierwsza Era Atomowa to czas zderzenia między fantazjami o nieograniczonych możliwościach a stopniowo ujawniającą się (i długo cynicznie ukrywaną) mroczną stroną technologii.

Druga Era Atomowa zaczęła się wraz z Projektem Manhattan. To oczywiście era Bomby – przeciwatomowych schronów, propagandy strachu i wyścigu mocarstw – ale i kolejna fala atomowego entuzjazmu. Wiara w tanią i dostępną energię przyniosła rozwój rzeczywistej sieci elektrowni atomowych, ale też niespełnione nigdy fantazje o atomowych samochodach, piekarnikach, a nawet projekty atomowych ogrodów, w których promieniowanie będzie wytwarzać nieznane wcześniej kwiaty albo odmiany warzyw czy zbóż.

Zdarzały się w tej erze momenty lepsze, zdarzały się i takie, gdy świat znajdował się na krawędzi zagłady. Ostatecznie jednak to właśnie Bomba stała się jednym z kluczowych argumentów pchających zwaśnione mocarstwa ku jakiejś formie



MATERIAŁY PRASOWE



Kadr z pierwszego odcinka serialu „Fallout”

porozumienia. Bo z każdą kolejną megatoną trotylu zwiększającą siłę niszczenia stawalo się bardziej jasne to, co Ronald Reagan i Michaił Gorbaczow ogłosili wreszcie podczas wspólnej konferencji w roku 1985: „Wojny atomowej nie da się wygrać”. Doktryna Mutual Assured Destruction (gwarantowanego wzajemnego zniszczenia) była dokładnie tym, co zapowiadała jej wojskowy akronim MAD – szaleństwem, które trzeba było jak najszybciej przerwać.

Aż wreszcie nadszedł rok 1989, który zakończył Drugą Erę Atomową w zbiorowej wyobraźni. Przez następne trzydzieści pięć lat świat fascynował się zupełnie innymi sprawami, lecz przecież Bomba nie zniknęła. Czekala cierpliwie w podziemnych silosach, bazach lotniczych, w łodziach podwodnych i głębinach zbiorowej nieświadomości, czasowo ze-pchnięta na margines popkultury przez inne wizje katastrofy.

Nadciągająca fala

A teraz koniec historii się skończył. Bomba wraca! Oczywiście kryzys klimatyczny stał się w tym czasie fundamentalnym wyzwaniem – pilniejszym niż kie-

dykolwiek dotychczas. A jednak w ostatnich latach katastroficzna wyobraźnia zbiorowa ulega szybkim zmianom. Wraz z napaścią Rosji na Ukrainę, rosnącą pozycją Chin i kolejnymi wyścigami technologicznymi opowieść o nowym „wyczystym pokoju”, w którą tak bardzo chcieliśmy wierzyć po roku 1989, uległa ostatecznemu ośmieszeniu. W roku 2022 Joe Biden ostrzegał Amerykanów, że wizja nuklearnej zagłady jest bliżej niż kiedykolwiek od czasu kryzysu kubańskiego.

Wiele wskazuje na to, że w ciągu najbliższych lat Bomba stanie się centralną figurą zbiorowej wyobraźni. Nadciąga fala filmów, gier, powieści, ale też ruchów artystycznych i społecznych zbudowanych wokół nuklearnych lęków.

„Oppenheimer” w reżyserii Christophera Nolana czy serial na podstawie gry „Fallout” na Amazon Prime to dopiero początek. Bomba ma szansę stać się symbolem wszechobecnym. Postapokaliptyczny nurt w kinie od lat jest na wznoszącej fali. Teraz obok zombie i katastrof naturalnych odzyska kolejny rekwizyt.

Ale estetyka nuklearna rozleje się daleko poza kina. Wyobraźmy sobie powtórzenie atomowej psychozy z czasów zim-

nej wojny, jednak przefiltrowane przez nowe media. Algorytmy Facebooka, YouTube’a czy TikToka będą nam podpowiadać krótkie filmy o skutkach eksplozji, metodach ochrony albo prawdziwych lub zmyślonych planach strategicznych na anihilację całych kontynentów. Jak grzyby wyrosną firmy oferujące wygodne schrony do zakopania w ogródku. Rozkwitnie moda retro (wspomniany „Fallout” to zaledwie przedsmak możliwości). Estetyka zimnowojenna rozgości się w naszych miastach i wnętrzach.

I choć może wszystko to brzmi banalnie i powierzchownie – trochę jak zgadywanie, co będzie najmodniejsze tego lata – to nie powinniśmy nadchodzącej manii zbywać wzruszeniem ramion. Jako kluczowa figura wyobraźni Bomba będzie bowiem wywierać kluczowy wpływ na całkiem rzeczywiste decyzje.

Zegar tyka

Wróćmy do książki Annie Jacobsen. Doskonale ilustruje ona najważniejszą zmianę reguł, jaką powrót Bomby wprowadza do zbiorowej wyobraźni. Fabułę „Nuclear War. A scenario” wyznacza upływ czasu. Nie byłoby w tym nic ➔

→ szczególnego – mnóstwo historii, zwłaszcza tych z gatunku *global conspiracy thrillers*, oznacza kolejne rozdziały datami i godzinami. Tyle że u Jacobsen czas płynie znacznie szybciej niż w jakiegokolwiek znanej mi fikcyjnej historii.

Rozdział pierwszy książki obejmuje pierwsze trzy sekundy (!) od startu rakiet balistycznych, rozdział drugi – kolejne dwie, rozdział trzeci – następną. Nim minie pierwsze pięć minut czasu akcji, będziemy już w jednej czwartej lektury, a większość kluczowych dla losów świata decyzji zostanie już podjęta. Cały pierwszy akt, po którym świat nieodwracalnie pogrąży się w chaosie, obejmuje zaledwie dwadzieścia cztery minuty. Przeczytanie o tym, co się wydarzy, zajmuje więc wielokrotnie więcej niż same wydarzenia!

Nie dziwię się, że książka Jacobsen tak się spodobała w Hollywood. Emocje przy czytaniu są gigantyczne. Ale nie tylko o emocje tu chodzi. Dopiero lektura tej książki uświadomiła mi, jak śmiesznie krótki czas na podjęcie najważniejszych decyzji w historii ludzkości będą mieli dowódcy i – oczywiście – prezydent USA, od którego najwięcej w tym scenariuszu zależy. „To wszystko dzieje się po prostu zbyt szybko – pisze Jacobsen. – Prędkość, z jaką wojna atomowa rozwinie się i będzie eskalowała, niemal gwarantuje, że skończy się nuklearnym holokaustem”.

Co zmienia powrót Bomby? Skala czasowa, w jakiej pracuje wyobraźnia apokaliptyczna, zmienia się ze stuleci czy dekad na sekundy.

Niewiele brakowało!

Jak uwikłaliśmy się w tę pułapkę? Głównym winowajcą jest odziedziczona po Drugiej Erze Atomowej zasada odstraszenia. „Wyborców przekonuje się, że tylko posiadanie olbrzymiego arsenału atomowego pozwoli zniechęcić potencjalnych agresorów” – wyjaśnia Jacobsen. Jeśli więc chcemy pokoju, musimy gotować się do wojny. Tylko posiadanie absurdalnie wielkiego arsenału atomowego, zdol-

Bomba nie zniknęła.

Czekała cierpliwie
w podziemnych silosach,
bazach lotniczych, w łodziach
podwodnych i głębinach
zbiorowej nieświadomości,
czasowo zepchnięta
na margines popkultury przez
inne wizje katastrofy.

nego na jeden rozkaz wymazać z mapy dowolnego przeciwnika, gwarantuje, że nikt nie ośmieli się zaatakować USA, bo oznaczałoby to wzajemną zagładę.

Trzymanie cerbera na cienkiej smyczy oznacza, że gdzieś w tle zawsze funkcjonować będą incydenty typu „niewiele brakowało” (ang. *near miss*). O większości z nich opinia publiczna nigdy się nie dowie. Te, które dotychczas poznaliśmy, przyprowadzają o dreszcz.

W roku 1956 w trakcie kryzysu na Bliskim Wschodzie lecące łabędzie zostały mylnie zidentyfikowane na radarze jako zbliżający się bombowiec, uruchamiając scenariusz gotowości nuklearnej. W tym samym roku Amerykanie zgubili nad Saharą bombowiec przewożący ładunki atomowe, a jeden z ich samolotów wypadł z pasa startowego, uderzając w silos z głowicami.

Jeszcze gorszy był rok 1962. Najpierw strażnicy obsługujący jedną z baz dostrzegli intruza przy płocie i omyłkowo uruchomili niewłaściwy alarm, podrywając w gotowość bojową eskadrę bombowców atomowych. Kilka miesięcy później miała miejsce idiotyczna pomyłka, która omal nie wysłała świata na krawędź zagłady. Na ekranach w centrum radarowym w Moorestown nagle ukazał się wyraźny obraz wystrzelonej z Kuby rakiet atomowej. Tym razem nie było mowy o żadnych łabędziach. Na szczęście nim atak odwetowy na ZSRR został zatwierdzony, ktoś zorientował się, że obraz na ekranie nie jest rzeczywistością, lecz... omyłkowo utworzoną taśmą treningową prezentującą fikcyjny scenariusz radzieckiego ataku.

To tylko wybrane przykłady z listy dziesiątek incydentów, do których przynależeli Amerykanie. W roku 2003 brytyjskie ministerstwo obrony ujawniło ponad 110 tego rodzaju wydarzeń z historii swojego – znacznie skromniejszego przecież – programu atomowego. Aż trudno zgadywać, ile razy świata omal nie anihilowali Rosjanie, zawsze mniej chętni do dzielenia się historiami swoich pomyłek i niepowodzeń.

Co zmieni powrót Bomby? Oprócz przyspieszenia czasu, w społeczeństwie zwiększy się jeszcze poczucie stresu i niepewności – natychmiastowa, całkowita zagłada może się wydarzyć w każdej chwili. Zapewne podniesie to poparcie dla polityków stosujących retorykę porządku i stabilizacji. Może jednak także zwiększyć wyczulenie opinii publicznej na retorykę wojenną i wzmocnić nurty pacyfistyczne, jeśli tylko przekaz pokojowy będą w stanie połączyć z budowaniem poczucia bezpieczeństwa i stabilizacji.

Tu nie chodzi tylko o Bombę!

Mustafa Suleyman to jeden z pionierów prac nad sztuczną inteligencją. Jego książka „Nadchodząca fala” ogromną popularnością cieszy się ostatnio także w Polsce. I choć na pozór opowiada o czymś zupełnie innym – o AI, trochę też o biotechnologii i robotyce – Bomba powraca w niej zaskakująco często.

Książka Suleymana pokazuje, że nawet tam, gdzie nie interesują nas wprost technologie atomowe, Bomba funkcjonuje jako uniwersalna metafora technologii, zwracająca uwagę na trzy jej ważne aspekty.

Po pierwsze – rozwój. Najpierw zwiększenie mocy samej technologii (oraz jej potencjalnych destruktywnych skutków), a potem spadek kosztów i radykalne zwiększenie dostępności. Po drugie, ograniczenie, czyli ewentualna możliwość takiego współdziałania państw, obywateli, naukowców i przedsiębiorstw, żeby świadomie i celowo powstrzymać lub spowolnić rozwój czy dostępność pewnej technologii. Suleyman jest tu pesymistą, ale nawet on przyznaje, że Bomba pozostaje dotychczas jedną z bardzo niewielu technologii, której rozwój i dostępność udało się nieco ograniczyć. Po trzecie, wreszcie, kolejne fale technologiczne wiążą się z wyścigami zbrojeń. I tu



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.

Stuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

książka Suleymana wydaje mi się wyjątkowo interesująca.

Jeśli przyjrzymy się uważnie globalnej retoryce, jaka właśnie kształtuje się wokół sztucznej inteligencji i kilku innych kluczowych technologii przyszłości, to jest to właśnie retoryka zimnowojenna, niemal dosłownie kopiująca podstawowe założenia Drugiej Ery Atomowej. „Wiemy, że AI jest śmiertelnie niebezpieczne, ale musimy je rozwijać, bo inaczej wyprzedzą nas Chińczycy” – słychać w Waszyngtonie i Dolinie Krzemowej, a coraz częściej także w Brukseli.

Co zmieni powrót Bomby? Wróci świadomość wyścigu zbrojeń. Będziemy bardziej skłonni skupiać się na konsekwencjach zbyt małej kontroli niż zbyt wielkiej – scenariusze apokaliptyczne wygają z dystopijnymi.

...chyba że jednak chodzi o Bombę

Jednak lektura „Nadchodzącej fali” i innych popularnych dzieł o AI i technologii w ogóle każe zapytać, czy Bomba nie jest tu przypadkiem czymś więcej niż tylko symbolem. Suleyman wyjaśnia, że każda fala zmieniająca dzieje ludzkości składa się nie z jednego wynalazku, lecz z szeregu współdziałających ze sobą technologii, które wzajemnie zmieniają swoją dostępność i rozszerzają zastosowania.

Jeśli, jak przewiduje Suleyman, rozwój AI, biotechnologii czy robotyki osłabi tradycyjne państwo i pozbawi je środków kontroli oraz monopolu na przemoc, to co to oznacza dla Bomby? Jedną ze wspólnych cech nowych technologii jest wyrównywanie szans między słabymi i silnymi. W pierwszych dniach wojny Ukraińcy byli na przykład w stanie zatrzymać rosyjską inwazję pancerną na Kijów, korzystając z dronów dostępnych dla hobbystów. Ta piękna historia ma jednak mroczny rewers.

Równie skutecznie z nowych technologii korzystać będą terroryści, separatyści, religijni fanatycy, a nawet gangi narkotykowe. Na całym świecie może nas w najbliższym czasie czekać wysyp „państw upadłych” – rozległych terytoriów kontrolowanych przez rywalizujące bandy watazków. Jeśli weźmiemy pod uwagę korupcję, „gubiące się” samoloty oraz Chata GPT podpowiadającego, jak skonstruować bombę w garażu, to wydaje się tylko kwestią czasu, nim któraś z takich

Atomowe ikony



■ **GODZILLA**
– ikona japońskiej popkultury, monstrum powstałe w wyniku

napromieniowania. Cieszy się sympatią widzów na całym świecie od 1954 r. Co ciekawe, w jednych produkcjach Godzilla niesie zagładę ludzkości, w innych znów staje się jej obrońcą, stawiając czoło innym potworom – zupełnie jak sama energia atomowa.



■ **DR. STRANGELOVE**
– grany przez Petera Sellersa tytułowy bohater

filmu Stanleya Kubricka z 1964 r. Po tym jak (nie bez jego udziału) dokonana się atomowa zagłada ludzkości, proponuje, by uratować najzdrowszych i najlepszych genetycznie, budując schrony w kopalniach. Parodia m.in. Wernhera von Brauna i innych niemieckich naukowców, których Amerykanie przygarnęli w ramach Operacji Spinacz.



■ **J. ROBERT OPPENHEIMER**
– postać autentyczna. Amerykański

fizyk, który w czasie wojny stanął na czele Projektu Manhattan. Kierował pracami, które doprowadziły do budowy pierwszych bomb atomowych. W latach pięćdziesiątych padł ofiarą antykomunistycznych czystek w USA. Ostatnio zyskał sławę jako tytułowy bohater (w tej roli Cillian Murphy) biograficznego filmu w reżyserii Christophera Nolana.



■ **VAULT BOY**
– symbol gry RPG *Fallout*. W świecie gry jest

maskotką potężnej firmy Vault-Tec, która w przededniu apokalipsy zarobiła krocie na sprzedaży miejsc w schronach przeciwatomowych. Zawsze szeroko uśmiechnięty i optymistyczny, z charakterystycznym gestem uniesionego kciuka – Vault Boy doskonale ucieleśnia czarny humor i antykorporacyjną ironię, na której zbudowana jest gra.

grup zbuduje własny arsenał atomowy. Co wtedy?

Ostatecznie więc historia się nie powtarza. Trzecia Era Atomowa będzie zapewne inspirować się zimnowojenną estetyką i retoryką, ale czeka nas świat zupełnie inny od tego, gdy cały arsenał atomowy kontrolowały dwa potężne bloki.

Co zmieni powrót Bomby? Świadomość potencjalnej nuklearnej apokalipsy powinna radykalnie zmienić nasze myślenie o każdej innej przełomowej technologii – od AI, przez biotechnologię, aż po robotykę.

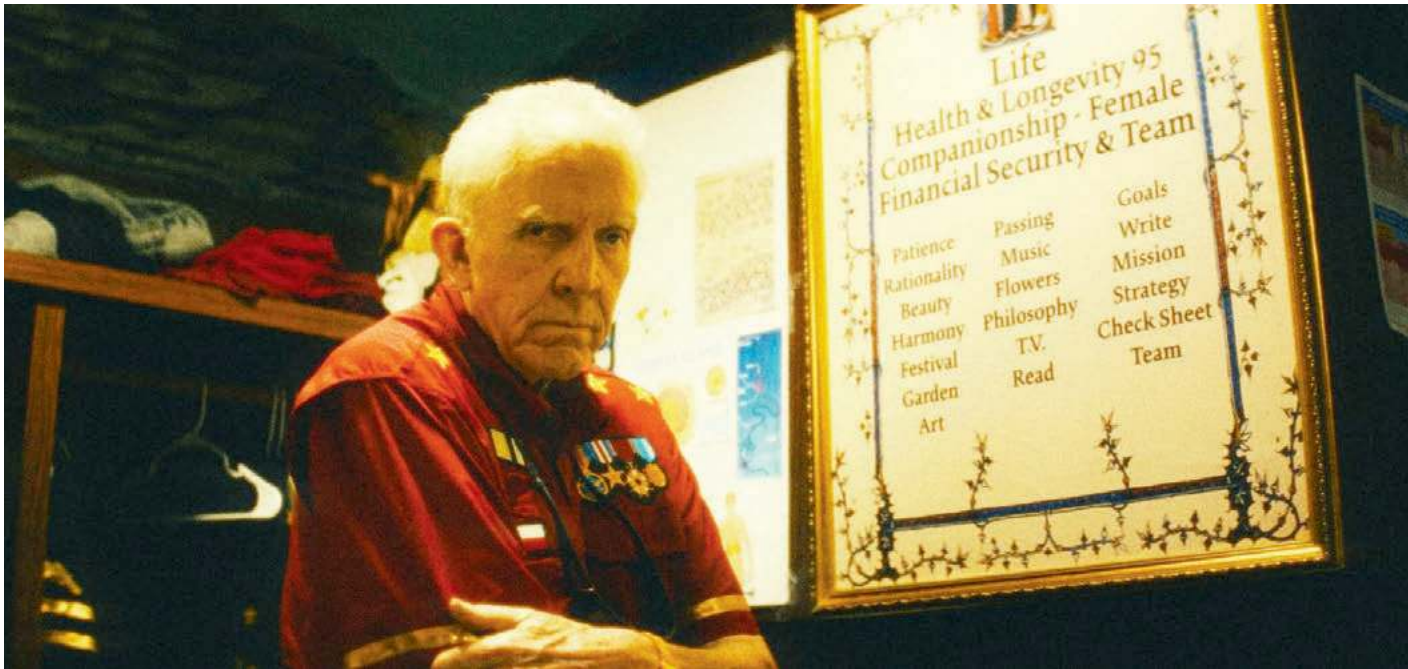
Technologia jako fakt i wyobrażenie

Historia ludzkości jest historią kolejnych kształtujących ją technologii. Strzemiona, żagle, obróbka żelaza, silnik parowy, fabryczna taśma montażowa... Każde z tych przełomowych rozwiązań otwiera nowe możliwości wytwarzania dóbr, zwiększa prędkość lub zasięg transportu ludzi (zwykle uzbrojonych), towarów i informacji. Technologie takie jak pismo, druk, radio albo internet wyznaczają granice naszego spojrzenia, a nierzadko także naszej empatii. Rewolucje technologiczne rozsadzają stare formy społeczne i cementują nowe.

A jednak opowiedziana tu historia trzech Epok Atomowych pokazuje wyraźnie, że technologie oddziałują na nas nie tylko jako fakty, lecz również jako wyobrażenia. Fantazje i lęki związane z daną technologią, choćby bardzo dalekie od fizycznej rzeczywistości, tworzą pole grawitacyjne wpływające na percepcję innych technologii. To wyobrażenia kieruje falami społecznych sympatii i zainteresowań badawczych, wyznacza kierunek przepływu grantów i pieniędzy akcjonariuszy. Wyobrażenia decyduje o tym, czy w danej epoce wyżej ceniona będzie rozsądna ostrożność czy odważna innowacja, światowa kooperacja czy wyścig mocarstw, silne państwo czy wolny rynek.

Oby Bomba nigdy nie wybuchła! Jednak nawet jeśli znów o włos unikniemy apokalipsy, bomba atomowa ma szansę w najbliższych latach zdecydować o losach świata, wyznaczając tory, jakimi rozwijać się będą sztuczna inteligencja, robotyka, nanotechnologia czy biotechnologia. To w cieniu Bomby będziemy wybierać kolejne serie, jak i kolejnych prezydentów.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



George Coulam, organizator festiwalu Ren Faire, 2024 r.

Sukcesja, czyli samo życie

JAKUB MAJMUREK

W serialu „Festiwal Renesansu” dramat władzy i wielkiej polityki zostaje pomniejszony do skali krainy Liliputów. Dopiero wtedy ujawnia on swój niedostrzegalny w normalnej skali komizm. I jest to ozdowieńcze.

W OSTATNICH KILKUNASTU LATACH najpopularniejsze seriele podejmowały szekspirowskie tematy walki o władzę, trudnej sukcesji oraz starcia namiętności, jakie wyzwała pojedynek o najwyższe stawki. „Gra o tron” i „Ród smoka” osadzały te motywy w świecie i konwencji fantasy. „Sukcesja” we współczesnej globalnej korporacji medialnej, wzorowanej na imperium Ruperta Murdocha. „House of Cards” w realiach waszyngtońskiej wielkiej polityki.

„Festiwal Renesansu” („Ren Faire”), nowy dokumentalny miniserial platformy Max, w odświeżający sposób sprawdza temat na ziemi. A jednocześnie oferuje widzom podróż do fascynującego mikrokosmosu.

Abdykacja

Serial rozgrywa się wokół Tekszańskiego Festiwalu Renesansu. Wielkiej, corocznej, generującej dziesiątki milionów dolarów przychodu imprezy, której uczestnicy po zakupieniu biletu mogą na kilka dni zanurzyć się w – raczej dość umownej – rekonstrukcji średniowieczno-renesansowej rzeczywistości: obejrzeć inscenizację turnieju rycerskiego albo przedstawienia błaznów i żonglerów w kostiumach jak z XV w.; odwiedzić sklep udający warsztat płatnerski i nabyć replikę zbroi lub miecz; zaopatrzyć się w stroje i biżuterie naśladujące te sprzed kilku wieków; wypić drinka i zjeść steka w lokalu stylizowanym na pub z czasów Tudorów.

Festiwal jest osobistym królestwem George’a Coulama. To on, ponad pół

wieku temu startując od zera, stworzył tę imprezę. A potem zmienił ją w dochodowy biznes i stały element pejzażu Teksasu. George ma jednak ponad 80 lat. I w przeciwieństwie do Joe’go Bidena świadomość, że wskazane byłoby się wycofać. Starszy mężczyzna, który praktycznie całe dorosłe życie poświęcił festiwalowi, chce w końcu mieć czas, by cieszyć się gromadzoną przez całe życie majątkiem. Chciałby np. przed śmiercią przeżyć raz jeszcze wielką namiętność. Liczy, że znajdzie atrakcyjną towarzyszkę życia w wieku „30-50 lat”, być może więcej niż jedną.

Wiadomości o planowanej „abdykacji króla George’a” wywołują wielkie poruszenie, zwłaszcza w grupie najbliższych współpracowników, od lat związanych z Festiwalem. Niektórzy z nich w odejściu szefa widzą szansę na przejęcie interesu, inni zagrożenie dla życia, jakie zbudowali wokół tekszańskiej imprezy.

W tej pierwszej grupie na czoło wysuwa się Louie Migliaccio – „lord kukurydzy”, prowadzący na jarmarku stoisko z popcornem oraz pub. Louie, milenials wkraczający pomału w wiek średni, widzi w sobie wizjonerskiego lidera biznesu. Ciągłe pobudzony przez napoje energetyczne – pochłania je w niemal każdym ujęciu, w jakim pojawia się na ekranie – przywołuje na myśl maklera z filmu o giełdzie lat 80., w stylu „Wall Street” Olivera Stone’a.



Kadr z filmu „Ren Faire”

„Lord kukurydzy” chce poszerzyć ofertę Festiwalu o możliwości, jakie dają technologie immersyjne, zmienić go w dochodową franczyzę zdolną funkcjonować poza sezonem. Rodzina Louiego ma pieniądze, więc młody wizjoner liczy, że z jej pomocą będzie w stanie zebrać kapitał, by spłacić George’a.

Ta perspektywa przeraża człowieka nr 2 w królestwie, głównego menadżera Festiwalu, Jeffreya Baldwina, zdeteminowanego, by nie dopuścić do transakcji i przekonać szefa, że Louie nie będzie godnym następcą. Jeff spędził lata, pracując dla George’a, stopniowo awansował na coraz wyższe stanowiska. W przeciwieństwie do wiecznie pobudzonego Louiego sześćdziesięcioletni menadżer wydaje się zmęczony i ospały.

Być może Jeff nie chce rządów Louiego głównie dlatego, że u boku George’a chciałby spokojnie doczekać emerytury. Z drugiej strony jest oczywiste, że autentycznie kocha Festiwal, wierzy w wizję George’a i pragnie, by impreza pozostała jej wierna.

Miedzy tą dwójką jest jeszcze Darla Smith. Gdy w trójkącie George-Louie-Jeffrey zaczyna coraz bardziej narastać konflikt, kobieta praktycznie przejmując codzienne zarządzanie całym przedsięwzięciem.

Gra o tron

Reżyser serialu, Lance Oppenheim, razem z ekipą towarzyszył Festiwalowi przez ponad dwa lata. Nagrany materiał pokazuje toczące się na zapleczu imprezy walki o władzę, mikrointrygi, starcia odmiennych wizji i ambicji, wzloty i upadki w walce o tron królestwa George’a. Uczestnicy tego sukcesyjnego dramatu traktują swój udział w nim śmiertelnie poważnie.

„Jesteśmy w piątym akcie *Króla Leara*” – z rezygnacją mówi Jeff do pracującej również dla Festiwalu żony w trakcie wieczornej rozmowy w kuchni. „W grze o tron wygrywasz albo umierasz” – deklaruje, nakręcony jak zawsze Louie, tłumacząc do kamery swoją agresywną strategię w negocjacjach z George’em.

Takie deklaracje i przywoływane przez nich odniesienia kulturowe w kontekście stawki, o jaką toczy się walka – dla większości widzów nie do końca poważnej – tworzy oczywiście efekt komiczny. Pojawia się on zresztą w serialu dosyć często.

Przedstawiając dramat władzy i sukcesji w realiach pseudorenesansowej imprezy, twórcy serialu uzyskują podobny efekt jak Jonathan Swift w pierwszej podróży Guliwera, kiedy to wielka polityka początków XVIII w. – z konfliktem angielsko-francuskim na czele – pomniejszona do skali krainy Liliputów ujawnia

swój niedostrzegalny w normalnej skali komizm. Lustro bezlitosnej satyry zmusza czytelnika, by – jak śpiewał Kaczmarek – „widzieć w miniaturce własne ambicje i słabości”.

Prawdziwe łzy

Amerykański reżyser wolny jest jednak od zgorzkniałej mizantropii autora „Podróży Guliwera”. Wielką siłą „Festiwalu Renesansu” jest to, że nie pragnie być satyrą na dziwaków, zabijających się w walce o tron królestwa z kartonu. Produkcja przygląda się bohaterom z empatią, a nawet sympatią dla ich ekscentryzmów. Jakkolwiek komiczny wydawałby się dramat wokół sukcesji króla George’a, towarzyszą mu prawdziwe emocje, w tym prawdziwe łzy.

Widzimy, jak Jeff przeżywa fakt, że w pewnym momencie wypada z łask swojego króla. Popada w autentyczną depresję, nie wie, co dalej zrobić ze swoim życiem. Gdy w końcu zbiera się do kupy, wraca do George’a, prosząc go o pracę na niższym stanowisku niż to, z którego został zwolniony.

George, podobnie jak Logan Roy z „Sukcesji”, jest z jednej strony fenomenem, być może nawet wizjonerem branży, a przy tym tyranem. Nieustannie manipuluje otaczającymi go pracownikami, na przemian obiecując i łamiąc

→ obietnice, bombardując ich pochlebstwami, by za chwilę brutalnie ich upokorzyć. Logan – jak bardzo nie byłby inspirowany biografią Ruperta Murdocha – był jednak postacią fikcyjną. George nie jest, podobnie jak jego podwładni.

Sceń, w których widzimy twarde metody zarządzania George’a czy – nazywając rzecz po imieniu – zwykły mobbing, należą do najbardziej przejmujących w filmie. Dotykamy w nich surowej, emocjonalnej prawdy, jaką trudno znaleźć w innym medium niż filmowy czy telewizyjny dokument.

Oppenheim wykorzystuje niecałe trzy godziny trwania serialu, by przedstawić wielostronny, zniuansowany portret wszystkich kluczowych bohaterów. Najlepiej wychodzi to w przypadku George’a, którego widzimy także jako bardzo samotnego, głęboko nieszczęśliwego człowieka. Po rozstaniu z długoletnią partnerką i zerwaniu relacji z parą najbliższych przyjaciół teksański król renesansu nie ma wokół siebie nikogo bliskiego poza ludźmi, którym płaci pensję.

Festiwal jako metafora

W trakcie seansu zastanawiam się wielokrotnie, czemu mimo ciągłego mobbingu, złamanych obietnic i brutalności „króla George’a” jego „poddani”, nawet wygnani, wracają do festiwalowego królestwa. Po trzech odcinkach zaczynam to rozumieć. Dla Jeffa, Louiego i Darli festiwal jest heterotopia, przestrzenią alternatywną wobec głównego nurtu rzeczywistości, gdzie cechy, za które „normalny świat” raczej karze – marzycielstwo, skłonność do eskapizmu itd. – są pożądane i nagradzane.

Jeff jest niespełnionym aktorem i reżyserem, praca dla Festiwalu jest dla niego jedyną okazją, by łączyć zarabianie pieniędzy ze swoją artystyczną naturą. Pracownicy George’a mówią do kamery o tym, jak Festiwal okazał się dla nich schronieniem, miejscem, do którego mogli uciec od problemów swojej wcześniejszej, w najlepszym wypadku nieciekawej, w najgorszym traumatycznej egzystencji. Gdy George otwiera się i opowiada o trudnym dzieciństwie w mormońskiej rodzinie i wychowaniu przez matkę, która ciągle mówiła mu, jak bardzo jest grzeszny, przymiemy, że królestwo, jakie sobie zbudował, było formą ucieczki od tamtego świata.

To, jak w produkcji platformy Max został pokazany Teksański Jarmark Renesansowy, pozwala spojrzeć na niego jak na metaforę przemysłów kreatywnych. Wszystkie działają przecież w podobny sposób jak przedsięwzięcie George’a. Dają swoim pracownikom możliwość twórczej pracy, realizowania własnych pasji, a przy tym podporządkowują impulsy stojące za pragnieniem kreatywności twardym biznesowym realiom. Tak jak w walce o sukces w teksańskim królestwie na prawdziwy sukces mogą w nich liczyć nieliczni, wielu musi zadowolić się słabo opłacaną i słabo widoczną pracą w tle.

Podobny serial można by nakręcić w teatrze, którego wiekowy założyciel, dyrektor i uznany reżyser myśli o emeryturze. Albo w studiu filmowym stojącym przed problemem sukcesu. George ma zresztą w sobie coś z hollywoodzkiego magnata z klasycznej ery Fabryki Snów.

W błędnym kole

Im dłużej oglądam serial, tym silniejsze mam wrażenie, że tak naprawdę ani George nie jest w stanie realnie oddać władzy, ani nikt z jego potencjalnych następców po nią sięgnąć. Kolejne intrygi, wzloty i upadki w grze o tron Teksańskiego Jarmarku Renesansowego zaczynają coraz bardziej przyjmować strukturę błędnego koła, co otwiera tę produkcję na jeszcze jedną metaforyczną interpretację. Otóż pozwala ją czytać jako obraz amerykańskiego społeczeństwa, ciągle zdominowanego przez pokolenie urodzone w latach 40. Jego obsesje, interesy i spory, zupełnie oderwane od problemów młodszych pokoleń. Te będą musiały kiedyś zmierzyć się z całym szeregiem problemów stworzonych przez rówieśników George’a, ale na razie nie są sobie w stanie wywalczyć koniecznej do tego władzy.

Ta interpretacja nasuwa się szczególnie silnie, gdy cały świat zastanawia się, czy będący mniej więcej rówieśnikiem George’a amerykański prezydent – mimo wszystkich przesłanek wskazujących, że ze względu na wiek i stan zdrowia może nie podołać kampanii – wycofa się z wyścigu. Ryzykuje klęskę ze swoim populistycznym, zapowiadającym antyliberalną krucjatę konkurentem – też zresztą niewiele młodszym.

© JAKUB MAJMUREK

Co jest pod peruką

OLGA ŻYMINKOWSKA

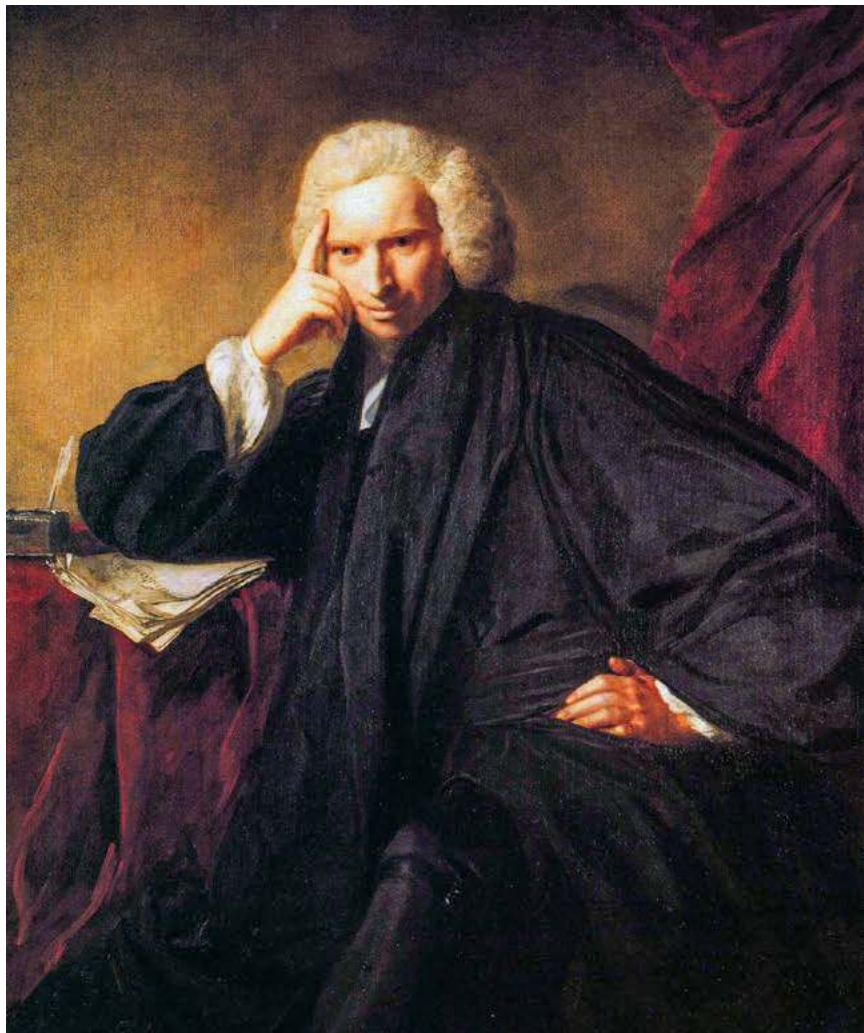
Bohater wydobywa się na świat i tak kończy się książka. Ale to nie jest spoiler, bo cały wysiłek autora skupia się na tym, co dzieje się tuż przed narodzinami. A dzieje się wszystko.

JEST ROK 1760 – ROK PO PUBLIKACJI pierwszych tomów „Życia i myśli JW Pana Tristrama Shandy”. Joshua Reynolds maluje portret autora, Laurence’a Sterne’a. Albo Tristrama Shandy’ego. Tak czy owak, z obrazy uśmiecha się do nas mężczyzna w czarnej szacie duchownej i kosmatej peruce. Ot, poczciwy pastor o ryśach suchych i szlachetnych; na sekretarzyku kałamarz i stos zapisanych kartek, pewnie notatek do niedzielnej kazania albo szkic traktatu o dobrych obyczajach.

Coś sprawia jednak, że spoglądam jeszcze raz. Postać wykonuje gest, który ikonografowie mogliby nazwać „melancholijny”. Jego rysów nie trapi jednak czarna żółć. Jeśli cokolwiek ją trapi, to ironia, choć trochę mroczna i zaczepna. Sterne patrzy nieco spode łba, co przy głęboko osadzonych oczach i dość wydatnym nosie (o tym szczególnie później) nabiera kpiarskiego, figlarnego wyrazu.

W uśmiechu Sterne’a jest ukryty zamiar, aluzja albo i chytryś rozum, ale bez kabotyństwa czy śmiesznych aspiracji, mimo prowokującego czy wręcz wyzywającego gestu oparcia drugiej ręki o biodro. Błada plamka światła pada na wysokie czoło i zadaje odwieczne sentymentalne pytanie: co dzieje się wewnątrz tej głowy?

Gdy patrzę ponownie na obraz Reynoldsa (trzeba dodać – mistrza w portretowaniu oświeceniowych notabli), słyszę zdanie wypowiedziane przez



Joshua Reynolds, Portret Laurence'a Sterne'a, 1760 r.

Tristrama w jego autobiografii: „Świat jest jednym z najnikczemniejszych światów, jakie kiedykolwiek zostały stworzone”. Albo: „Tristramie Shandy – byłeś i po wsze czasy będziesz igraszką błahego przypadku”. Wszystko to wypowiedziane oczywiście powoli i bez egzaltacji, ściszone, ale głębokim głosem, z eleganckim frazowaniem i pełnym dbałością o akcentem.

U Dickensa w „Życiu i przygodach Nicholasa Nickleby” czytamy: „Uśmiechu używamy w wizerunkach dam i dżentelmenów, którzy żyją z własnych funduszy i którym nie zależy tak bardzo na mądrym wyglądzie”. Co do funduszy, trzeba przyznać mu rację (w końcu sukces finansowy „Tristrama” umożliwił pisarzowi dalsze publikacje), co do reszty zdania – widocznie Dickens nie widział portretu Laurence'a Sterne'a.

Ostatni rzut oka na obraz Reynoldsa – tak, Tristramie Shandy, widzę cię w rysach Sterne'a.

Dreszczyk

Nie ma rzeczy bardziej niebezpiecznej niż pisanie o dziełach, które same zawierają własną krytykę. Sterne wielokrotnie wytacza rzęsiste kanonady przeciwko „stworom zwanym krytykami”, mości panom o wielkich perukach i długich brodach; utyskuje na ich niedostatek humoru i zbytne przywiązanie do tradycyjnych reguł pisarskich. Do odbiorców przemawia zawsze bezpośrednio (per „czytelnicy”, ale także „panie” czy „piękna czytelniczko”), niekiedy wydaje im rozkazy („żadam, abyś natychmiast przeczytała cały rozdział”), a nawet egzaminuje ich z wiedzy o świecie („czy wśród przeczytanych przez ciebie książek znajduje się dzieło Locke'a »O rozumie ludzkim«?”).

Powieść ta jest przecież z założenia nieudolna, programowo niedorobiona i niedokończona (także z powodu śmierci autora, która przerwała siedmioletni proces ogłaszania kolejnych tomów). I gdyby nie fakt, że z obrazu Reynoldsa patrzy na nas

człowiek w peruce, pomyśleć by można, że mówimy o powieści postmodernistycznej.

Wznowienie, jedyne jak dotąd, polskiego przekładu (autorstwa Krystyny Tarnowskiej) XVIII-wiecznego klasyku z XXI-wiecznym posłowiem Adama Lipszyca odświeża nam pamięć o tym, że korzenie literackich eksperymentów są znacznie starsze, niż może się wydawać wielbicielom Joyce'a. W nowym wydaniu znajdziemy o wiele bardziej rozszalałą i błazeńską interpunkcję, zgodną rzecz jasna z temperamentem Sterne'a. Pauzy, półpauzy, myślniki siekają tekst aż miło, przecinki, średniki i dwukropki dodają mu dziegciu – całość edytorska jest po prostu wspaniale irytująca. Lipszycowi nie brak wspomnianego dowcipu i brawury, dzięki czemu w jego krótkim eseju można przeczytać o „Shandym” jako „kontrewangelii literatury nowoczesnej”, a także zagłębić się w – podszyte rzecz jasna psychoanalizą – analizy wątków rynologicznych (związanych z nosem), kluczowych dla przebiegu fabuły.

JW Pan Shandy to niedo-człowiek – cała jego bezradna autobiografia mówi w końcu o katastrofie egzystencji (w znaczeniu *ex-sistentia* – wydobywanie się, wychodzenie poza, by posłużyć się koniecznym tutaj makaronizmem). Opowieść o jego życiu kończy się, zanim się w ogóle zacznie. Tristram z trudem matki, ojca, akuszerki i wysiłkiem rzeszy filozofów „wydobywa się” na świat i tak (proszę wybaczyć, brzydko mówiąc, spoiler) kończy się cała książka. Zdradzenie zakończenia nie jest jednak zdradą wobec dzieła, bo cały wysiłek narratora skupia się na tym, co dzieje się tuż przed narodzinami. A dzieje się wszystko.

Poczęcie

Najtrudniej zacząć od początku. I nie o dzieciństwo tu chodzi, ale o sam akt poczęcia, moment zdecydowanie w historii literatury „niedoreprezentowany”. Nikt przed Sternem nie poświęcił tyle miejsca przyczynie sprawczej egzystencji. Dla Sterne'a na początku było nie słowo, nawet nie chaos, ale błahie i prozaiczne pytanie: „czyś nie zapomniał nakręcić zegara?”. To nieszczęsne zdanie pada z ust matki w chwili, tej właśnie chwili wypełniania (burżuazyjnie pojętych) „mażeńskich powinności”. Na co ojciec Walter Shandy, będąc jedną nogą w transcendencji, a drugą w immanencji (jak inaczej

→ określić ten kłopotliwy stan pomiędzy?), zanosi się teatralnie: „Przebóg! Czy kiedykolwiek od stworzenia świata niewiasta przerwała mężczyźnie tak głupim pytaniem?”. I wbrew pozorom nie jest to pytanie retoryczne, ale stwierdzenie niewygodnego faktu: każde poczęcie zderza się z błahością. Na nic zdają się utyskiwania – jak w pierwszym zdaniu powieści – „Żałuję, że mój ojciec albo moja matka nie pomyśleli, co robią, kiedy mnie poczynali”.

W gruncie rzeczy każdy początek jest skandalem – obyczajowym, moralnym, a nade wszystko metafizycznym. Jednak wszystko, co dzieje się w książce potem, dodatkowo spiętrza tę „inicjalną katastrofę” i w rezultacie otrzymujemy powieść-hydrę o wielu dygresyjnych głowach, z których każda walczy o prawo głosu.

Gesty

Dygresyjność u Sterne’a to bardziej szaleństwo niż metoda. I to może przyczyniło się do mitu nużącej nieprzystępności jego dzieła, o którym każdy słyszał, a które niewielu w całości przeczytało. Sprawy literackiej kompozycji Sterne przeżywa do głębi, z pasją istic architektoniczną (czy wzniesie się? a może runie?). Odpowiedź tkwi pomiędzy – ani się wzniesie, ani nie runie, skoro przedmowa znajduje się w środku książki, w księdze czwartej brak jednego rozdziału, a kilka fragmentów zostało w zupełności wyciętych. Naczelną obsesją jest utrzymanie konstrukcyjnej równowagi między narracją (życiem) a dygresją (myślami). Jak sam pisze z rozbrajającym samolubstwem: „wszystkie moje dygresje są zgrabniuchne i lubo odbiegam od głównego tematu (...), baczę jednak pilnie, aby w ten sposób układać swoje sprawy, iżby główny wątek nie próżnował podczas mojej nieobecności”.

Głównym motorem poszerzania tekstowych peryferii jest tutaj szczegół. Ot, drobny, „podzwyczajny” gest, strzepnięcie popiołu z fajki albo sięgnięcie ręką do kieszeni płaszcza. Sterne należy do wielkiej rodziny pisarzy gestolubnych (Proust, Kundera, Sartre – otwieram licytację), a może, z racji chwili urodzenia, jest tego rodzaju protoplastą. Gest staje się tu błędnym ogniwem, które rozbija łańcuch dotychczasowej narracji, wyprowadza ją w pole, pozwalając słowom biegać wolno.

Zagadka

Obsesyjne skupienie na pojedynczej pozie, wyrazie twarzy czy ruchu ciała czyni ze Sterne’a fotografa *avant la lettre*. Wystarczy wspomnieć brawurowy opis tego, jak pochyla się ciało kaprała Trima w pozie „znakomitego oratora” – co znaczy, że jego korpus tworzy z podłogą kąt 85 i pół stopnia (swoją drogą, to całkiem nietrudne i raczej nieefektywne). Albo dokładne analizy odcienia pochmurnej, naburmuszonej twarzy Waltera, która ściemniała o całe 6 i pół tonu. Bynajmniej nie są to zwykłe przerwaniaki akcji, które przebiega się pospiesznie jak nudny opis przyrody. Jeśli autobiografia Tristrama gdziekolwiek się spełnia, to właśnie w dygresjach.

Tam, gdzie mowa o stryjaszku Tobym i jego wojennych perypetiach, tam, gdzie ojciec wygłasza przepastne scholastyczne monologi na temat pochodzenia duszy, wpływu wielkości nosa na życiowe powodzenie, które doprowadzają do Rabelais’go, Rabelais do św. Tomasza z Akwinu, a św. Tomasz z Akwinu do diabła, a diabeł do...i tak dalej; w tych wszystkich popisowych marginesach, zboczach i urywkach obecne są najpełniej życie i myśli Shandy’ego.

Niezwykłą trzeba mieć cierpliwość, zgoła niewspółczesną, aby zawiesić chęć szybkiego rozwiązania zagadki życia. Sterne poucza nas – czasem naiwnych amatorów szybkich kryminałów, mocnych wrażeń i suspensów – że życie ludzkie (dydaktyzm przeszedł już na mnie) jest, uwaga, nierozwiązywalne.

Po tylu latach doświadczeń nadal z lekką irytacją podchodzimy do dygresji. Wciąż niecierpliwimy się na przydługie historie z młodości naszych rodziców i dziadków, nie mogąc uwierzyć, że zagadka pozostaje zagadką, a opowieść nigdy nie dogoni życia. Gdybyśmy, jak Sterne, wydawali dwa tomy autobiografii rocznie, to i tak nie dogonimy ani Gołota, ani Knausgärda.

Balamutne usposobienie

„Jak tam wasze głowy? Moją ból rozsada nieznośny”, pisze pod koniec jednego z tomów Tristram Shandy, jakby przeczuwając, że opisany ciąg epizodów może przyprawić o mdłości. W rzeczywistości jednak nieczęsto tak bywa – uczone monologi ojca ratują dynamikę dygresji, a to ze względu na ich szczególny humory-

styczny potencjał. Życie (płodowe i porodowe) Tristrama toczy się w cieniu zażartych sporów metafizycznych, teologicznych, fizycznych, matematycznych, technicznych i ginekologicznych (ostatecznie – enigmatycznych), prowadzonych przez Waltera i jego brata Toby’ego. A życie, jak to życie, rozgrywa się gdzie indziej, na pierwszym piętrze starego domu, gdzie kręcą się zaafierowane akuszerki, służące wydają posiłki, a matka w bólach rodzi potomka.

Na dole, w salonie z kominkiem, siedzą rozdyktowani dżentelmeni. Omawiane są cnoty charakteru stryjaszka Toby’ego, jego „pocziwość” i „skromność serca”; ponadto historie wojenne z czasów młodości z udziałem kaprała Trima, w szczególności geneza rany postrzałowej w pachwinie, która wymaga teoretycznego wprowadzenia z zakresu nauki o fortyfikacjach (należy odróżniać rawelin od fosy), a także podstawowej wiedzy o parametrach przekroju stożkowego pocisku – i tak aż do zadyszki.

Tworzy się również dysertację w przedmiocie słowa Tristram (co znaczy „smutniak”), w której ojciec, grubo przed narodzinami dziecka, tłumaczy się z nieprzewidywalnego wstępu do tego imienia. Swojego potomka pragnie nazwać dumnie Trismegistos („po trzykroć wielki”) i tylko słaba pamięć służącej Zuzanny (ach, te błędy niewieście!, wzdycha mizoginicznie Walter), której zadaniem jest donieść pastorowi o imieniu przed ceremonią chrztu, powoduje, że syn z Wielkiego staje się Smutniakiem, ledwo poczętym i niedo-nazwanym.

Tristram jest objęty szczególną „teoretyczną” opieką – rozważa się moralne i metafizyczne skutki spłaszczenia głowy noworodka w trakcie porodu, dyskutuje się nad hipotezą wpływu imienia nadanego podczas chrztu na cnotliwość charakteru i, wreszcie, na wiele sposobów omawia się „kwestię nosów”, ich długości i wydatności, opierając się na traktatach autorytetów w dziedzinie „rynologii filozoficznej”. Szczególnie ostatni wątek, tak wdzięczny dla psychoanalizy, skrzy się od sprośnych aluzji, czym fachowo zajął się Lipszyc, toteż i ja w porę milknę.

Zaczepek, mrugnąć okiem i ledwie przeczutych seksualnych fantazji jest w powieści mnóstwo. Dziś pewnie nie bawią nas tak bardzo, bo i my mniej niewinni, i nasze *tempora* już innymi rządzą



The Smoking Batteries.



The Quarrel of Slope and Susannah.

Ilustracje George'a Cruikshanka do londyńskiego wydania „Tristrama Shandy” z 1906 roku.

Od lewej:
„Bateria palaczy”, Kłótnia Słopa i Susanny”

się *mores*. Jeśli coś nas śmieszy, to sam wysiłek autocenzury, „wygwizdkowanie” nieprzyzwoitych słów i części ciała, wszystkie te przewiktoriańskie podchody, by powiedzieć, nie mówiąc.

Poza tym pamiętać trzeba, że przemawia do nas anglikański pastor w prawdziwej duchownej szacie (powracam do Reynolds), który umiejętnie pisarstwo pojmuję jako sztukę dyskrecji. Sterne'owskie zasłony i woalki to jednak przede wszystkim miłość do literackich gier i dwuznaczności. I nawet (a może szczególnie wtedy), gdy się zapiera: „oświadczam, że pod słowem »nos« (...) rozumiem »nos« – i nic mniej ani nic więcej”, bierzemy to na karb jego bałamutnego usposobienia.

Popęd

Zerkam na portret Sterne'a po raz ostatni, bo z nadmiaru i moją głowę „ból już rozsada nieznośny”. Dostrzegam grymas, który zdaje się wyrażać to, co trafnie po-

tem zauważył Kundera w przedmowie do „Kubusia i jego pana”: „wszystko zostaje poddane wątpieniu, wszystko jest grą, wszystko jest zabawą”. Według Kundery Sterne wydeptał nowy ludyczny traktatury, niesłusznie potem zmarginalizowany i zbyt rzadko uczęszczany (z chlubnym wyjątkiem Diderota i samego Kundery).

Trzeba być naprawdę pozbawionym sentymentalnych złudzeń i nie ulec panice wszechobecnej powagi, żeby nie zobaczyć w uśmiechu Sterne'a niczego poza humorem. Na przykład nie ujrzyć w jego bladej twarzy trawiającego go choroby. Niezręcznie jest kończyć śmiercią, należało o tym napisać wcześniej, może przy okazji wzmianki o gruźlicy, lub chociaż pociągnąć temat imienia (w końcu *triste* – smutny). Powinno się było dostrzec, że takiej autobiografii, nawet fikcyjnej, nie pisze się bez powodu, że dygresja może być podszyta rozpaczą lub „popę-

dem śmierci”, że skrywać się za (z)aluzją można ze strachu przed sobą – i tak dalej. Istnieją jednak tematy, które powierzają się naszej dyskrekcji.

Kundera (najlepszy współczesny teoretyk żartu) ma rację, mówiąc, że „żadna powieść godna tego miana nie bierze świata poważnie”. I śmieję się razem z nim, gdy sama łapię się na szukaniu prześwitu trupiej czaszki pod jasnym czołem Sterne'a (warto spróbować, to jak z twarzami ukrytymi w chmurach).

Trzeba naprawdę długo patrzeć na jego portret, aby ujrzyć pod białą peruką czapkę z dzwoneczkami.

© OLGA ŻYMINKOWSKA



Laurence Sterne
ŻYCIE I MYŚLI JW PANA TRISTRAMA SHANDY
przełożyła Krystyna Tarnowska
PIW, Warszawa 2024

Listy do Edith

ANITA PIOTROWSKA

Stara dobra Anglia nie ma dziś najlepszej prasy. A gdyby tak włożyć w jej dawny kostium bardziej postępowe treści i sprzedać jako satyrę? Oto przypadek filmu, który wchodzi właśnie do kin.



SCENARZYSTA JONNY SWEET WZIĄŁ na warsztat autentyczne zdarzenia sprzed stu lat, kiedy to nadmorskim miasteczkiem Littlehampton, a wkrótce też całym krajem, wstrząsnęła afera z wysyłanymi do mieszkańców anonimowymi listami, wyjątkowo obrzydliwej treści. I co z tego, że dzisiaj ta opowieść trąci myszką? Mając takie aktorki i aktorów, jak Olivia Colman, Jessie Buckley czy Timothy Spall, każda okazja wydaje się dobra, by nakręcić staroświecką i jednocześnie trochę rogatą komedię.

Ważny jest czas akcji, bo ma on poniekąd usprawiedliwiać przeinaczanie faktów dla potrzeb progresywnej fabuły. Oto kilka lat po zakończeniu Wielkiej Wojny społeczeństwo ciągle liże rany, ale świat już nie będzie wyglądał tak samo. Zmieniła się na przykład społeczna pozycja kobiet, które pod nieobecność mężczyzn poszły do pracy w niedostępnych im dotychczas zawodach. A w szeregach brytyjskiej armii walczyli nie tylko biali obywatele Imperium, co również wpłynęło na ich

późniejszą widoczność w życiu publicznym. Lecz w małych miejscowościach obyczaj i przesąd nie zawsze nadążają za tymi zmianami. Dlatego czarną owcą jest Rose (w tej roli Buckley), która samotnie wychowuje córkę, żyje z czarnoskórym partnerem, pije, pali, w dodatku klnie jak dorożkarz i w razie czego potrafi nawet przyłożyć. Na domiar złego pochodzi z Irlandii. Nic więc dziwnego, że staje się główną podejrzaną, gdy Edith, jej bogobojna sąsiadka i niegdyśjsza przyjaciółka o misjonarskich zapędach (gra ją Colman), znajduje w swojej skrzynce pocztowej kolejny papierowy bluzg.

Żeby było jeszcze bardziej współcześnie i polit-poprawnie, całą sprawą zajmuje się Gladys (Anjana Vasan), młoda policjantka o wyraźnie indyjskich korzeniach. Rzecz jasna nie wierzy w winę Rose (podobnie zresztą jak my), choć większość lokalsów, ani tym bardziej podekscytowane media, nie dałaby za nią funta kłaków. Główna przyjemność płynąca z filmu wyreżyserowanego przez Theę Sharrock polega na przyglądaniu się, jak świetne brytyjskie aktorki bawią się w odtwarzanie i przetwarzanie tych farsowych figur: zakłamej matrony, młodej awanturnicy oraz dziarskiej potomkini imigrantów, najbardziej z tego grona rozsławnej i w zamyśle niestereotypowej. Łatwo też zauważyć, iż obsadzenie w roli dwóch śmiertelnych antagonistek

właśnie Colman i Buckley to mrugnienie okiem w kierunku jakże współczesnej „Córki” (2021) Maggie Gyllenhaal, gdzie obie zagrały tę samą postać kobiety pod presją, tyle że w różnych odsłonach pokoleniowych.

W tym przypadku naftalinowy język filmowy posłużył do opowiedzenia historii bezpardonowo wyprzedzającej swoją epokę. „Oto historia prawdziwsza, niż się spodziewaliście” – anonsują twórcy już na wejściu. Tak co prawda nie było, lecz przecież być mogło. Ów emancypacyjny potencjał bywa zarówno siłą „Wrednych liścików” (bez niego byłyby jedynie sympatyczną ramotką), jak i nadmiernym ich ciężarem. Stąd komediowość tego filmu bywa chwilami nazbyt wysilona. Znać w niej także teatralny rodowód reżyserki, co dla wielbicieli telewizyjnej komedii brytyjskiej z jej staranną inscenizacją, wysokojakościowym aktorstwem i specyficznym humorem może być akurat zaletą, natomiast dla mniej zapatrzonych w tę tradycję – zbytnim uproszczeniem.

A skoro o języku mowa, to film Sharrock mógłby być właśnie o nim, jakkolwiek niespecjalnie chce ten wątek rozwijać. Zamiast „złych języków”, właściwych dla małomiasteczkowej atmosfery, mamy tutaj zjadliwe anonimy, chwilami wręcz intrygujące swą wredną kreatywnością. W społeczeństwie, gdzie analfabetyzm nie jest rzadkością, ci uprzywi-

**RADIO
KRAKÓW**

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
głoszą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE M2 FILMS

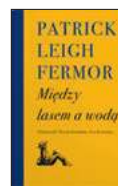
lejewani potrafią czasem zrobić paskudny użytek z piśmienności. Ale też ktoś, kto wyrzuca z siebie tak wyrafinowane obelgi, musi być istotą wyjątkowo cierpiącą. Wszak język potrafi wiele zdradzić, jeśli idzie o tożsamość i osobowość nadawcy. Niczym u internetowego hejtera, dającego upust swojej żółci na publicznych forach i nakręcającego nienawistny komentariat. Trzeba jednak przyznać, że dzisiejszym hejtującym daleko do takiej językowej inwencji, jaką prezentuje filmowy autor listów. Inna sprawa, że w porównaniu ze współczesnym okrucieństwem i zasięgiem hejtu, z jego postępującą monetyzacją i robotyzacją, brzmi to wszystko bardzo prehistorycznie i zgola niewinnie.

Można potraktować tę komedię jako satyryczne spojrzenie na przywary narodowe, zobaczymy wówczas w „Liścikach” coś, co czasami ukrywa się pod angielską grzecznością, czyli ksenofobię i klasowość. Dziś jednak, o czym świadczą wyniki ostatnich wyborów parlamentarnych, filmowa krytyka brytyjskiej „konserwy” wypada naiwnie i zaścępczo, by nie rzec: eskapistycznie. Przed nami ledwie krotkochwilna historia o tym, co potrafią zrobić kobiety innym kobietom, a zarazem jak wiele, gdyby tylko chciały, mogłyby uczynić kobiety dla kobiet, bez pomocy plebana i konstabla. Tu wkraczają do akcji łagodnie obalane stereotypy na temat angielskich panień w kapelutkach.

Mimo że indywidualna wina zostanie w końcu ukarana, istnieje jeszcze coś takiego jak wina systemowa – i film bez nadmiernej ideologizacji również na nią wskazuje palcem. Przypomina pod tym względem „Moją zbrodnię” (2023) François Ozona, kostiumową farsę spod znaku #MeToo, osadzoną dekadę później w środowisku filmowym. Francuski reżyser zaserwował podobną zabawę obyczajowymi kliszami, acz dużo bardziej przegiętą, błyskotliwą i na czasie.

Zamiast więc tropić pozaklejane we „Wrednych liścikach” znaczenia, zmyślenia i tendencyjne przeinaczenia autentycznych szczegółów, lepiej zabawić się w rozwiązywanie kryminalnej zagadki. Choć i w niej dość szybko staje się jasne, kto zadręczał sąsiadów brzydkimi więzankami. Na pierwszy plan wysuwa się pytanie, dlaczego właściwie je tworzył i wysyłał, oddając się temu z aż tak szaleńczą pasją. Jeśli jest coś prawdziwego w tej pocziwej angielskiej makiecie nigdy nieistniejącego świata, to są nią właśnie te ukryte, stare jak świat ludzkie motywacje i represje. ©

Lektor: Europa, której nie ma



■ Patrick Leigh Fermor
**MIEDZY LASEM A WODĄ.
PIESZO DO KONSTANTYNOPOLA. ZNAJ
ŚRODKOWEGO DUNAJU DO ŻELAZNYCH WRÓT**
Tłumaczyły Dorota Kosińska, Ewa Kosińska.
Wydawnictwo Próby,
Warszawa 2024, ss. 336.

„TO NAJBARDZIEJ UROCZY WARIAT, JAKIEGO W ŻYCIU spotkałem” – pisał o nim Lawrence Durrell w liście do Henry’ego Millera. Biografia Patricka Leigh Fermora (1915-2011), wspaniałego podróżopisarza brytyjskiego, jest zbyt bogata, by ją streścić; odsyłam do 123. numeru „Zeszytów Literackich” oraz innych dzieł Fermora u nas dostępnych.

A jaki był przepis na tę książkę? Grudzień 1933, wykształcony, uzdolniony językowo i łatwo nawiązujący kontakty młody człowiek wyrusza na pieszą wędrówkę przez kontynent europejski. Będzie się zatrzymywał, gdzie się da, od przydrożnych zajazdów, przez klasztory, po zamki, do właścicieli których ma listy polecające. Do Stambułu dociera 1 stycznia 1935 r. Potem jeszcze podróż po Grecji (gdzie w przyszłości zamieszka). Wybuchła wojna, podczas której Leigh Fermor bohatersko się zasłuży na okupowanej przez Niemców Krecie. Notatki z wędrówki giną, potem się odnajdują. Dopiero w 1977 r. ukazuje się pierwszy tom relacji („A Time of Gifts”, u nas wydany trzy lata temu jako „Czas drogi”). W roku 1986 ukazuje się tom drugi, a niedokończony tom trzeci już po śmierci autora.

„Między lasem a wodą” to z ogromną wrażliwością nakreślony portret świata, który przestał tymczasem istnieć. W tym – świata węgierskiej arystokracji w rumuńskim już Siedmiogrodzie/Transylwanii (autor zawsze używa nazw w obu językach, a jeden z ładniejszych fragmentów dotyczy małżeństwa, które wciąż się – po węgiersku – spiera, bo żona ma rumuńskie pochodzenie). Jak zauważył Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej”, to jakby epilog środkowo-europejskiej *belle époque*, która zasadniczo skończyła się w roku 1914. Jeszcze cytat z tej recenzji: „Chłonność umysłu młodego Fermora nie miała granic; notował (a starszy o pół wieku Fermor rozwijał i uzupełniał zapiski z zielonkawego brulionu, panując nad pamięcią nie gorzej od Prousta) słówka, smaki, trunki, przeboje z celuloidowych płyt, tytuły i treść powieści Móra Jókai’ego, architekturę zamku Vajdahunyad...”. A jego opisy – dodaje recenzent – mają siłę poetyckiej epifanii.

Na ostatnich stronach pojawia się dunajska wyspa Ada-Kaleh, malownicze miejsce o powikłanej historii. Ta wyspa już nie istnieje, zatopiona w 1971 r. po spiętrzeniu wód Dunaju. Jeszcze jeden znak przemijania. ©

WREDNE LIŚCIKI

(„Wicked Little Letters”) – reż. Thea Sharrock.
Prod.
Wielka Brytania 2024.
Dystryb. M2 Films.
W kinach od 26 lipca.

Thea Sharrock
to znana i nagradzana
brytyjska reżyserka
teatralna. W 2016 roku,
po doświadczeniach
serialowych
(„Z pamiętnika
położnej”, „The Hollow
Crown”) zadebiutowała
filmem „Zanim się
pojawiłeś”. Potem
był nakręcony dla
Disneya „Jedyny
i niepowtarzalny Ivan”
(2020), jeden z odcinków
serialu „Brytania”
(2021) oraz dostępna
na VoD niezbyt udana
„Piękna gra” (2024).

Na zdjęciu:
Olivia Colman i Jessie
Buckley w filmie
„Wredne liściki”



Ks. Adam Boniecki obchodzi w lipcu dziewięćdziesiąte urodziny

Poprosiliśmy redaktora seniora naszego pisma, żeby przy tej okazji zrobił nam wszystkim prezent i odpowiedział na kilka pytań. Nie naszych – Twoich.

Czy miewa sny, w których nie jest księdzem? Czy Kościół przetrwa?

Co zabawnego pamięta z czasu, gdy był generałem marianów?

Pytania zadali czytający nas: Józef Paradowski, pani Agnieszka, pani Lucyna, Wojciech Mann, Bogdan de Barbaro, Michał Schudrich

Czytaj na: TygodnikPowszechny.pl/boniecki

Jeśli chcesz zadać pytania, napisz na: zapytajAdama@tygodnikpowszechny.pl

Redaktor senior odpowiada na wasze pytania

MAGDA UMER, autorka recitali, spektakli i widowisk poetyckich:

„Księżu Adamie, co ma robić osoba – prawie 75-letnia kobieta, która mniej więcej co drugi dzień przestaje wierzyć w Pana Boga?”

KS. ADAM BONIECKI: Najlepiej umrzeć w dniu, w którym się wierzy. Ale inny dzień też o niczym nie przesądza. Pan Bóg jest większy od naszych stanów mentalnych.

MARIUSZ SZCZYGIEL, reporter:

„Czy otrzymał Ksiądz jakiś dowód na istnienie Boga?”

KS. ADAM BONIECKI: Sądzę, że tak, ale czy to był dowód? Mogłem się utopić, nie utopiłem się. Mogłem się rozbić samochodem, nie rozbiłem się. Mogłem się wdać w jakąś głupią historię – i to wiele razy – nie wdałem się. Cudem.

Wszystko można wytłumaczyć przez zbieg okoliczności, przypadek, wyobraźnię. Jest jednak mnóstwo przykładów trudnych do wyjaśnienia, w których przypadek odegrał zbawienną rolę. To wiem na pewno. Interpretację takich zdarzeń zostawiam ludziom. Wiara musi być decyzją wolną, a nie zdeterminowaną.

PANI AGNIESZKA, nauczycielka języka:

„Jak radzić sobie z emocjami innych – z frustracją ludzi, którzy do nas

przychodzą, z ich złością i gniewem?

Jak na gniew odpowiadać? Mam 53 lata i nie nauczyłam się jeszcze tego robić... Umiem ludziom dawać miłość i być może robię to nawet dość sprawnie, ale nie umiem spotkać się z ludzką złością czy gniewem...

Nie wiem, jak gniewnym ludziom pomóc i jak pomóc sobie w relacji z nimi”.

KS. ADAM BONIECKI: Na pewno potrzebna jest cierpliwość. Przychodzi do nas człowiek wzburzony, opowiada, co go spotkało, przekazuje swoje wzburzenie. Trzeba nauczyć się to opanowywać. Pytanie, czy wszystkie emocje trzeba likwidować? Nie są to chore zęby, które można wyrwać. Czasami trzeba nadać takim emocjom sensowny kierunek.

PANI MATYŁDA, studentka:

„Chciałabym wiedzieć, co Ksiądz najpyszniejszego w życiu jadł”.

KS. ADAM BONIECKI: Kluski wymieszane z ziemniakami. Wiem, wydaje się to dziwne. Rzecz jest w głodzie, a nie w tym, co się je.

Oczywiście, jadłem różne pyszne rzeczy – na przykład znakomite owoce morza, z pewnością świeżo wyłowione, w skromnej jadalni w Kurytybie.

PAN PAWEŁ ma 31 lat, jest aktywnym społecznikiem, i – jak przyznaje w liście – jest osobą, która ma „wiele czasu przed sobą, a jednocześnie obecnie ma go niewiele”.

„Wiele czasu na co dzień poświęcamy na mnóstwo rzeczy, z pozoru dla nas samych ważnych i znaczących. Czasem jednak dostrzegamy, że nie są

one tak ważne i znaczące, być może mówią nam też o tym najbliżsi i to oni wskazują na nie. Niekiedy potrzebujemy takiego impulsu, by coś zmienić. Zazwyczaj jednak ignorujemy go, bo przecież wiemy, co robimy. Jak, Księżu zdaniem, odkryć to, co jest warte naszego działania? Czym się kierować, by z perspektywy czasu nie myśleć o wyłączeniu straconym czasie?”

KS. ADAM BONIECKI: Mogę odpowiedzieć tylko teoretycznie, bo wiem, że każdy człowiek jest inny i ma inne możliwości. Należy skupić się na czymś konkretnym kosztem innych rzeczy. Poświęcić się czemuś, co jest tego warte. Wybrać.

Poczucie krótkości czasu jest czymś bardzo cennym. Nie wszyscy go mają. Ludzie żyją tak, jakby mieli żyć wiecznie, potem są zaskoczeni.

JERZY MÜLLER jest emerytem. „Kilka lat temu moja mama i jej siostra opowiedziały o majątku państwa Bonieckich w Potworowie oraz o przyjaźni łączącej ich ojca (a mojego dziadka) z ojcem Księdza Adama. Dziadek był komendantem posterunku Policji Państwowej w Potworowie, a jego żona (moja babcia) często szyła i reperowała odzież, m.in. małego Adasia, była bowiem świetną krawcową. (...) Różne zdarzenia miały miejsce w tamtych latach, a pomoc Pana Bonieckiego pomogła mamie i babci przetrwać wojenną zawieruchę (dziadek zginął w Miednoje)” – pisze. I dalej: „Te punkty styczności naszej historii nie dają mi oczywiście żadnych przywilejów, ale zadałbym Księdzu Adamowi pytanie, nad którym sam nie

raz się zastanawiałem i nie potrafiłem znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi: **Gdyby miał Ksiądz możliwość uzyskania pełnej i prawdziwej odpowiedzi na dowolne, ale tylko jedno jedyne pytanie, o co Ksiądz by zapytał?”**

KS. ADAM BONIECKI: Jak żyć.

Pytania zadane przez Czytelników i Czytelniczki w mediach społecznościowych „Tygodnika”:

„Jak pokonać lęk przed śmiercią?”

KS. ADAM BONIECKI: Nie wiem, każdy oswaja śmierć inaczej. Wiele lat temu poszedłem do kobiety, która wiedziała, że umiera. Wszedłem do sali szpitalnej, patrzę – kobieta siedzi na łóżku. Zapytałem, czy się nie boi? A ona, zdziwiona, odpowiedziała też pytaniem: „Czego?”. „Idę spotkać się z Jezusem” – powiedziała. Była pogodna, nieprzestraszona. Tamtego dnia umarła.

Nie ma lekarstwa na śmierć. Wiem, że człowiek może oswoić się z faktem, że umrze. Może go nawet zaakceptować z pogodą ducha. Jeśli cierpi, męczy się w chorobie, śmierć bywa wyzwoleniem.

W tej chwili nie boję się śmierci, jestem świadom, że ona niebawem przyjdzie. Ale w tym pytaniu chyba nie o to chodzi.

Myślę, że wiele zależy od nas – od tego, jaką filozofię przyjmujemy. Czy taką, w której jest miejsce na śmierć i na rozstanie z rzeczywistością, czy taką, w której jej nie ma. Ale czy to pomaga opanować lęk? Tego nie wiem.

„Co jest w życiu najważniejsze? Czym się kierować, dokonując trudnych wyborów?”

KS. ADAM BONIECKI: Teoretycznie wiemy, że trzeba się kierować miłością bliźniego, prawdą, miłością do ojczyzny. Praktycznie, w codziennym życiu, nie jesteśmy do końca pewni, co robić. Dokonujemy mnóstwa wyborów według kryteriów, które są pozorami altruizmu.

Myślę, że każdy powinien odpowiedzieć sobie sam, co jest dla niego ważne. Mamy oficjalną wersję siebie, gdzie wypadamy świetnie, a prawda jest czasami bardzo egoistyczna.

PANI ANNA: „Ośmielam się zadać pytanie dotyczące osobistej sfery życia: **Czym jest dla Księdza Redaktora starość?**



Ks. Adam Boniecki i Anna Goc w redakcji „TP”, Kraków, 28 czerwca 2024 r.

Pozwalam sobie zapytać o to, bowiem kilka dni temu skończyłam 96 lat. Dla mnie starość jest trudnym i uciążliwym do dźwigania ciężarem. Jestem osobą samotną, a dbającą o mnie rodzina mieszka w oddaleniu kilkudziesięciu kilometrów. Większość osób z grona niegdyś licznych przyjaciół i znajomych już odeszła. Trudności z chodzeniem nie pozwalają mi wyjść z domu. Największą dla mnie tragedią jest stopniowa utrata wzroku, która uniemożliwia mi czytanie książek i prasy, w tym mojego »Tygodnika Powszechnego«, który towarzyszył mi w latach 1946-2022. Jednak – mimo wszystko – taką starość staram się zaakceptować, wówczas jej ciężar łatwiej mi znosić”.

KS. ADAM BONIECKI: Mam wprowadzić dopiero 90 lat, więc doświadczenia starości odczuwam w mniejszym stopniu, ale odczuwam. Trzeba się uczyć starości wtedy, kiedy ona przychodzi. Pomocą może być nastawienie, nad którym pracuje się przez całe życie. Z podziwem przeczytałam Pani wyznanie i jeśli dożyję do 96 lat, chciałbym – tak jak Pani – się nie poddać.

AGNIESZKA SOWA: „Jestem 54-letnią mamą dwóch już dwudziestoparoletnich chłopców. Jestem architektem z Wrocławia, wychowaną w miejsku otoczonym przez piękne gotyckie kościoły, gdzie zawsze mijali mnie księża i zakonnice zamieszkujący sąsiednie kamienice. Nie było tu dzieci ani placów zabaw – seminarium, klasztor, biblioteki i archiwa. Procesje, rezurekcje i pasterki odmierały nasz czas. Rodzina mamy, babcia, która przyjechała tu i osiadła po wojnie, zdecydowała, że jej dzieci zmienią Kościół z ewangelickiego na katolicki, ponieważ niemieckie konotacje są tu niebezpieczne dla ich przyszłości. Wyrosłam w głębokim poczuciu, że jestem odpowiedzialna za przeniesienie mojej wiary w serca mojej ukochanej rodziny – że to moje zadanie życiowe, zaszczyścić miłość do Boga w dusze moich bliskich. Lata mijają – procesje znikają, nikt nie chciał już iść ze mną na rezurekcje, wszyscy zaczęli mijać moje kościoły. W tym roku Osoba Najbliższa powiedziała mi wprost – ja nie wierzę w Boga. Mój świat się rozpadł. Trwanie straciło sens. Zawiodłam. Głucha rozpacz wypełnia mnie, gdy tylko pozwolę myślom płynąć. Księże Jubilate – jak żyć dalej, wiedząc, że mimo wszelkich starań, modlitw i troski nie umiem przekazać miłości i wiary nawet tym, których kocham nad życie?”.

KS. ADAM BONIECKI: Drogi wiary każdego człowieka są własne, nie do odtworzenia. Drogi wiary bliskiej Pani osoby – także. Czasem odchodzi się, żeby wrócić, nie wiedząc o tym, że się wróci. Tak czy inaczej – każdy ma swoją własną drogę wiary w Boga. On szanuje wolność człowieka, chociaż jest wszechmogący. Podstawą tej drogi jest wewnętrzna uczciwość.

Jeśli ktoś uczciwie uważa, że nie może wierzyć, musimy to uszanować. Nawet jeśli tego nie rozumiemy. Myślę, że prawda, rzetelność tego, co się robi, dobroć dla ludzi, zdolność przebaczenia, bywają u Pana Boga ważniejsze, niż formalne przynależenie do Kościoła.

I każdy człowiek, nawet najbliższa osoba, jest tajemnicą. Z tą tajemnicą innych każdy z nas musi jakoś się uporać.

© Opracowała ANNA GOC



Dziękujemy wszystkim, którzy razem z „Tygodnikiem Powszechnym”
świętują urodziny redaktora seniora ks. Adama Bonieckiego.
A oto Wasze życzenia dla Jubilata!

**Piękny wiek pięknego Człowieka!
Czczogodny Księżu Adamie, Drogi Jubilate!**

Szczerze i prawdziwie gratulujemy Ci 90. urodzin, życząc z tej okazji zdrowia, niesłabnącej wiary
w ludzi i siły do dalszej pracy, która od lat stanowi dla nas wszystkich wzór obiektywizmu
i zrozumienia dla pojedynczego człowieka.

Twoje teksty i opinie czytane są z niesłabnącym zainteresowaniem i zasługują na szczególne
uznanie. Jesteś dla nas wszystkich niedoścignionym wzorem. Przywiązujesz wagę do
wypowiedzianych słów, rzetelnie i rozważnie oceniasz bieżące wydarzenia. To dziś rzadkość,
by tak długo i konsekwentnie być wiernym sobie i wyznawanym wartościom. Potrzeba nam
takich ludzi jak Ty. Także i w naszych szeregach – bo za zaszczyt poczytujemy sobie, iż zaliczyć
Cię możemy do grona honorowych członków ZAiKS-u.

Dziękujemy Ci za to i życzymy raz jeszcze zdrowia, wielu lat życia i wielu tekstów,
które uczą nas sztuki życia w najpiękniejszy możliwy sposób.

W imieniu Stowarzyszenia Autorów ZAiKS
Miłosz Bembinow
Prezes

zaiks
sprzyjamy wyobraźni

Księdzu Adamowi Bonieckiemu,

który wspiera nasz ruch i towarzyszy mu od początku,
jest dla nas drogowskazem i punktem odniesienia,
uczy odwagi myślenia i pokory działania,
życzymy wielu pięknych lat, pełnych łask i miłości.

Członkowie Klubów „Tygodnika Powszechnego”



KLUBYGDNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA



Warszawa

Wielce Szanowny Jubilacie, Księżu Redaktorze,

z okazji jubileuszu 90-lecia urodzin pragnę podziękować za działanie na rzecz rozwoju duchowego i intelektualnego mieszkańców Warszawy i całej Polski. Szacunek dla kultury i historii, otwarty dialog między różnymi grupami społecznymi oraz wyznaniem religijnym to postawa, którą obserwujemy na co dzień. Angażując się w życie społeczne, wspierał Ksiądz nie tylko wierzących, ale wszystkich mieszkańców – niezależnie od wyznania, oferując wsparcie moralne oraz działanie na rzecz wspólnego dobra. Dziękuję za nieustępliwość w kwestii budowania dialogu, pracę ponad podziałami, a także odwagę i wytrwałość w poszukiwaniu prawdy, za to, że w centrum tych działań zawsze pozostaje Człowiek.

„...jeżeli chcesz ocenić jakąś sprawę, nie podchodź do niej z gotową odpowiedzią.” to słowa z „Vademecum”, które wymagają od nas, czytelników, otwartości, krytycznego myślenia i uczciwych poszukiwań. Wymagają również odwagi do przyznania się przed sobą i innymi, że wobec wielu spraw i tragedii jesteśmy bezsilni. Towarzyszyć, być obok – tego uczymy się najpełniej w relacji z drugim człowiekiem. To odpowiedź na wyzwanie naszych czasów – wskazówka, jak wspierać osoby, które dzisiaj doświadczają konfliktów i wojen.

W ciągu tych dziewięćdziesięciu lat wpłynął Ks. Redaktor na życie wielu osób, zostawił trwały ślad w ich sercach i umysłach. Dziękujemy za to otwarcie na różnorodność poglądów, za gotowość do słuchania innych i zachęcanie do budowania porozumienia w spolaryzowanym społeczeństwie, a także uczenie nas tolerancji i otwartości na dialog międzykulturowy.

Nigdy także nie uciekał Ksiądz od trudnych pytań dotyczących Kościoła. To postawa, która świadczy o wielkim zaangażowaniu, trosce

i odpowiedzialności. Przed laty wspominał Ksiądz, że Jan Paweł II miał odwagę stawiać pytania chrześcijanom o rolę i rozumienie urzędu papieskiego: który zamiast łączyć mógł się również przyczyniać do pogłębiania podziałów. Zachęcał do rozmowy. Zmian. Zwracał uwagę na wartość dialogu, budując mosty między osobami o odmiennych poglądach czy przekonaniach. Tak jest do dzisiaj.

Współczesny świat dąży do tego, żeby człowiek miał ugruntowaną opinię na każdy temat. Jednocześnie nie daje się nam narzucić do tego, jak rozmawiać z innymi mimo różnic. W tej sferze Ksiądz również daje nam wskazówkę, odważnie podejmując dialog z innymi. Pokazuje swoim działaniem, że pokora i chęć wysłuchania każdego głosu to nie jest uległość, ale droga do zrozumienia własnych przekonań i postaw. W obliczu współczesnych wyzwań społecznych umiejętność stawiania zwłaszcza tych trudnych pytań, umożliwia dalszy rozwój i inspirowanie do lepszego zrozumienia ludzkiej różnorodności. To wskazówka dla kolejnych pokoleń liderów i myślicieli.

Szanowny Jubilacie, Twoje życie jest dowodem na to, że prawdziwe szczęście i spełnienie znajdujemy w drodze, a zadawanie pytań, poszukiwanie prawdy przybliża nas do Człowieka. Życzę, aby kolejne lata były pełne zdrowia, spokoju i satysfakcji z pełnionej misji. Jestem przekonany, że Ks. Redaktor będzie nadal inspirować kolejne pokolenia do działania na rzecz dobra wspólnego.

Niech te życzenia urodzinowe będą wyrazem wdzięczności za mądrość, posługę duszpasterską oraz wkład intelektualny w budowanie świadomości wielu ludzi, także warszawiaków i warszawianek, którzy mieli i nadal mają szczęście móc z tego czerpać.

**Prezydent m.st. Warszawy
Rafał Trzaskowski**



GDAŃSK

**Czczigodny Księżu Redaktorze
Piękny jubileusz świętujesz, Drogi Księżu Adamie!**

Przesyłam z Gdańska – w imieniu gdańszczanek i gdańszczan oraz własnym –
wyrazy najgłębszych szacunku i wdzięczności.

Czego Ci życzyć, Drogi Jubilacie? Trudne to zadanie, bo każde życzenie z dedykacją dla Ciebie
jest właściwie życzeniem dla nas samych. Żyj nam jeszcze długie lata, bo trzeba nam autorytetów.

Zachowujemy Cię tu w życzliwej pamięci. Ostatni raz spotkałeś się z nami pięć lat temu.
Przyjechałeś do Gdańska na Święto Wolności i Praw Obywatelskich z okazji 30. rocznicy
pierwszych częściowo wolnych wyborów. To był słoneczny dzień, żar lał się z nieba,
a mimo to Hala Debat w Strefie Społecznej wypełniła się po brzegi.

Radziłeś wtedy, żeby wyzbyć się strachu wobec inaczej myślących, nie przybierać postawy
agresywno-obronnej, nie osądzać, nie przypisywać złej woli i złych intencji.
A jednocześnie mieć odwagę, bo nie da się przejść przez życie, żeby nikomu się nie narazić.
Cytowałeś Jacka Kuronia: „Jeśli chcesz się wszystkim podobać, to się zapisz do orkiestry dętej”.

Publiczność pożegnała Cię, drogi Jubilacie, kilkuminutowymi oklaskami na stojąco.

Brawa nie milkną!

Wciąż dziękujemy za świadectwo życia, słowa prawdy i głos sumienia.

Nie mamy serca namawiać Cię na podróż do dalekiego Gdańska,
ale wiedz, że masz tu wielu wiernych przyjaciół i otwarte zaproszenie.

Bogu dzięki, że jesteś!

I Bogu dzięki, że nie grasz w orkiestrze dętej!

Aleksandra Dulciewicz
prezydent Gdańska



Ksiądz Adam Boniecki podczas spotkania w Hali Debat, Gdańsk, 3 czerwca 2019 r.



Czcigodny Księżu Adamie! Drogi Jubilacie!

Z okazji tego wspaniałego jubileuszu, jakim są Twoje 90. urodziny, pragnę – w imieniu własnym i mieszkańców Sopotu – złożyć Ci najlepsze życzenia zdrowia, pogody ducha i pomyślności na wiele kolejnych lat pięknego życia.

Dziękujemy za Twoją mądrość i przenikliwość, za wierność zasadom, otwartość na zmieniający się świat i wiarę w to, że da się go naprawić. Dziękujemy, że kierujesz naszą uwagę na to, co ważne, a nierzadko ulotne, bo przecież: „rzeczywistość czasem przerasta najśmielsze oczekiwania. A my tak bywamy przywiązani do swoich idei, że przegapiamy rzeczywistość”.

Bądź nadal naszym drogowskazem, przykładem dobrego i szlachetnego życia.
Prowadź swoim mądrym słowem, pomagając omijać pułapki współczesnego świata.
I obyś miał zawsze zdrowie, siły i energię, by móc o tym mówić i pisać.

Magdalena Czarzyńska-Jachim
Prezydentka Sopotu

Drogi Księżu Redaktorze, Księżu Adamie,

składamy najserdeczniejsze życzenia zdrowia, pogody ducha i optymizmu
na dalsze szczęśliwe lata z okazji 90. urodzin!

Świętujemy w tym roku wyjątkowy, symboliczny jubileusz – świadectwo bogatego,
pełnego doświadczeń życia charyzmatycznego człowieka,
którego wieloletnia działalność dziennikarska, publicystyczna i duszpasterska
kształtuje postawy obywatelskie, intelektualne i moralne pokoleń Polaków.

Chcemy z całego serca podziękować Księdzu za odwagę w podejmowaniu trudnych tematów,
szerzenie wartości chrześcijańskich, humanistycznych i europejskich,
z troską o sprawy ojczyzny i rodaków, za szczerość i pokorę, za którą skrywa się człowiek
o niezwykłym wnętrzu i wielkim autorytecie. Człowiek, który od lat wspiera innych i upowszechnia
system wartości oparty na szacunku, zrozumieniu i tolerancji.

Księżu Adamie, dziękujemy za wszystko, co osobiście Księdzu zawdzięczamy!

Z wyrazami najgłębszego szacunku
Agnieszka i Wojciech Kostrzewa



Drogi Księżu Adamie!

Z okazji wspaniałego jubileuszu Twoich 90. urodzin życzymy, żeby każdy Twój dzień był wypełniony radością i ludzką życzliwością. Żyj nam długo w zdrowiu, sile, pokoju serca, a wiara, której świadkiem jesteś dla tak wielu ludzi, niech Cię prowadzi i pozostaje światłem na Twojej drodze.

Dziękujemy za Twoją – jako wieloletniego autora i przyjaciela – obecność pośród nas, za Twoje mądre słowa, dobroć, humor, przenikliwość, postawę pełną zarazem pokory, dystansu, jak i odwagi oraz zaangażowania w sprawy Kościoła i świata.

Twój głos, który porusza serca i umysły czytelników Twoich książek, jest dla nas bardzo ważny, a możliwość wsłuchiwania się wń jest dla nas prawdziwym przywilejem.

Niech spotyka Cię samo dobro!

Z wyrazami serdecznego szacunku
Przyjaciele z Wydawnictwa i Miesięcznika Znak



DOBRY SŁUCH

Szanowny Księżu Redaktorze,

jesteś żywym przykładem, że wiek to tylko liczba, a umysł i dusza mogą pozostać młode, pełne pasji i zapału do życia.

Dziękujemy Ci za to, że dzielisz się z nami swoimi przemyśleniami, że pytasz w naszym imieniu i w naszym imieniu odpowiadasz na trudne pytania o człowieczeństwo. Niech ta droga, którą kroczysz, zawsze będzie oświetlona Bożą Łaską i prowadzi Cię do kolejnych intelektualnych przygód.

Wszystkiego najlepszego z okazji dziewięćdziesiątych urodzin!



Drogi Jubilacie,

Z okazji Księdza urodzin składamy najserdeczniejsze życzenia zdrowia, pomyślności i wielu sił każdego dnia. Pańskie życie i działalność są nieocenionym źródłem inspiracji dla wielu ludzi nie tylko w Polsce.

*Dziękujemy za Pańskie zaangażowanie, mądrość i troskę o drugiego człowieka oraz zaangażowanie w sprawy społeczne, które na co dzień przejawiają się w Pańskiej pracy.
Jest Ksiądz wzorem postawy moralnej, otwartości na dialog i głębokiej wiary, która prowadzi ku lepszemu jutru.*

Niech każdy dzień obdarza Księdza zdrowiem, radością i pokojem ducha.

Z wyrazami szacunku

Prezes Zarządu
Unii Metropolii Polskich

Tadeusz Truskolaski
Prezydent Miasta
Białegostoku



WYŻSZA SZKOŁA
INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
z siedzibą w Rzeszowie

Czcigodny Księżu Jubilacie,

Słowa napisane i wypowiedziane przez Czcigodnego Jubilata towarzyszą już kilku pokoleniom i pozostaną ważne także dla przyszłych pokoleń. To słowa, które zmuszają do wielu refleksji i uczą, że nawet pozostając w niezgodzie na wiele aspektów otaczającej nas rzeczywistości, można żyć w zgodzie z samym sobą.

Przesłanie Księdza pozostaje dla nas źródłem głębokiej refleksji, zarówno intelektualnej, jak i humanistycznej, uczy bowiem otwartości na innych i zrozumienia odmiennych doświadczeń oraz perspektyw. Dziękujemy za nieustanne zachęcanie nas do myślenia i dialogu z innymi, to niezwykle cenne i potrzebne dziś podejście.

Z okazji urodzin składamy Księdzu Jubilatowi serdeczne życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności. Życzymy również niesłabnącego zaangażowania w obronę najważniejszych ludzkich wartości, a także jasnych, pozytywnych myśli oraz jeszcze wielu słów, którymi będzie się chciał Ksiądz z nami podzielić.

Jeszcze raz wszystkiego najlepszego.
Pozostajemy z wyrazami szacunku, ad multos annos!

Rektor Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie

dr hab. Andrzej Rozmus,
prof. WSiIZ

Wiceprezydent Wyższej Szkoły
Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie

dr Wergiliusz Gołębek

Prezydent Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie

dr hab. inż. Tadeusz Pomianek,
prof. WSiIZ



Księżu Adamie, Drogi Jubilacie,

w imieniu Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN
i całej społeczności skupionej wokół naszego Muzeum przyjmij,
prosimy, życzenia pokoju ducha i niezachwianego optymizmu.

Gdy przed kilku laty składaliśmy Tobie na tych łamach życzenia
urodzinowe, żyliśmy w innej Polsce, innym świecie.
Dziś, gdy targają nim największe niepokoje od czasu minionej wojny
światowej, tym bardziej potrzebujemy Twojej mądrości, przenikliwości
oraz pogody ducha – która przywraca proporcje i wiarę w człowieka.

Jesteśmy zaszczyceni, że darzysz nasze Muzeum sympatią i troską.

Zgodnie z tradycją żydowską życzymy Tobie 120 lat w zdrowiu i pokoju.
Niby coraz bliżej, ale pamiętaj, że to jeszcze szmat czasu, a jeden z nas
zawsze będzie Cię tytułować młodszym kolegą i zapewnia Ciebie,
że chciałby móc jeszcze przez wiele lat zaczynać czytanie
„Tygodnika” od komentarzy księdza Adama Bonieckiego,
kardynała Grzegorza Rysia i rabinki Magdaleny Kordowicz.
Pozostań zatem niepoprawnym optymistą, my też się postaramy.

Ad Me'ah Ve'esrim Shanah

Marian Turski

Przewodniczący Rady Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN

Zygmunt Stępiński

Dyrektor Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN



Herbewo

Szanowny Księżu Adamie,

słowa Psalmisty wydają się mówić o Księdzu:

*Zasadzeni w domu Pana, kwitną na dziedzińcach naszego Boga.
Jeszcze w starości wydają owoc, są w pełni sił i świeżości.*

Psalm 92,13-14

Z okazji 90. rocznicy urodzin życzymy,
aby Duch Święty inspirował każdą Twoją myśl
równie skutecznie jak dotąd.

Życzymy również wielu sił i zdrowia.
Cieszymy się Twoją obecnością, dobrocią i mądrością,
którą z entuzjazmem dzielisz się z nami.
Za to jesteśmy bezgranicznie wdzięczni.

Andrzej Barański
wraz z zespołem firmy Herbewo

100-lecie
HERBEWO
1924 - 2024



Serdeczne życzenia urodzinowe dla ks. Adama Bonieckiego!

Z okazji 90. urodzin życzymy zdrowia, wielu sił, niesłabnącej pogody ducha oraz wielu mądrych słów, na które zawsze czekamy. Zarówno tych wypowiedzianych, jak i zapisanych na kartach licznych publikacji, a także na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

Pozostajemy wdzięczni za przyjaźń, gotowość do bycia z człowiekiem i myślenia o człowieku oraz za nieprzeciętne poczucie humoru. Dziękujemy za cenny i ważny głos, zabierany zwłaszcza w sprawach trudnych.

*Ci, co zaufali Panu, odzyskują siły,
otrzymują skrzydła jak orły:
biegną bez zmęczenia, bez znużenia idą.*
(Iz 40,31)

Przyjaciele z Wydawnictwa WAM

Szanowny Księżu Jubilacie Adamie,



nie mieliśmy okazji poznać się osobiście.

A jednak mamy wrażenie, jakbyśmy znali się bardzo dobrze i to od wielu lat. Wszystko dzięki Twoim publikacjom.

Twój intelekt, wolność ducha, jak również poczucie humoru zawsze były dla nas darem. Prawdziwym drogowskazem. Twoje przemyślenia od lat stanowią dla nas inspirację. Zarówno jeśli chodzi o życie duchowe, jak i funkcjonowanie w biznesie.

Staramy się pamiętać o wielu Twoich refleksjach związanych z tym, co robimy na co dzień. W naszej pamięci w szczególny sposób ciągle wybrzmiewają Twoje słowa, że „dojrzałość świata biznesu polega na odkrywaniu, że nie na wszystkim trzeba zarabiać”, jak również myśl, że „najbardziej liczy się to, czego nie można policzyć”.

Jesteś wybitnym dziennikarzem! Jesteś wielkim kapłanem!

Z okazji Księdza urodzin życzymy pogody ducha, spokoju i wytrwałości. Przede wszystkim zaś niesłabnącej radości w głoszeniu Słowa Bożego. Sobie zaś, by kapłanów pokroju Księdza było w polskim Kościele jak najwięcej.

Mateusz Pawlicki, Janusz Stefański, Marek Kurzawa
Prestige MJM



Szanowny Księżu Adamie,

Jesteś niezwykłym człowiekiem. Duchownym, publicystą, myślicielem społecznym.
Mądrym, niepokornym, zabawnym, szczerym. Autorytetem.
Twój głos zawsze skłania do refleksji oraz poszukiwania „tego drugiego” punktu widzenia.
Twoje milczenie jest bardziej wymowne niż wrzawa wielu mediów.
W obecnych czasach ekstremalnego indywidualizmu,
materializmu, radykalizmu, podziału, hejtu
jesteś jednym z nielicznych, którzy mimo wszystko próbują o tym rozmawiać.
Wypychasz to wszystko na wierzch.
Próbujesz zrozumieć i przedstawić inny punkt widzenia, by nie dzielić – a łączyć.

To jest prawdziwy przykład kapłaństwa, które kieruje się miłością, wsparciem i życzliwością dla drugiego człowieka. Twoja posługa duszpasterska przynosi ulgę i nadzieję wielu osobom, dodając im sił w trudnych chwilach. Jesteś drogowskazem wskazującym kierunek rozwoju człowieka – nie tylko ten duchowy, ale i ten czysto ludzki.

Dziękujemy, Księżu Adamie, za Twoje codzienne oddanie,
poświęcenie oraz nieustanne podejmowanie działań na rzecz dobra innych.
Dziękujemy za Twoje mądre i skłaniające do refleksji teksty, często o złożonych i trudnych zagadnieniach, które bywają bolesne, ale zawsze trafiają w sedno, demaskując ludzką naturę.

Z okazji Twoich 90. urodzin przyjmij życzenia,
by Bóg nieustannie obdarzał Cię swoją łaską i błogosławieństwem
w każdej chwili Twojej duchowej posługi i sprawiał, by Twój dostępny dla zwyczajnego obywatela język nieustannie inspirował do lepszego zrozumienia bliźniego.

Drogi Księżu Adamie, dziękujemy Tobie za to,
że szerzysz to, co w życiu najważniejsze – Miłość.

Dorota i Wojciech Pawłowscy
z Rodziną



Doświadczamy piękna w ludzkiej postaci,
obdarowywani nieprzerwanie mądrością,
dobrocią, delikatnością, współczuciem,
rozumieniem, wrażliwością, inteligencją
i poczuciem humoru.

Obecność Księdza Adama Bonieckiego
jest szczęściem. W naszym życiu zawsze miał głos,
niosący przekaz pełen miłości, akceptacji i łagodności.

Szanowny Jubilacie, dziękując za dar Twojej obecności w naszym życiu,
odwdzięczamy się uważnością wobec drugiego człowieka,
do której nieustannie nas zachęcasz i której nas uczysz.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran

WSPÓŁWYDAWCA



**Fundacja
Tygodnika
Powszechnego**

MECENASI



PARTNERZY 90.BONIECKI



OLGA

Drenda:

Konsument obiadu



„EKSPONOWANE ZDJĘCIA SĄ DOBRE, ALE wpisy do książki jeszcze lepsze” (19. IX.77, podpis nieczytelny), „KTO POZWOLIŁ FOTOGRAFOWAĆ MOJĄ I KIEDY ŻONĘ – J.S.”, „Ładna dziś pogoda. A tak w ogóle to fajnie. Delegacja TME Kąty”... To kilka wpisów z książki

gości towarzyszącej głośniejszemu w Krakowie wystawie „Venus”, które w swoich „Nikiformach” zebrał Edward Redliński. Niedawna wiadomość o śmierci tego pisarza sprawiła, że przypomniałam sobie o tym zbiorze słownego drobiazgu, który można chyba nazwać literaturą z przypadku. Skargi konsumentów, katalog epitafiów, zgłoszenia patentowe, dość wstrząsające wypisy z pamiętnika kobiety, która dokumentowała intymne spotkania z kochankiem oraz spożyte z nim przekąski. Uderza jawność adresów i nazwisk, wówczas standard, lecz i tak za każdym razem jestem tym nieco zszokowana (warto byłoby opisać, co w powszechnym obyczaju zmieniło RODO). Redliński zgromadził tekstowe „obiekty znalezione”, które – jak wyjaśniał – działały jak antidotum na „nieznośną literackość literatury”, jej nieprzystawalność do żywej mowy z jej nieoczekiwanymi wolnami, omyłkowością, niespójnością.

Czasami obserwuję powtórkę z rozrywki. Istnieje pokaźny zasób popularnej i docenianej literatury, która – być może przez ambicję wyjaśniania świata albo przekonanie o konieczności kształtowania właściwych postaw – dąży do neutralnej poprawności, przezroczystości stylu, przez co staje się płaska, a scenom

*Amatorski
internet znika
jak litera
w oknie tej
kawiarenki.*



OLGA DRENDA

i wypowiedziom towarzyszą rozbudowane didaskalia. To sprawia, że nie tylko bohaterowie, ale i narrator zaczyna mówić językiem vlogów z YouTube, poradników czy niestety uproszczonych, rozwodnionych nauk społecznych. I nie jest to najwyraźniej zabieg celowy, lecz po prostu nowy język podstawowy. W prozie – mimo dobrych zamiarów – rezultatem bywa niestety letnia kaszka z mleczkiem, teksty podobne do siebie i podobnie umiarkowane.

Oczywiście, nie można uznać, że zupełnie nikt tak nie mówi na żywo. To, co literaturę czyni nudną od nadmiaru kawy na ławę, w zwyczajnej mowie zaskakuje niedopasowaniem. I tak za sprawą popularności poradników i edukatorów internetowych w potocznych rozmowach w autobusie czy na ulicy można czasem zasłyszeć, jak ktoś w zwyczajne zdanie wtrąca „on ma nieprzepracowaną traumę” albo „wydzieliła mi się dopamina”. To nieco przypomina częste w czasach Redlińskiego próby pisania językiem urzędowym, sztucznym z zasady. W rękach niewprawionych w tym fachu użytkowników owocowało to niespodziewaną poezją w rodzaju frazy „będąc konsumentem obiadu”. Internet wydaje się terenem dobrym dla początkujących obserwatorów przemian języka w użytku; nieraz zastanawiam się, jak to się dzieje, że archaiczne, wygrzebane z kufierka zwroty doczekują się tam niespodziewanej kariery (na przykład „przeorać” albo „piewca”; na żywo nikt tak nie mówi, zaś w internecie – owszem). To jednak pułapka, nie wiemy bowiem, jak dużą część ruchu w sieci generują dzisiaj konta fikcyjne, czyli takie, które niewątpliwie warto badać, ale trudno posądzać o posługiwanie się mową żywą. Wiele internetowych „nikiform”, którymi bulgotała jeszcze niedawno sieć – copypasty, gafy, popisowe błędy, mimowolne bon moty – znów tonie dzisiaj w płaskim tekście maszynowym, pisanym pod łaskawość algorytmów.

Do Edwarda Redlińskiego warto wracać nie tylko dla nauki czujności. W swoich powieściach rysował karykaturalną kreśką, co nie musi trafiać do każdego, ale pokazuje coś ważnego. Roch Sulima w szkicu o „Konopielce” wytropił u tego pisarza zjawisko, na które warto się również uczulić obserwując rzeczywistość poza literaturą: wrogą teatralność relacji międzyludzkich, która prowadzi do tego, że ludzie zaczynają odgrywać najgorsze cudze wyobrażenia na własny temat. Ten wątek u Redlińskiego pojawia się nieraz, również i w takiej wersji, w której ktoś we własnej karykaturze znajduje upodobanie i zamienia ją w swoją zwyczajną twarz. Twarz ta zapewne może przybierać również kształt wygładzony i pozornie nieszkodliwy. To coś, z czego warto zdawać sobie sprawę, zwłaszcza dziś, gdy czasem uważamy, że panuje pełna swoboda wypowiedzi i każdy może wyrzucić z serca i wątroby to, co na nich leży – albo że wystarczy mówić ładnie, by stać się ładnym i od środka. ©

Olga Drenda jest etnologą, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

PAWEŁ

Bravo:

Eksodus marzycieli



PÓŁ ROKU TEMU GOOGLE DODAŁ TERMIN „palestyński” do listy kategorii, jakimi się może określić restauracja w wyszukiwarce i na mapach. Wcześniej do wyboru były słowa „bliskowschodnia” lub „izraelska”. Nie zwracałem wam tym w zimie głowy, mój biedny mózg

przyswaja przy lekturze prasy branżowej tuziny równie zbędnych dla was wiadomości. Zbędnych, bo w Polsce lokale z tamtej części świata są radośnie eklektyczne. No i mało kto z nas ma kompetencje, by docenić różnice etniczne. Nawet obecni mocno w krakowskim street foodzie Marokańczycy są w powszechnej świadomości sprzedawcami wielosmakowych falafli i nikt sobie głowy nie zwraca tym, że od Rabatu do Jerozolimy są cztery tysiące kilometrów.

Do Jerozolimy, gdzie podziały na to, co izraelskie, a co palestyńskie, co żydowskie, a co arabskie, wydają się z daleka pogmatwane i nierozplątywalne, w sumie mało istotne dla gościa skubiącego przyjemne *meze* przy stoliku z widokiem na Wawel czy Notre Dame. Tymczasem tam są dla ludzi podziałem najprostszym – na życie i śmierć. Trudno im wtedy słuchać mądrych uwag, że prawda jest skomplikowana.

Przez czternaście lat próbowali ją komplikować na przykład Arab Jakub Barhum i Żydówka Michal Baranes w restauracji Majda w wiosce El Rafa, położonej na tyle blisko Jerozolimy, żeby dać się zauważyć przez publiczność otwartą na międzykulturowe kombinacje. Kuchnię mieli dość prostą i podaną normalnie – dania wyglądały jak obiad, a nie jak performans późnego postabstrakcjonisty, wszystko jak z obrazków w którejś z książek Yotama Ottolenghiego – ale jednocześnie pomieszaną, nieraz wręcz transgresywną. Na przykład sławne falafle z krewetek. Chętnie bym zjadł taką trefną kpinę z „tradycji”, odtwarzając w sobie zaskoczenie podobne do tego, jakie musieli przeżywać wiek temu aszkenazyjscy Żydzi, którzy nagle spotykali te dziwne kulki z ciecierzycy (a nie z mąki macowej) i wchodzili do kuchni pachnących oliwą, a nie gęsim smalcem.

Majda się zamknęła. Z niejakim hukiem, bo zdążyła zostać rozsławiona przez rzeczonego Ottolenghiego, który nazwał ją jedną z ulubionych knajp w dawnej ojczyźnie, a Anthony Bourdain też odwiedził ją w jednym z odcinków „Miejsc nieznanych”. Odkąd zaczęła się wojna, klienci przestali przychodzić. Wszelkie niejednoznaczności muszą poczekać na lepsze czasy. Właściciele wynieśli się do Francji pod Lyon, uznawszy, że wszyscy dookoła powariowali, a oni chcą po prostu wieść normalne życie. Będę uważnie śledził, czy coś nowego tam otworzą, bo dobrze wiem, że jak się raz zacznie przygodę z knajpą, to



nie można przestać. Zresztą, nie oni jedni uciekli. Trwa eksodus uzdolnionych kucharzy i restauratorów, bo od kiedy trwa wojna, biznes mocno kuleje. Niezależnie bowiem od goryczy, z jaką żydowsko-arabska para opowiada o beznadziejnej sytuacji takich jak oni marzycieli, to biznes gastronomiczny w Izraelu w ogóle ma bardzo ciężko, jak to na wojnie.

To bowiem nie tylko kwestia budowania niepotrzebnych nikomu mostów, ale i życia w przyczajeniu i odruchu odcinania w niepewnych czasach tego, co zbyt kosztowne (Majda to nie było tanie miejsce). Gastronomia, o ile jest też trochę sztuką i teatrem, o tyle zależy od pajęczego w swej delikatności układu czynników; coś najpierw działa dobrze, a potem pada, by powstać w innym wariancie dwie ulice dalej czy za siedmioma rzekami.

Nie zrozumiemy tego, patrząc z oddali, tak jak nie jesteśmy w stanie zrozumieć racji obu skrajnych stron tamtej wojny. A zwłaszcza ludzi zakleszczonych gdzieś pośrodku, niemających żadnego wyjścia. Dlatego czcze, wręcz nieprzyzwoite wydają mi się puste gesty i protesty w miastach Zachodu, pełne źle ułożonego zapachu. Jedzmy falafle i wycierajmy chlebkiem humus z dna miseczki, nie wnikając w to, czy ktoś tu komuś coś zawłaszczył i „czyje” to jest. A jeśli chcemy coś naprawdę zrobić... cóż – rozumiała dla nas krzywdą, której dałoby się nieco zaradzić, dzieje się nieraz dosłownie rzut kamieniem od okupowanej uczelni.

Ziemniaki śródziemnomorskie

Nie mam pod ręką „Obfitości” Ottolenghiego, ale to chyba w jego przepisie do szakszuki dodaje się szafranu? W każdym razie od kiedy zacząłem tak robić, żyje mi się o wiele lepiej, zwłaszcza w poranki po ciężkiej zmianie w barze. Ale to jedyne, co potrafię robić ściśle „bliskowschodniego”. Za to ten boleśnie potargany wojną świat inspiruje do wielu aromatycznych i „ciepłych” potraw, takich jak te ziemniaki.

1 kg ziemniaków **2 cebule** pokrojone w piórka
2 ząbki czosnku **łyżka** kaparów wyptukanych z soli
3 łyżki czarnych oliwek (mogą być z pestką)
puszka siekanych pomidorów ■ sól ■ oregano

Ziemniaki szorujemy, nie obieramy, kroimy w wąskie cząstki. W misce łączymy z resztą składników, solimy, sypimy dużo oregano, na koniec parę łyżek oliwy. Pieczemy w brytfance szczerze namaszczonej oliwą ok. 40-50 minut, parę razy mieszając. ©P

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest tłumaczem i redaktorem.

Współautor „Kuchni Dantego”, autor „Czekolady i kapuśniaku” (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).



Ø ZNACZY WYSPA

Wiele lat temu sercem Tromsø była budka telefoniczna.
Telefon dzwonił i odbierał ten, kto stał najbliżej.
W ten sposób ludzie się znajdowali i zapraszali na domówki.

TEKST I ZDJĘCIA: **ILONA WIŚNIEWSKA** Z TROMSØ

BIAŁE NOCE NIE POTRZEBUJĄ SNU. CZEKALIŚMY NA NIE PRZEZ wiele miesięcy, kiedy słońce w ogóle nie pojawiało się nad horyzontem, a powieki ciążyły mimo kofeiny i regularnej aktywności fizycznej. Czekaliśmy na te kilka tygodni w roku, kiedy w cieniu jest zimno tylko wieczorami, a skóra nie poci się mimo ostrego słońca. Czekaliśmy na kwitnące bzy, łubiny i mewie piskłeta na dachach.

Kiedy w maju sypał śnieg, fantazjowaliśmy o wyprowadzce na południe, ale zapomnieliśmy o niej tuż po tym, jak w czerwcu zazieleniły się drzewa. Lato w Arktyce to jeden dzień, mgnienie oka, którego nie chce się przeoczyć. Mówi się czasem: wypisz się po śmierci. My tu mówimy: wypisz się zimą.

Mieszkam w Tromsø od sześciu lat i też zdarza mi się czuć nocami. To nie tak, że zmrok kończy się gwałtownie i któregoś dnia słońce nagle zaczyna po prostu świecić z północy. Gwiazdy i księżyc gasną stopniowo, w dzień polarny wchodzi się łagodnie do momentu, aż nocny błękit nie pozwala już zasnąć bez czarnych zasłon lub folii aluminiowej na szybach.

Teraz jest początek lipca, dochodzi pierwsza w nocy, siedzę na balkonie i patrzę na rozświetlone góry w dolinie Tromsdalen. To po drugiej stronie miasta. Miasto jest w dole, wiem, że tam jest, ale nawet go nie słyszę, bo w lipcu połowa mieszkańców wyjeżdża na południe i zostawia po sobie dużo powietrza. Jeszcze godzinę temu po zboczu góry



o nazwie Fløya piął się żółty wagonik, a w tym samym czasie zjeżdżał czerwony. Mijały się mniej więcej w połowie wzniesienia, jak to robią codziennie od rana do północy.

Kolejka gondolowa Fjellheisen to jedno z tych *must see* w mieście, które z roku na rok staje się coraz większą atrakcją turystyczną. Przyjeżdża się tu wypatrywać zorzy polarnej, wielorybów, śniegu z prawdziwego zdarzenia, niezdeptanego horyzontu. Wagonik pokonuje dystans w cztery minuty i drenuje kieszeń, ale na szczyt można też dostać się kamiennymi schodami położonymi kilka lat temu przez nepalskich Szerpów. Tysiąc dwieście trzy stopnie prowadzą do tarasu widokowego, restauracji i placu zabaw dla dzieci. Stamtąd można już iść na sam szczyt Fløi i dalej przez kolejne, niekończące się góry, bez obaw, że na mapie zabraknie pofałdowań.

Z mojego małego tarasu widokowego dostrzegam kilkanaście ruchomych punktów. Może to turyści, którzy spóźnili się na ostatnią kolejkę, a może miejscowi, co też nie mogą spać. Stają na krawędzi skał, a sami wyglądają jak kamienie, pewnie robią zdjęcia: #arcticsummer #tromsø #mood. Bezsensowność bywa zaraźliwa. Arktyka to też podobno łatwo rozprzestrzenialny wirus. Patrząc na zielone góry, na których kładą się nocne promienie i tylko gdzieś tam w załomach skał widzę błyszczące płyty starego śniegu. Wcześniej bywało ich więcej, ale i tutaj lata robią się coraz dłuższe i cieplejsze. W zeszłym roku przez dwa miesiące nie zamykaliśmy drzwi na balkon. Pokolenie przed nami w ogóle nie miało balkonów. Budowało się praktycznie, jak najdalej od morza i wiatru. A teraz wielkie okna, tarasy, laurówisnie. Wszystko się zmienia, tylko cykl światła pozostaje ten sam. I nie ma na niego adekwatnych słów. Wystarczy, że na początku trudno się przyzwyczaić, potem nie można przestać

patrzeć, a w końcu już nie można bez niego żyć. Po piętnastu latach za kołem podbiegunowym jestem gdzieś pomiędzy drugim a trzecim.

Światło, towar luksusowy

Ø to znaczy wyspa. Miejscowości kończące się tą literą często, ale nie zawsze, znajdują się na wyspach. Tromsø – tak. Bodø – nie. We współczesnym norweskim to słowo brzmi øy, ale nazwy miejscowe nadal miewają duńską formę, która przypomina o długiej zależności od południowych sąsiadów. Tromsø to trzecie co do wielkości miasto Arktyki (po Murmańsku i Norylsku), kiedyś centrum wielorybnictwa, punkt wyjścia największych ekspedycji polarnych, dziś istotny ośrodek akademicki, turystyczna – fatalne słowo – destynacja.

W ostatnich latach dalsza północ Norwegii pustoszeje i centralizuje się tutaj, przez co miasto jest ciągłym placem budowy, a ceny nieruchomości nierzadko przebijają te w Oslo. Najdrożej jest na południu wyspy, bo tam po nocy polarnej najwcześniej wraca słońce. Światło to tutaj towar

→

Nocami czuwamy. Tromsø, 10 lipca 2024 r.



→ luksusowy. Niektórzy nawet wycinają wiekowe drzewa wokół swoich domów, żeby wpadało go więcej. Od miasta odchodzą dwa długie mosty: Sandnessbrua na Kvaløye – wyspę wielorybów i Tromsøbrua na kontynent z doliną Tromsdalen i kolejką. Wygląda, jakby Tromsø kurczowo się ich trzymało, by nie zatonać pod naporem ludzi i budynków.

Wiele razy stałam na Fløi nocą i przyglądałam się miastu z oddali. Ci, którzy znajdują się tam teraz, poza mostami widzą na pierwszym planie podłużny łąd, łagodny na południu, wznoszący się na środku i łagodnie falujący ku północy. Są miejsca soczyste zielone i gęste od zabudowań. Z daleka ta układanka drewnianych domów i bloków wygląda momentami jak porzucona partia w tetrisa. Jakby tylko część zabudowań powstała pod jakimkolwiek nadzorem. W starym centrum najlepiej widać, w jakich warunkach mieszkali północni Norwegowie, nim odkryto złoża i kraj się wzbogacił. Dzisiaj w tych mieszkaniach żyją głównie cudzoziemcy, a miejscowi przenoszą się do wielkich mieszkań z przeszklonymi ścianami. Jedna z moich przyjaciółek wynajmuje poddasze w starym domu w centrum i na cały metraż nie ma ani jednego kąta prostego. Na dodatek do ściany jej sypialni dobudowano szczelnie inny budynek i w jedyne okno wciśnięto wełnę mineralną, tak że nie da się go otworzyć.

Tę łatwopalną zabudowę regularnie w historii nawiedzały pożary, ostatni wielki w latach 60. zeszłego wieku, kiedy na dzień przed obchodami święta narodowego 17 maja ogień strawił dużą część centrum. Mieszkańcy świętowali mimo to, na dogasających zgłiszczach, w błocie z dobytku, opowiadał mi świadek wydarzeń. Kilka budynków wskrzeszono, po wielu zostały skwerki i podwórka. W 2024 r. drewniana oryginalna zabudowa mieszka się tu z potworkami z lat 70. i współczesną patodeweloperką na turystyczny krótki wynajem, a mimo to i tak wyspa jest za mała i brakuje ładu. Dospływają więc kamieni, utwardzają, zbudowali nową elegancką dzielnicę, stawiają wysokie bloki na wodzie. Często tuż przed oknami tych, którzy niegdyś kupili mieszkania na skraju wyspy z widokiem na morze.

Z perspektywy Fløi ta pędząca nowoczesność wygląda odrobinę mniej brutalnie. Z góry i pod słońce nie widać szczegółów. Również tego, że w Tromsø nie ma zdefiniowanego centrum. Wiele lat temu jego sercem była budka telefoniczna na jednym z placów, gdzie gromadziła się młodzież, której nie było stać na piwo w knajpie. Telefon dzwonił i odbierał ten, kto stał najbliżej. W ten sposób ludzie się znajdowali i zapraszali na domówki. Tromsø jest znane w Norwegii z tego, że niezależnie od pory roku kładziemy się spać ostatni.

Długi bieg w dół

Mieszkam tu od lat, ale nadal zdarza mi się pomylić drogę. Ulice biegną jak chcą, to znaczy jak je w przeszłości wydeptali ludzie i wyjeżdżały wozy konne. Później, kiedy już upowszechniły się samochody, ścieżki zalano asfaltem, ale nadal czasem nieoczekiwanie się urywają. Niektórzy mówią, że tu się chodzi tylko pod górkę. Coś w tym jest, bo z góry dobrze się zbiega, gdy czoło przełamuje środek ciężkości i miękną kolana. Najbezpieczniej zbiega się na palcach. Ten dobry nawyk widać potem po skarpetkach, przetartych głównie na podbiciu.

Dobrze zbiega się też tymi kamiennymi schodami ułożonymi przez Szerpów. Patrzysz pod nogi, omijasz innych na trasie i zasuwasz, utrzymując równowagę na nierównościach. To nagroda za czterdziestominutową wspinaczkę. Jak się dobrze rozpędzę, czasem nawet przebiegam most Tromsøbrua i wyhamowuję dopiero w centrum. A stamtąd do domu znowu stromo pod górkę. Cała wyspa ma około dziesięciu kilometrów długości i można ją przejść w dwie i pół godziny, w zależności od pory roku i wydolności płuc.

W centrum najłatwiej jest pomylić drogę w okolicach portu, gdzie dzisiejszej nocy cumuje wycieczkowiec, dwa lokalne promy łączące miasto z okolicą i kilkanaście jachtów pod międzynarodowymi banderami. Łodzie przypominają, że kiedyś to morze było tu drogą krajową. Statki i promy przewoziły pocztę, zaopatrzenie, ludzi i ryby. Teraz wożą głównie starszych turystów, którzy u kresu życia licznie przyplływają do Arktyki, by upewnić się o galopującym końcu świata. Można ich czasem rozpoznać po identycznych kurtkach z fluorescencyjnymi kapturami, które dostają na pokładzie.

Teraz pewnie też chodzą po mieście, przyglądając się jego nocnemu życiu, ale ani z góry, ani tym bardziej z mojego balkonu tego nie widać. Mijałam ich rowerem kilka godzin wcześniej. Jak zwykle szli grupą nie zauważając chodników. Jedną z pierwszych rzeczy, które pasażerowie statków widzą po zejściu na ląd, jest drewniana konstrukcja o spadzistych ścianach, przypominającą tradycyjne suszarnie do ryb. Takimi stelażami usiane jest całe wybrzeże północnej Norwegii, bo tutejsze zimne wiatry suszą dorsze, a te po wielu tygodniach wędrują w świat jako kulinarny rarytas.

Kąpiel w igliwiu

Suszarnia w porcie nazywa się Pust, czyli oddech i jest pływającą sauną, z której można wskoczyć wprost do morza. Najwięcej chętnych jest zimą, kiedy pomost i metalowe schodki pokrywa gruba warstwa lodu i do wody można się po prostu ześlizgnąć. Teraz latem na wodzie jest sporo oleistych plam po statkach, więc mało kto się kąpie. W Puście oddycha się najlepiej z miejscowymi, bo nie próbują fotografować z układka, nie wytykają palcami rozebranych, chodzimy tam więc czasem ze znajomymi, by wygrzać kości i zahartować ducha. Ja nie potrafię dobrze pływać, więc zazwyczaj wystarczy mi wyschnąć na zimnym powietrzu. W arktycznym klimacie również ludzka skóra wysycha na wiór. Zimą sauna jest podświetlona w tęczę, teraz niknie wśród jachtowych masztów. W turkusowej wodzie pływają ławice małych rybek.

Jedynym miejskim akwenem, który zimą skuwa lód, jest jezioro Prestvannet na wypłaszczonym szczycie wyspy. Latem jest to rezerwat ptaków, zimą lodowisko i miejsce do obserwacji zorzy dla niezmotoryzowanych. Tym, którzy stoją na Fjellheisen, jego tafla migocze teraz w nocnym słońcu. Dla tych z centrum to dwudziestominutowy spacer pod górkę. Dla mnie krótka przebieżka, bo mieszkam w okolicy. Chodzę tam regularnie, by obserwować tańce nurów i przeloty czapli. Zjawia się tam czasem też rudy kot, który wzorem mew przesiaduje na gałęziach drzew. To przy



Storgata, główna ulica Tromsø. 16 czerwca 2024 r.

Prestvannet zaczyna się ta bardziej zalesiona część wyspy. Drzewa nie są wysokie, ale zdarza się okazała sosna, pod którą można się zatopić w ściółce. Nauczyłam się tego od mojej norweskiej znajomej, sześćdziesięcioletniej Hildegunn. Nazywa to *furubad* – *furu*-sosna, *bad*-kąpiel. Po prostu kładziesz się pod drzewem i patrzysz w górę, na powolny ruch gałęzi. Taka kąpiel w igliwiu doskonale oczyszcza myśli, a że nie ma tu zbyt wielu insektów, można się wyleżeć do woli. I dłużej niż w lodowatej wodzie.

Z nocnej Fløi rozciąga się widok na dalsze plany, głównie na wyciosane skały Kvaløi z tym ponad kilometrowym, jeszcze do niedawna najdłuższym mostem w północnej Norwegii. Zbudowano go w latach 70., bo wcześniej garstce ludzi wystarczył prom kursujący kilka razy dziennie. Mia-

stowi czuli się lepsi od przyjezdnych. Starzy mieszkańcy pamiętają jeszcze, że jedni i drudzy nie mogli chodzić tą samą stroną chodnika i że mieli osobne wejścia do kawiarni. Ale to było kiedyś. Teraz jest nas tu prawie osiemdziesiąt tysięcy i reprezentujemy sto czterdzieści narodowości. Przyjeleliśmy, dopłynęliśmy, dojechaliliśmy trasą europejską E-8. Czasem na ulicy co chwilę spotykam kogoś znajomego, innym razem nie kojarzę nikogo. Mam przyjaciół, którzy tak jak ja są skądś. Lubię tu być i jednocześnie z ulgą zamykam drzwi na dłużej. A kiedy czasem wracam latem z gotującego się południa, lubię posiedzieć na tym balkonie i nie zagadywać cizy.

W tym roku od kilku tygodni obserwuję też mewy siwe, które uwiły gniazdo na dachu sąsiedniego domu. Najpierw długo szukały miejsca, potem w końcu jedna nie ruszała się z gniazda ani na chwilę, a teraz już obie nadzorują pisklę, które dziarsko maszeruje po blasze dachu i zaczyna machać skrzydłami. Na początku były dwa, ale pewnie porwały je wrony albo większe mewy. Dorosłe siedzą teraz na lampach ulicznych albo krążą w poszukiwaniu jedzenia. Czasem przysiadają na mojej balustradzie i wtedy przez chwilę patrzymy sobie w oczy.

Dochodzi trzecia, nad górami niespiesznie przesuwiają się pojedyncze chmury z kształtami do wymyślenia, czasem bezgłośnie przejedzie tesla albo nastolatki na elektrycznej hulajnodze wracające z miasta. Czasem ktoś krzyknie z głębi trzewi. Poza tym, tu na górze wyspy, niewiele się dzieje. Nie ma wiatru. A to wiatr o wszystkim decyduje. Często uspokaja się właśnie nocami.

Paryż Północy

Tym razem nie poszłam nocą w góry. Nie poszłam szlajając się do centrum, nie poszłam na Prestvannet. Chcę się nacieszyć tym balkonem, tym widokiem na trzy strony świata. Przedwczoraj dostałam wypowiedzenie wynajmu (właściciel wybrał jednak krótkoterminowy, bardziej dochodowy wynajem) i znowu muszę szukać nowego domu w mieście, które rozumiem, ale do którego nie należę. Dom to ramiona tego, kogo kocham. Ale dobrze będzie też móc się gdzieś skryć przed zimą. W lipcu dni są już coraz krótsze, balkon od dłuższej chwili jest w cieniu i marzną mi palce.

Wieczorne zimno przypomina o tym, że nawet pod letnią sukienkę warto tu założyć wełniane majtki do kolan. Zwłaszcza w Paryżu Północy, jak na wyrost nazywa się Tromsø na cześć jego wymiany handlowej z innymi krajami i tego, że miejscowe kobiety zawsze ubierały się z klasą, szyły z europejskich materiałów i nadążały za modą. „My się tu stroimy w wełnę” – mawia Joanna, jedna z moich przyjaciółek, balkonowych towarzyszek.

Była tu wcześniej, jeszcze stoi po niej kieliszek wznieśiony za powodzenie w znalezieniu nowego domu. Wpadła tylko na chwilę, bo dzieci w każdej chwili mogą się obudzić. Jeśli nie zasnęła od razu, być może też jeszcze siedzi na własnym balkonie i układa się z tym niekończącym dniem. Ci z Fløi jej nie widzą, bo mieszka po drugiej stronie wyspy. Dobrze czasem posiedzieć w cieniu. Od tych północnych światła łatwo można oślepnąć.

© ILONA WIŚNIEWSKA

STANISŁAW

Mancewicz: *Orient i orientacja*



NATŁOK DZIWNYCH WYDARZEŃ OSTATNICH tygodni przytłumił nasze badania nad godnością ludzką i przygasił zainteresowania leksykografią. Oto umknęło nam kilka ciekawych powodów czerwcowej podróży p. prezydenta RP do Chin.

Zacząć rytualnie wypada od uwagi, że wizyta ta, jak zresztą bardzo wiele podróży zagranicznych p. prezydenta, nie miała żadnego politycznego znaczenia. Pan A. Duda, co nas zawsze nieco rozczuła, gdzie by się nie wybrał, tam mu zawsze błogo, a błogość tę zawsze eksponuje. Jest ekstra! Jest git! – ten komunikat bije z każdego zdjęcia czy filmików wyreżyserowanych przez jego służby i otoczenie. Nic prezydent nie musi mówić, wszystko widać, a widać autentyczną radochę. Jest w tym coś z dziecięcej radości z wyjazdu na ferie. To obserwacja ciekawa – każdy to przyzna – zważywszy, że prezydent jest w zasadzie dorosły.

Inna regularność dotyczy jego fascynacji. To ciekawe, jak wielu przywódców niebędących – mówiąc ogólnie – wielbicielami demokracji i praw ludzkich – imponuje naszemu prezydentowi. Od Azji, poprzez Afrykę, po Amerykę. Kto się komu podoba, to oczywiście kwestia gustu, więc niby nic nam do tego, że przywódca Chin jest dla naszego prezydenta autorytetem. Prześladowania polityczne i etniczne, które urządza, czy imperialne bądź wojenne plany, wsparcie dla Putina, to błahostki, którymi prezydent RP nie zaprzęta ani swojej, ani naszej uwagi. Słowem, ta wizyta – jak prawie każda – miała raczej charakter egzotycznego wyjazdu towarzysko-integracyjnego oraz wizerunkowego.

Jak się dowiedzieliśmy z kilku omówień tego wyjazdu, ponoć właśnie wizerunkowo p. A. Duda zyskał. Czy zatem budowa wizerunku była jej najważniejszym celem? Ktoś z emfazą napisał, że prezydent A. Duda rozmawiał z p. Xi Jinpingiem, władcą drugiego co do ważności kraju świata, jak „równy z równym”. Zdziwiliśmy się, że wizytę jakiegokolwiek prezydenta u jakiegokolwiek prezydenta można analizować na tym poziomie. Wychodzi więc na to, że walka z gigantycznym deficytem godności, który jest oczywiście immanentną cechą tego polityka i w ogóle naszych polityków prawicowych, jest ciężka i niepozabawiona wyrzeczeń. Podróż przez taki kawał świata, mordowanie się ze strefami czasowymi, jedzenie przeogromnych ilości glutamianu sodu i produktów żeńszeniowych to cena – okazuje się – warta zapłaty za bycie przez parę dni równym wśród ważnych. Jeżeli tego typu zamysł był jednym z powodów wyprawy, to – niech nas kule biją – znów Polska może się pochwalić fantastycznym wyczynem z gatunku nieznanego innym prezydentom na kontynencie.

No dobrze, ale coś przecież chyba udało się załatwić poza pocuciem się nieco lepiej. Przeczytaliśmy więc, że chiński rynek otworzy się na polskie kury, że będzie można pojechać do Chin na dwa tygodnie bez wizy, na razie tylko w 2024 r., i że powstanie wielki słownik polsko-chiński. To nam się podoba najbardziej. Wydaje się, że jest to jedyny sukces obu kadencji naszego prezydenta. W opiniach znawców brak wielkiego słownika polsko-chińskiego jest dojmujący. Jesteśmy bardzo ciekawi, jak długo będą trwały prace nad tym dziełem. Gdyśmy się zastanawiali nad rozległością zagadnienia, gdy próbowaliśmy sobie wyobrazić, jaki będzie efekt, przyszła nam do głowy myśl skrzydłata: szkoda wielka, że p. prezydent A. Duda nigdy nie wystąpił z inicjatywą stworzenia wielkiego słownika polsko-polskiego. Byłby się nam na pewno bardzo przydał, może nawet bardziej niż słownik polsko-chiński. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

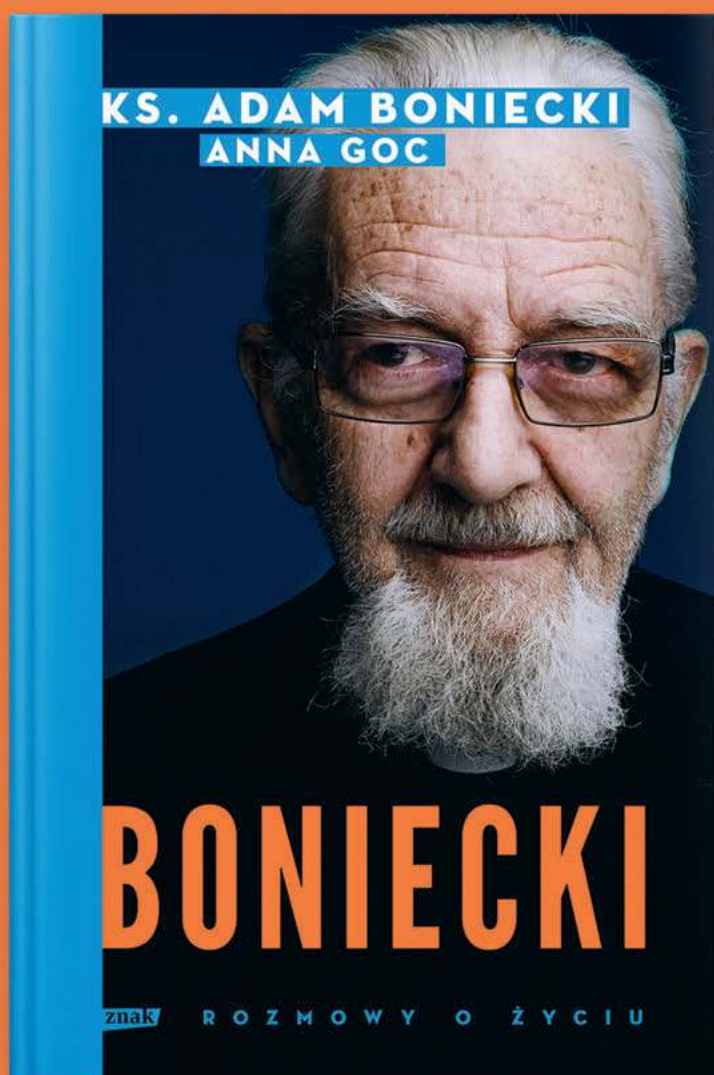
Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.



Tak osobistej książki

ks. BONIECKIEGO

jeszcze nie było



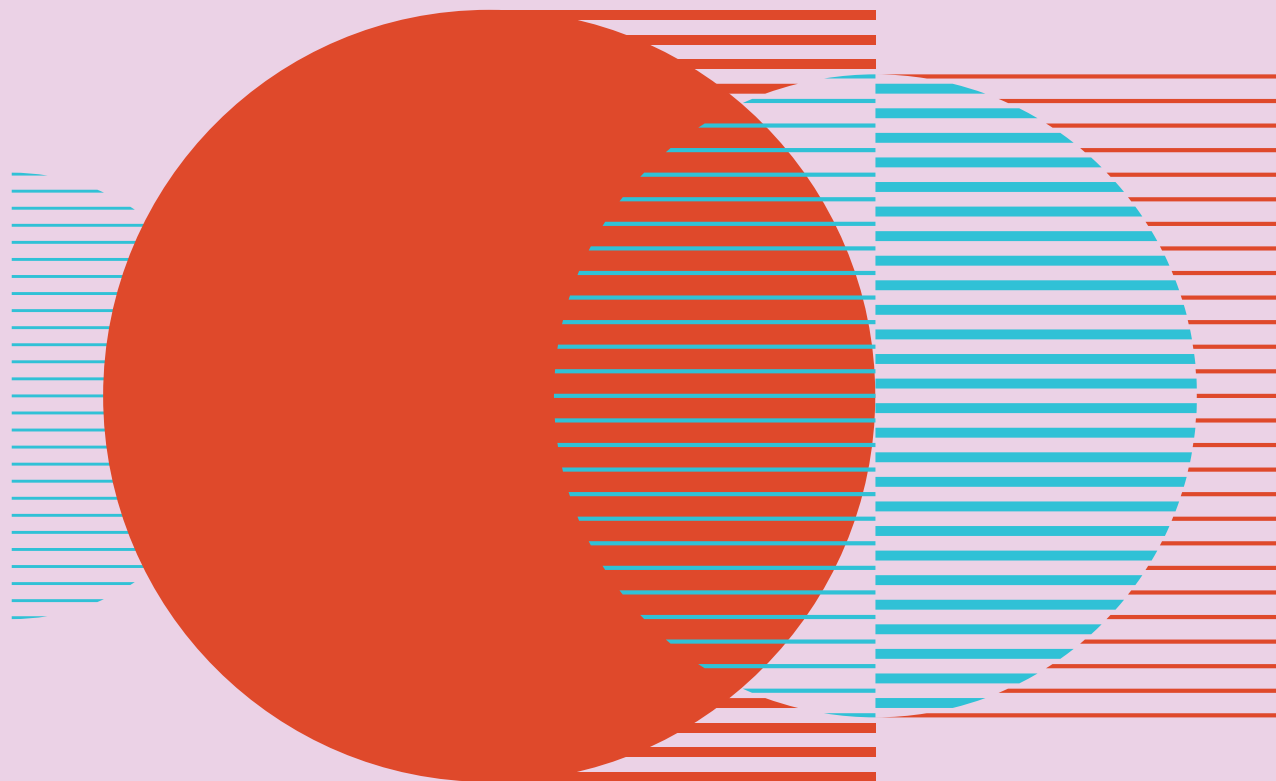
W rozmowie
z Anną Goc
opowiada
o swoim życiu

Szukaj w dobrych księgarniach

znak
KSIĘGARNIA

znak

TYCODNIK
POWSZECHNY



re:tradycja JARMARK JAGIELLOŃSKI

23–25
08.2024

Festiwal muzyki i rzemiosła tradycyjnego

Stare Miasto
Lublin

wstęp wolny

retradycja.eu

koncerty:

Duality (POL)
Drëszë (POL)
Barrut (FRA)
Duo Ruut (EST)
Katarina Barruk (SÁ / SWE / NOR)
Lumpeks z gośćmi (FRA / POL)

potkańcówki

wystawy

warsztaty

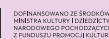
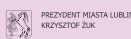
targi rzemiosła tradycyjnego

organizatorzy | organisers

patronat honorowy | honorary patronage

mecenas | patron

sponsor



MASZ TO W NATURZE